

Najnowszy bestseller numer 1
mistrza thrillera psychologicznego

SEBASTIAN FITZEK

ŻEBY ZDOBYĆ PRAWDĘ,
TRZEBA STRACIĆ ROZUM.

PACJENT


AMBER



SEBASTIAN
FITZJEK

PACJENT

PRZEKŁAD
KRZYSZTOF ŻAK



Wydawca i redaktor inicjujący
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Ryszard Turczyn

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
na podstawie pomysłu ZERO Werbeagentur, München

Ilustracja na okładce
© allanswart/iStockphoto

Zdjęcie autora
© FinePic®, München

Tytuł oryginału
Der Insasse

Copyright © 2018 by Verlagsgruppe Droemer Knauer GmbH & Co.
KG, Munich, Germany
www.sebastianfitzek.de.

The book has been negotiated through AVA international GmbH,
Germany (www.ava-international.de).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7024-1

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Byłem niegdyś szczęśliwy, choć tylko we śnie.

Ale byłem szczęśliwy.

Edgar Allan Poe

Sny

1

*P*laczego tu jest tak zimno?

Choć Miriam przekroczyła właśnie próg piekła, tu na dole panował ziąb. Piwnica bez okien miała wilgotne ceglane ściany, które pokrywała czarna pleśń, jak rak pokrywa oskrzela palacza tytoniu.

– Uwaga – ostrzegł policjant, wskazując jej głowę, którą musiała pochylić, żeby w przejściu do kotłowni nie zawadzić o rurę kanalizacyjną. A Miriam miała przecież tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Nie mogła się równać z Tramnitzem, który wyglądał o wiele zbyt atrakcyjnie jak na tak przerażającą sytuację. Miał szerokie barki, wysokie czoło, szczupłą, ale muskularną budowę. Był jak stworzony do zdjęcia na tytułową stronę berlińskiego kalendarza policyjnego, gdyby taki istniał. Ale tu, na dole, jego blond fryzura w stylu „znowu się nie wyspałem” zbierała kurz i pajęczyny, bo głową dosięgał do piwnicznego stropu. Domek na skraju Grunewaldu pochodził z lat dwudziestych zeszłego wieku. W tamtych czasach tutejsi ludzie widocznie byli niżsi.

I na pewno nie tacy źli jak ostatni mieszkaniec tego domu. Chociaż, kto wie?

Miriam przełknęła ślinę i starała się przypomnieć sobie, jak ma na

imię ten uprzejmy policjant, który przyjechał po nią i przywiózł ją tutaj.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Próbowwała tylko zająć myśli czym innym. Ale nie udawało się jej skierować ich na coś neutralnego. Nie tu, w tej piwnicy cuchnącej krwią, moczem i strachem.

I śmiercią.

Tramnitz odczepił czerwono-białą taśmę przyklejoną przez ekipę zabezpieczającą ślady na krzyż w otwartej framudze drzwi i zagradzającą dostęp do miejsca zbrodni. Widniały na niej powtarzające się słowa BLOKADA POLICYJNA, czarnymi literami na dwubarwnym tle.

Ale Miriam przeczytała: „NIE IŚĆ DALEJ! NIE PATRZEĆ!”

– Proszę posłuchać. – Komisarz pocierał nerwowo trzydniowy zarost. W świetle zakurzonej piwnicznej lampy wyglądał, jakby był chory na żółtaczkę. – Właściwie nie wolno nam tu przebywać.

Miriam chciała jednocześnie przytaknąć i pokręcić przecząco głową (nie, nie wolno nam; ale: tak, ja muszę to zrobić), co w rezultacie sprawiło, że jej tułów wykonał dziwny ruch.

– Kiedy ja chcę to zobaczyć – odezwała się.

Powiedziała „to”, jakby chodziło o jakiś przedmiot. Nie zdobyła się, żeby nazwać grozę po imieniu. Bo byłoby to jej imię.

– Przekraczam w tej chwili swoje uprawnienia. Miejsce zbrodni jeszcze nie jest dostępne, a ten widok...

– Nie może być gorszy od tego, który mam w głowie – powiedziała ledwo słyszalnie Miriam. – Proszę, ja muszę to zobaczyć na własne oczy.

– Dobrze, ale uwaga! – Policjant ostrzegł ją po raz drugi, wskazując teraz na stopnie przed nimi. Drewniane schodki zaskrzypiały sucho

pod jej sportowymi butami. Tramnitz odciągnął na bok mleczną plastikową płachtę niby zasłone prysznic. Znajdował się za nią jakby przedsionek piwnicy, wykorzystywany prawdopodobnie przez właściciela jako przebieralnia czy garderoba, i dopiero kilka kroków dalej przez przymknięte drzwi przeciwpożarowe wchodziło się do piekła.

Mundur listonosza wisiał porządnie na wieszaku na miedzianym przewodzie. Obok stał dwukołowy wózek z paczkami.

– A więc jednak – wyrwało się Miriam.

Tramnitz kiwnął głową. Zamrugnął, jakby dostał mu się do oczu kurz unoszący się w zatechłym powietrzu.

– Pani podejrzenia się potwierdziły.

Boże wielki.

Miriam chwyciła się za gardło, niezdolna przełknąć ślinę, usta miała wyschnięte.

Kiedy policja mimo upływu tygodni wciąż jeszcze nie natrafiła na ślad Laury, Miriam na własną rękę podjęła poszukiwania córki. Przepytała raz jeszcze wszystkich sąsiadów, wszystkich pracowników sklepów w okolicy placu zabaw w Dzielnicy Szwajcarskiej, na którym jej córkę widziano po raz ostatni.

Była tam pewna starsza lokatorka, z lekką demencją, której gadania widocznie nikt nie wziął na serio albo nikt się nie zastanowił nad jej słowami, co było o tyle zrozumiałe, że w trakcie mówienia bardzo szybko traciła wątek i zaczynała pogrążyć się we wspomnieniach. W każdym razie kobieta powiedziała, że w dniu uprowadzenia widziała pocztowego doręczyciela. Zrobiło jej się go żal, bo nikt mu nie pomógł taszczyć tego mnóstwa paczek, które musiał zabrać z powrotem i wracać z nimi kawał drogi od bloku przy ulicy Altdorfer

aż do swojej furgonetki DHL, bo nie zastał odbiorców w domu. Potem zaczęła opowiadać, że ten człowiek przypominał jej siostrzeńca, co nie przysporzyło wiarygodności jej słowom.

A jednak to ona dostarczyła najważniejszej wskazówki!

– On rzeczywiście był przebrany za doręczyciela – potwierdził Tramnitz i lekko trącił nogą stos paczek wysokości z półtora metra, ułożony na dwukołowym wózku przy ścianie. Była najpierw zdumiona, a potem przerażona, kiedy stos w całości się przewrócił, mimo że policjant ledwo go tknął.

– Papier mâché – oznajmił Tramnitz. – W środku nic nie ma.

Była to pusta wewnątrz atrapa.

Wysokości metr pięćdziesiąt.

Dość miejsca dla siedmiolatki.

– Laura – jęknęła Miriam. – Moje dziecko. Co on z nią zrobił?

– Odurzył ją, żeby ukrytą w tej atrapie bez przeszkód zawieźć do swojego dostawczaka. Proszę za mną.

Silne ręce Tramnitza odsunęły drzwi przeciwpożarowe, na których z zewnątrz widniała stara nalepka sklepu muzycznego Sound & Drumland. Czy to możliwe, żeby ten potwór lubił muzykę?

Tak jak Laura?

Miriam przyszło na myśl dziecięce pianino, kupione nie dawniej jak zeszłego lata, które w ostatnich tygodniach tak nieznośnie cicho stało w dużym pokoju.

Za to tu na dole było nieznośnie głośno. W tej kwadratowej piwnicy, do której właśnie weszła, Miriam zdawało się, że słyszy krzyki swojej córki. Echo wspomnień odbijało się od trupioszarych ścian i wyłożonej płytkami podłogi z odpływem pośrodku. Nad nimi kołysała się niczym nieosłonięta, spryskana białą farbą żarówka,

która wydawała się źródłem raczej cienia niż światła.

– Co to jest? – wychrypiała Miriam, wskazując na skrzynię stojącą przed nimi pod ścianą.

Tramnitz podrapał się po wygolonej skórze na karku i zmierzył wzrokiem kanciasty drewniany kojec. Skrzynia spoczywała na metalowym stole, przypominającym stół sekcyjny. Była zbita z brązowego prasowanego drewna, miała długość około półtora metra i szerokość trzydzieści centymetrów. W dłuższej ścianie, zwróconej w ich stronę, w odstępnie mniej więcej szerokości dłoni były wycięte dwa okrągłe otwory, nieco większe niż powierzchnia rakiетки do ping-ponga. Były obciążone nieprzejrystą folią, tak samo jak górna część skrzyni, Miriam nie mogła więc zobaczyć, co znajduje się w jej wnętrzu.

– To inkubator – wyjaśnił Tramnitz i piekło tej piwnicy stało się jeszcze bardziej lodowate. Miriam zrobiło się niedobrze, kiedy pojęła, że otwory umożliwiają dotykanie tego, co się kryło za ściankami „inkubatora”.

– Co on jej zrobił? Co on zrobił mojemu dziecku? – spytała Tramnitza, nie patrząc na niego.

– Sprawca pracował wiele lat na oddziale wcześniaków, dopóki nie został stamtąd wyrzucony za nieobyczajne zachowanie. Nigdy tego nie przeboleł. Tu na dole stworzył sobie własny oddział noworodków.

– Po co?

Miriam podeszła o krok bliżej, wyciągnęła rękę, ale dłoń za bardzo jej się trzęsła. Nie była w stanie nic zrobić. Jakby „inkubator” otaczało pole magnetyczne, tym silniej odpychające jej palce, im bardziej się zbliżały, żeby zerwać folię.

Tramnitz podszedł do niej od tyłu. Dotknął lekko jej ramienia, odchrząknął.

– Czy pani naprawdę tego chce?

Kiwnęła głową, zamiast uciec z krzykiem.

Policjant zerwał plastikową folię z „inkubatora”, a Miriam nie zdążyła wystarczająco szybko zamknąć oczu. Zobaczyła, a obraz grozy odcisnął piętno w jej pamięci jak rozżarzone żelazo odciska znak na skórze zwierzęcia.

– Laura – wydusiła, dysząc ciężko, bo nie było wątpliwości. Ciało było wprawdzie przysypane absorbującym zapachy żwirkiem dla kotów, a pod szeroko otwartymi oczami wiły się już robaki, ale Miriam poznała ją: po dołeczku na brodzie, znamieniu obok prawej brwi, po spince do włosów z księżniczką Lillifée poskramiającą krnąbrny kucyk.

– Dbał o nią.

– Że co?

Miriam była duchem oddalona o lata świetlne od wszelkiego rzeczywistego życia, pogrążona w morzu bólu i udręki. Słowa policjanta wdarły się do jej świadomości jak z innego wymiaru i nie miały sensu.

– Dawał jej pożywienie, lekarstwa, ciepło. I miłość.

– Miłość?

Miriam pomyślała, że chyba straciła rozum.

Odwróciła się do Tramnitza i spojrzała na niego. Za zasłoną z jej łez atrakcyjna, symetryczna twarz policjanta rozmywała się jak za ścianą deszczu.

Ku swemu przerażeniu usłyszała jego gardłowy rechot.

– O, jest dużo lepiej, niż miałem nadzieję. Ten wyraz pani twarzy!

W tym momencie Miriam miała pewność, że nie ma już Boga. Jest już tylko ona, trup Laury i diabeł tuż przed nią.

– Nie jest pan żadnym policjantem – chciała jeszcze wykrzyknąć. – To pan zrobił! To pan uprowadził moje dziecko, torturował je i zamordował!

Ale wszystkie te słowa już nie wydobyły się z jej ust, bo między oczy Miriam wbiła się siekiera.

Ostatni dźwięk, jaki usłyszała w tym życiu, to był bolesny trzask, jakby cały las suchych gałęzi łamał się w jej uszach, przez co przebijał się już tylko odrażający rechot Guida Tramnitza, kiedy zadawał ciosy. Raz za razem.

I znowu.

Aż wszystko wokół niego i niej stało się jedną jedyną czerwoną mgłą, a potem ostatnim, gwałtownym bólem. Potem nie było już nic.

Nie było już nawet czerni.

Niemowlę się dusiło, ale ten łysol miał to gdzieś.

Podniósł pięść i spuścił ją na maskę silnika jak młot Thora.

– Zabieraj stąd tego gównianego gruchota, tu jest jeden kierunek!

– Proszę dalej uciskać. Trzy razy, tak jak mówiłem, da pani radę – powiedział Till, wysiadając z karetki.

Nie mówił do osiłka stojącego przed nim na ulicy, który wbił się w dresy o trzy numery za małe na jego mięśnie, tylko do matki przy telefonie, która była w takiej panice, że lada moment mogła dostać hiperwentylacji.

Zadzwoiła po pomoc pięć minut temu i od tamtej chwili Till próbował zdalnie sterować jej czynnościami.

– Potem znowu oddychanie usta-usta. Zaraz u pani będziemy.

O ile przepuści nas wreszcie gruby jegomość w bokierskich butach.

Od wzywającej pomocy kobiety dzieliło ich jeszcze jakieś czterysta metrów w linii prostej i pojechali na skrót przez Eichkatzweg, żeby ominąć wypadek na Eichkampstraße. Ale kiedy napatoczył się ten idiota w SUV-ie i nie chciał ustąpić z drogi, to w ciasnej

jednokierunkowej uliczce ich karetka utknęła na dobre. Uliczka nie miała nawet chodnika. A ten żul najwyraźniej chciał zmusić ich prawem pięści do wrzucenia wstecznego biegu.

– Mówię ostatni raz po dobremu, potem inaczej pogadamy.

Napakowany spojrział do tyłu na swój samochód. Siedział w nim rudy szkieletor, szminkując sobie właśnie wargi jak u glonojada.

– Nie dajesz mi przejechać, a mnie się spieszy.

Till wziął głęboki oddech i na chwilę odjął telefon od ucha.

– Słuchaj no, jak ci się zdaje, co to jest? – spytał, wskazując na karetkę, w którą ten idiota właśnie wyrznął pięścią. Na jej dachu bezgłośnie kręciły się lampy sygnalizacyjne. – Muszę się dostać do Dauerwaldweg, nie będę się teraz tyłem przeciskał przez ucho igielne tylko po to, żebyś zdążył na fitness.

Nie należały do rzadkości przypadki, że przechodnie się skarżyli na pojazdy uprzywilejowane parkujące przy chodniku na drugiego, ale taka sytuacja jak tutaj była czymś nowym nawet jak na stosunki panujące w Berlinie. *Chociaż właściwie...* Nie dalej jak wczoraj w Lankwitz ktoś przylepił im do przedniej szyby kartkę: „Tylko dlatego, że ratujecie ludzi, nie macie prawa zatruwać nam powietrza spalinami. Zgaście silnik następnym razem, jak będziecie wynosić chorego z domu!”

Najwyraźniej zatroskanemu obywatelowi nie przyszło do głowy, że wtedy wyłączy się także aparatura ratująca życie pacjentowi z udarem. Albo mu to zwisało. Tak samo jak ta góra mięsa miała w nosie duszące się niemowlę.

– Halo? Jest pan tam jeszcze? – słyszał Till bojaźliwe wołanie matki, kiedy łysol się zbliżał.

Mocniej przycisnął komórkę do ucha.

- Tak, jestem jeszcze. Niech pani dalej robi oddychanie usta-usta!
- Ona robi się sina. Boże, ona chyba...
- Daj spokój! – zawołał z tyłu partner Tilla. Aram zdążył już wysiąść z wozu z walizką ratunkową w ręku. – Ty wyjedź, a ja sam tam pobiegnę.
- Tak, tak, posłuchaj tego Turka – roześmiał się Łysol. – No, już, już. Do tyłu!

I wtedy to wróciło. To mrowienie w palcach. Sygnał ostrzegawczy, wysyłany przez mózg Tilla, kiedy zamierzał popełnić błąd. Till nie wiedział, czy poszło o obrazę jego kurdyjskiego partnera przez tamtego żula, czy może żadna dalsza przyczyna nie była potrzebna. Jakkolwiek by na to spojrzeć, stawką w grze było życie sześciomiesięcznego niemowlaka. Ostatni raz czuł to klucie jak igłą w czubkach palców przy gaszeniu pożaru trzy tygodnie temu. Kosztowało go to dyscyplinarkę.

Till był strażakiem, należał do jednostki szturmowej. Starszy strażak z przeszkoleniem sanitariusza pogotowia. Właściwie to zamiast robić za sanitariusza tu na Westendzie, powinien być na pierwszej linii i wchodzić do płonących budynków z aparatem tlenowym i kilofem.

Właściwie.

„Postępuje zbyt impulsywnie. Naraża przez to kolegów” – tak mu napisali w opinii psychologicznej, przez którą dostał przeniesienie. Degradację. Sanitariusz pogotowia w południowo-zachodnim Berlinie.

I wszystko przez tego przekłętą kota. Ale co miał zrobić? Leciwa babcia wyznała mu z gorzkim płaczem, że Fellnase to wszystko, co jej jeszcze zostało, więc poszedł znowu w ogień do jej mieszkania na piętrze. Na koniec jeden z kolegów musiał mu przyjść z pomocą.

Na krótko przed wejściem w ogień poczuł to mrowienie w palcach.

Sygnał ostrzegawczy, żeby znowu się w coś nie wpakować. *Tym razem*, obiecywał sobie teraz, *posłucham ostrzeżenia*.

Już pomijając to, że nie miał czasu na głupoty, to gość w bokerskich butach wyraźnie należał do innej klasy wagowej. Till nie był wprawdzie ułomkiem, ale umiał rozpoznać ulicznych zabijaków i uprawiających sporty walki. A w tych dyscyplinach jego przeciwnik górował nad nim bezdyskusyjnie.

– Dobrze, mądrzejszy ustępuje – westchnął przy akompaniamencie drwiącego rechotu żuła.

Wsiadł do karetki i uruchomił silnik rękami, w których czuł mrowienie. Włączył bieg, próbując przełknąć swój gniew.

Odczekał jeszcze, aż tamten usadowił się znowu w swoim SUV-ie.

I wtedy ruszył.

Pół sekundy później dosięgnął już jego maski. Uderzenie nie było na tyle gwałtowne, żeby wystrzeliły poduszki powietrzne, ale że mięśniak nie był jeszcze przypięty, walnął głową w kierownicę.

Ruda wydarła się tak głośno, że Till słyszał ją nawet przez dwie przednie szyby, mimo zgrzytania opon, asfaltu i odgłosów tłukącego się szkła, pękającego plastiku i chromu, kiedy samochód, w którym siedziała, spychany sunął do tyłu.

Trochę później z lewej strony otworzył się wjazd na jakąś posesję i Till skrzył kierownicę, nie przestając wciskać gazu do dechy, żeby na buksujących kołach zepchnąć na bok poobtłukiwanego SUV-a. Przy okazji oberwały też dwa inne parkujące pojazdy. Ale droga była nareszcie wolna i Till musiał nacisnąć hamulec, żeby nie wystrzelić jak strzała w kierunku Alte Allee.

Zatrzymał się, otworzył drzwi od swojej strony i odwrócił się do tyłu, do Arama, który stał na ulicy jak skamieniały obok

pogniecionego SUV-a, z którego właśnie próbował wygramolić się mięśniak. Miał złamany nos, krew zalewała mu twarz i wyglądał na kompletnie oszołomionego.

– Najpierw niemowlę! – zawołał Till do partnera. – Nos może poczekać.

3

Osiem godzin później

Chcę ci coś pokazać – wymamrotał ktoś za jego plecami. Na wpół szeptem, na wpół z płaczem.

Till wzdrygnął się, bo Maks znowu podszedł go cicho niczym komandos zwiadowca. A przecież jak zawsze zostawił otwarte drzwi do swojego gabinetu na poddaszu. Till nienawidził zamkniętych pomieszczeń równie mocno, jak kochał swojego sześciolatniego syna, który miał talent do bezgłośnego wspinania się po schodach.

– No, co tam, mały?

Till zamknął laptop, na którym na brudno spisywał swoje wyjaśnienia, choć właściwie szkoda było na to czasu. Sprawa była jasna, co tam jeszcze można więcej powiedzieć komisji dochodzeniowej?

Tak, znowu puściły mu nerwy. Znowu zachował się impulsywnie i nie zapanował nad sobą; tym razem nawet przy świadkach, którzy potwierdzą, że mu odbiło i że złamał nos obywatelowi, nie wspominając już o uszkodzeniu karoserii ogółem czterech pojazdów, na kwotę grubych tysięcy euro. To, że kilka minut później uratował

niemowlę, było okolicznością marginalną. Karetka pogotowia to nie czołg, żeby nią torować sobie drogę do poszkodowanych. Zostanie wylany z pracy najpóźniej w momencie, kiedy dobierze się do niego prasa, przedstawiając go jako szalonego sanitariusza.

– Skończyłem „Sokoła Millennium”.

Syn wniósł szary statek kosmiczny z klocków Lego do gabinetu niczym świętą relikwię.

– Wygląda świetnie – pochwalił Till, zastanawiając się jednocześnie, czy to pedagogiczne, żeby pozwalać Maksowi w wieku sześciu lat budować akurat uzbrojony w działa laserowe frachtowiec kosmiczny z *Gwiezdných Wojen*. – Do licha, na pudełku napisali przecież, że to dla dzieciaków od dziewięciu lat – dodał, choć wiedział, że te określenia wieku są często wyssane z palca.

– W razie wątpliwości – powiedział mu raz w zaufaniu pewien projektant zabawek, którego magazyn musieli gasić – twierdzimy, że to dla starszych dzieci, a wtedy rodzice myślą, że mają w domu małego geniusza.

– Tu widzę Hana Solo, a tamten to Chewbacca? Masz nawet Luke’a Skywalkera w kokpicie. No, no. Wszystko jak się patrzy. To dlaczego beczysz?

Maks pociągnął nosem i zwlekał z odpowiedzią.

– Mama – powiedział w końcu.

– Co mama?

– Powiedziała, że mi nie wolno.

– Czego ci nie wolno?

– Jej go pokazać.

Till uśmiechnął się i zmierzwił synkowi gęste brązowe włosy, które odziedziczył po swojej matce Ricardzie. Tak samo jak pełne usta

i długie rzęsy.

Mimo to najczęściej mówiono, że syn wdał się w niego, o czym mogły świadczyć tylko duże ciemne oczy, które miały zawsze smutny wyraz, nawet kiedy się uśmiechał.

– „Jej”, czyli Annie? – Till wyjrzał przez okno w dachu. Na dachach sąsiednich domów piętrzyły się masy śniegu, który ostatniej nocy spadł na Buckow. Córka sąsiadów była pierwszą miłością Maksa i rzeczywiście, Till musiał przyznać, że była przepiękna. Była też mądra, miła i uprzejma; byłaby z niej właściwie doskonała synowa, gdyby nie ta drobna różnica wieku. Anna miała siedemnaście lat i przygotowywała się do matury, a Maks chodził jeszcze do pierwszej klasy i chciał zostać strażakiem. Jak ojciec.

Mimo to Anna dobrze grała swoją rolę. Kiedy Maks do niej wzdychał, pozwalala mu od czasu do czasu się uściskać i odpowiadała nawet na jego nieporadne listy miłosne. Ilekroć spotykała Tilla, rzucała mu „Cześć, teściu”, a żeby nie łamać Maksowi jego małego serduszka, nie powiedziała mu, że młodzieniec, który od czasu do czasu przyjeżdżał po nią na motorze, jest jej stałym chłopakiem.

– Czy Anna jest w domu? – spytał Till.

Maks kiwnął głową.

– I mama powiedziała, żebyś nie szedł?

– A ja chcę jej to tylko na chwilę pokazać.

– Hm, rozumiem. Na pewno się ucieszy.

Till zastanawiał się, jak z tego wybrnąć, nie narażając się samemu na kłopoty. Na dzisiaj nie potrzebował więcej kłótni ani łez. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, tęsknił za harmonią. W końcu zdecydował się znowu na rozwiązanie połowiczne, które w rzeczywistości było zgniłym kompromisem.

– Dobrze, mały. Zawrzyjmy układ. Wyczyścisz kocią toaletę, a za to możesz jeszcze na krótko wyskoczyć do Anny pokazać jej „Sokoła Millennium”, co ty na to?

Maks kiwnął głową i Till starł mu ostatnią łzę z policzka, a potem dał lekkiego klapsa w pupę.

– I powiedz mamie, że zaraz zejdę z nią porozmawiać.

Jak znał Ricardę, przez co najmniej godzinę nie będzie się do niego odzywać, bo znowu przekreślił jej metody wychowawcze.

Tyle, jeśli chodzi o tęsknotę za harmonią.

Z pewnością miała powody, żeby nie wypuszczać Maksa z domu na krótko przed zapadnięciem zmroku, choć do domu Anny wystarczyło tylko przejść kawałek do rogu ulicy.

– On już teraz wygrywa nas przeciwko sobie nawzajem – zarzucała mu regularnie, i miała słuszość. Till po prostu nie umiał niczego odmówić swojemu synowi, szczególnie wtedy, kiedy ten stał przed nim zapłakany i patrzył na niego wzrokiem porzuconego szczeniaka. Czasami myślał nawet, że Ricarda dlatego chciała mieć drugie dziecko, Emilię, żeby Maks nie był jedynakiem, którego Till mógłby jeszcze bardziej rozpieszczać.

– Aha, Maks?

Syn odwrócił się raz jeszcze do niego, stojąc na pierwszym stopniu schodów. Jego wzrok wyrażał obawę, że ojciec może wycofać się z porozumienia.

– Słucham, tato?

– Jak brzmi hasło?

4

MAKS

Kostka lodu, pomyślał Maks, ściskając w objęciach model.

Wyszedł z domu na mróz, doskonale pasujący do tego hasła, które uzgodnili z tatą już ostatniego lata. Ten pomysł podsunął im policjant, który przyszedł do przedszkola i ostrzegał przed złymi ludźmi, co chcą skrzywdzić małe dzieci. Policjant poradził, żeby rodzice uzgodnili z dziećmi hasło, znane tylko rodzinie.

Tacie spodobał się ten pomysł.

Ćwiczyli to wciąż na wędrownkach w lesie, przy jeździe samochodem lub w czasie oczekiwania na autobus. Odgrywali sytuację przedstawioną przez policjanta, która napędziła Maksowi strachu.

– Co zrobisz, kiedy ktoś obcy ci powie, żebyś z nim poszedł, bo ma dla ciebie słodycze albo chce ci pokazać miłutkie zwierzątko?

– Powiem: nie!

– A jak powie, że rodzice pozwolili?

– Zapytam o hasło.

– A jakie jest nasze hasło?

– Kostka lodu.

– *Dobrze. A co wtedy, kiedy tamten nie będzie znał hasła?*

– *Wtedy będę wiedział, że nie wy go przystaliście.*

– *I co zrobisz?*

– *Zacznę głośno wołać „ratunku” i uciekać.*

– Kostka lodu – wymamrotał Maks i zszedł ostrożnie trzy stopnie w dół do ogródka przed domem.

Tato posypał dzisiaj rano ten krótki odcinek drogi do ogrodzenia, ale znowu spadł śnieg, a Maks za nic nie mógł się pośliznąć. Żeby się coś nie przesunęło albo w ogóle statek kosmiczny się nie rozleciał.

Już się cieszył, wyobrażając sobie minę Anny, kiedy go zobaczy. Wtedy go uściska. Zawsze to robiła, kiedy się spotykali. A przy tym tak ładnie pachniała. Może brzoskwiniami, ale nie był pewny, czym myje włosy. W każdym razie był to inny zapach niż zielonego żelu pod prysznic z dinozaurem, którym mama go zawsze namydlała.

W skupieniu, spoglądając to na furtkę, którą powoli otworzył nogą, to na statek kosmiczny, ruszył powoli naprzód, a jednak omal nie upuścił modelu. Tak się wystraszył, kiedy usłyszał wołanie.

– Hej, mały!

Spojrzał w prawo na człowieka stojącego pod starą latarnią, która w tej sekundzie zapaliła się jak na rozkaz, tak samo jak wszystkie inne w małej uliczce brukowanej kocimi łbami.

– Tak?

– Wiesz, gdzie jest dom numer 65?

Maks nie chciał się zatrzymywać w drodze do Anny, a poza tym z każdą chwilą robiło się coraz zimniej.

– Jakie jest hasło? – wyrwało mu się.

– Co?

Mężczyzna spojrzał na niego, jakby Maks przemówił w tajnym

języku, który wymyślił razem ze swoim najlepszym przyjacielem Antkiem.

– Nieważne – powiedział Maks po chwili i postanowił pomóc tamtemu. – Dom numer 65?

Człowiek zbliżał się w jego stronę, ale Maks się nie bał.

Przecież nie chciał, żeby Maks z nim poszedł. A zasada podawania hasła raczej nie mogła dotyczyć pocztowego kuriera w mundurze, który próbował ciągnąć po śniegu dwukołowy wózek obładowany paczkami.

5

Rok później

TILL

Nic. Żadnego dźwięku. Żadnych kroków. Nawet pukania.

Till Berkhof nie słyszał, jak jego szwagier wszedł do mieszkania. A przecież Oliver Skania nie był elfem szybującym lekko jak piórko nad ziemią. Zwalisty komisarz policji kryminalnej zwracał zwykle uwagę już w momencie, w którym udało mu się przecisnąć przez drzwi swoje sto dwadzieścia kilo żywej wagi. Czy to na miejscu zbrodni, czy wchodząc do pokoju przesłuchań, czy jak teraz, będąc gdzieś prywatnie.

Ale w tym momencie inny szpakowaty mężczyzna darł się w pokoju tak głośno, że Till nie zauważyłby nawet helikoptera lądującego w ogrodzie.

Seryjny morderca Guido Tramnitz zostanie lada chwila, dziesięć miesięcy po swoim aresztowaniu, z nieznanych dotąd przyczyn przeniesiony na oddział intensywnej terapii szpitala psychiatrycznego.

Till nastawił telewizor prawie na cały regulator, żeby nie umknęło mu ani jedno jedyne słowo z tych, którymi spiker komentował pełne grozy obrazy. Jego głos miał nieszczerze, narcystyczne, pełne dramatyizmu brzmienie, jakiego Till tak nie znosił u prezenterów.

Tramnitzowi udowodniono w styczniu morderstwo na siedmioletniej Laurze i jej matce Miriam Z.; sprawca zaprowadził policjantów do miejsca, w którym znaleziono kolejne zwłoki, tym razem sześciolatniego Andreasa K.

Zdjęcia z miejsca zbrodni, brudnej piwnicy, i niestarannie skleconej drewnianej skrzyni przypominającej dziecięcą trumnę przeplatały się ze szkolnymi zdjęciami dwojga zamordowanych dzieci.

Potem znowu pokazali zdjęcie, które uczyniło z Tramnitza gwiazdę popkultury grozy. Wykonane przez jakiegoś paparazzo zaraz po aresztowaniu, kiedy Tramnitz siedział już w radiowozie i uśmiechał się prosto do obiektywu.

Otwarty, sympatyczny, jak fotomodel z niebieskimi oczami noworodka.

Sąd uznał tego człowieka, nazywanego bestią od inkubatora, za osobę niepoczytalną z powodu zaburzeń schizofrenicznych najcięższego stopnia. Tramnitz był przekonany, że złe moce umieściły w jego mózgu jakiś przedmiot, żeby sterować jego myślami.

Po zaledwie trzydniowym procesie został pod najsurowszym rygorem umieszczony na silnie strzeżonym oddziale szpitala psychiatrycznego Stein w berlińskiej dzielnicy Tegel. Aktualnie jego życie jest podobno zagrożone. Jak dotąd dotarły do nas tylko niepotwierdzone pogłoski, według których Tramnitz jeszcze dzisiaj ma być operowany.

– Mam nadzieję, że współwięźniowie wypruli flaki tej świni – mruknął Skania.

Na ekranie telewizora ukazał się obraz kliniki i lekarza, najwidoczniej prowadzącego terapię, który na pytania o stan jego pacjenta tylko pokręcił głową i ominął pospiesznie reporterów. U dołu ekranu widniał podpis:

„Dr med. H. Frieder, chirurg”.

Spiker mówił:

Klinika Stein posiada oddział intensywnej terapii i oddział traumatologiczny dla nagłych przypadków, bo wśród chorych psychicznie sprawców przestępstw wciąż dochodzi do samookaleczeń. W niektórych przypadkach psychozy mają podłoże organiczne i konieczne są operacje mózgu. Czy tak właśnie jest w przypadku Guidona Tramnitza, tego doktor Hartmut Frieder nie chciał nam zdradzić.

Tillowi coś mówiło to nazwisko, zdawało mu się, że spotkał kiedyś tego lekarza w klinice Virchowa, dokąd zawoził ofiarę pożaru. A później słyszał plotki krążące wśród pielęgniarek. Podobno Frieder, będąc pod wpływem alkoholu, wyprawił na tamten świat pacjenta, ale do procesu nigdy nie doszło. Rodzina dała się pewnie udobruchać wysokim odszkodowaniem wypłaconym przez szpital. Odtąd Frieder praktykował prywatnie i był widocznie wzywany do nagłych przypadków w klinice Stein jako chirurg.

– Nie powinieneś tego oglądać – powiedział Skania, zdejmując marynarkę.

Till rzucił okiem na kaburę z bronią służbową, przypiętą do pasa biegnącego przez szeroką klatkę piersiową jego szwagra, a potem wrócił do oglądania telewizji, nieco ściszej jednak głos pilotem.

Sprawa Guidona Tramnitza trafiła na czołówki gazet nie tylko z powodu nieopisanej brutalności sprawcy, ale i dlatego, że śledczy i lekarze sądowi przypuszczają, iż ten psychopatyczny seryjny morderca jest odpowiedzialny jeszcze za co najmniej jedno morderstwo na dziecku. Ponieważ jednak Tramnitz zgodnie z sugestią jego pani adwokat milczy, to jego inne zbrodnie chyba nigdy nie wyjdą na światło dzienne.

Till aż się wzdrygnął, kiedy w następnej sekwencji zobaczył człowieka, który był mu dziwnie znajomy, a zarazem zupełnie obcy: mianowicie samego siebie.

Reporter czatował na niego wtedy przed domem. Till prawie już nie pamiętał, w jakiej wyjątkowej sytuacji dopadła go ta dziennikarska hiena, żeby go dręczyć nietaktownymi pytaniami: Panie Berkhoff, czy sądzi pan, że Guido Tramnitz ma też na sumieniu pańskiego Maksa? Czy przyzna się do zamordowania pańskiego syna? Co by pan zrobił z oskarżonym, gdyby go pan dostał w swoje ręce?

To ostatnie pytanie było nieskrywaną aluzją do doniesień o jego „impulsywnej, nieopanowanej naturze”, która kosztowała go utratę pracy.

Po zniknięciu Maksa głównym podejrzanym był najpierw sam Till. Nie dla policji, ale dla mediów, które szybko zwąchały postępowanie dyscyplinarne opisane w jego aktach i wyrobiły Tillowi opinię osoby skłonnej do przemocy i ryzyka. A kiedy jeszcze ten łysol z SUV-a zaczął za odpowiednie honoraria na prawo i lewo opowiadać w każdym szmatławcu, jak to Till chciał go zabić karetką pogotowia, pierwsi reporterzy zaczęli rozpytywać w dawnym przedszkolu Maksa, czy mały nie przychodził tam aby z jakimiś podejrzanymi

obrażeniami. Czy czasem ojciec już wcześniej nie maltretował syna?

Till z wściekłością wyłączył telewizor, ale obrazy w jego głowie nie chciały zniknąć.

Ulica. Zaśnieżony bruk z kocich łbów. Klocki Lego.

Jak to wszystko pasuje – myślał Till, wspominając zgruchotany statek kosmiczny, jedyną rzecz, jaka w jego, odtąd także zgruchotanym życiu została mu po Maksie. Kiedy chłopiec nie wrócił do domu i kiedy się dowiedzieli, że nigdy nie dotarł do Anny, znaleźli już tylko rozbity model. Wydział zabezpieczania śladów pozbiierał każdy klocek i poskładał całość z powrotem w laboratorium. Żeby sprawdzić, czy sprawca oprócz Maksa zabrał też jakieś trofeum. I rzeczywiście brakowało jednej figurki.

Luke'a Skywalkera.

Zapadł się pod ziemię, tak samo jak jego syn.

Wkrótce potem także Ricarda zniknęła z jego życia, obciążając go całkiem słusznie współwiną za tę tragedię, choć nigdy nie wypowiedziała zdania, którym on dręczył się bez przerwy od dwunastu miesięcy: *Gdybyś mu wtedy nie pozwolił iść do Anny, to wszystko by się nie zdarzyło.*

Till wstał i otrząsnął się jak zmoczony pies, ale od wspomnień nie zdołał się uwolnić. Podobnie jak od nieproszonego gościa, który najwidoczniej nic sobie nie robił z tego, że Till ignorował go od czasu jego przybycia.

– Czego tu chcesz? – spytał w końcu mało uprzejmie, ale i tym Skania wydał się niezrażony. Prawdopodobnie szwagier Tilla od lat był przyzwyczajony, że rodziny ofiar wyładowują swoją rozpacz na śledczych. Albo uważał wspieranie Tilla za rodzinny obowiązek, choć było tylko kwestią czasu, kiedy jego siostra wystąpi o rozwód. Ricarda

już się przecież wyprowadziła, zabierając naturalnie ze sobą siostrę Maksa.

– Słuchaj, jest nowa rzecz, ale...

Skania pociągnął fałdę swojego podwójnego podbródka, co czynił zawsze, ilekroć się zastanawiał, co powiedzieć.

– Ale co?

– Ostatecznie wstrzymano dalsze poszukiwania Maksa.



Till przejechał dłonią po zatłuszczonych, niemytych włosach. Dawno minęła pierwsza, a on wciąż jeszcze był w piżamie.

– Co takiego? Przecież mój syn zaginął dopiero rok temu!

Jego szwagier kiwnął głową.

– To prawda. Ale oni są pewni, że Tramnitz jest sprawcą. *Modus operandi*, teren działania, wszystkie okoliczności jego czynów pasują do twojego syna jak ulał. Sam wiesz, jak to u nas wygląda. Myślisz, że mi to pasuje? Ale nie ma sensu poszukiwać sprawcy, który i tak już dożywotnio siedzi w mamrze. My wiemy, że to był on.

Till miał wrażenie, jakby całe powietrze wokół niego uciekło z pokoju.

Ostateczność tej wiadomości odebrała mu dech.

– Ale nie wiecie, gdzie jest Maks. Musicie szukać go dalej! – zaoponował gardłowym głosem.

Skania kiwnął głową.

– Wierz mi, że gdybym ja to prowadził, wszystko byłoby inaczej. Ja bym kazał każdy kamień w tym mieście przewracać tak długo, aż byśmy go znaleźli. I nie przejmowałbym się, że nie mamy na to ani pieniędzy, ani personelu. Ale właśnie z tego powodu nie powierzono

mi oficjalnie tej sprawy.

– No jasne.

Skania jako brat jego żony był osobiście zaangażowany w sprawę. Jak miałby obiektywnie prowadzić śledztwo? Ale jeśli nawet nie należał do ekipy dochodzeniowej, to jeszcze wcale nie znaczyło, że jego koledzy odcięli go od dopływu informacji.

– Nie wolno im wstrzymywać poszukiwań Maksa. Ja muszę wiedzieć, co się stało z moim chłopcem!

– Przecież dobrze wiesz, co się z nim stało – odparł Skania.

Tak. To prawda. Wiedział.

Till podrapał się po swoim dziesięciodniowym zaroście, który może miał i dwa tygodnie. Odkąd Maks zniknął, wszystkie dni były do siebie podobne.

Wstawanie. Myślenie o Maksie. Ubieranie się. Myślenie o Maksie. Rozpacz. Myślenie o Maksie. Rozbieranie się. Myślenie o Maksie. Pójście spać. Myślenie o Maksie. Rozpacz. Bezsenność. Myślenie o Maksie. Wstawanie.

A odkąd odeszła od niego Ricarda, nie musiał się już nawet ubierać ani rozbierać.

– Znasz los innych dzieci. – Skania próbował łagodnie przemówić mu do rozumu.

Tak. Znał go. Dziewczynka, chłopiec. Siedem i sześć lat. Tramnitz porwał oboje z ogródków przed domami, kiedy się bawiły. Przebrał się za doręczyciela paczek, odurzył dzieci i wywiózł je do piwnicy swojego domu, gdzie w inkubatorze własnej roboty je dręczył, wykorzystywał, a potem zabił. Żadne dziecko nie przeżyło w jego rękach dłużej niż czterdzieści osiem godzin. A Maks zaginął już ponad rok temu. Krótco potem, jak sąsiedzi widzieli na ulicy furgonetkę DHL

i kuriera z dwukołowym wózkiem wyładowanym paczkami.

Niedługo później ten bydlak został aresztowany. Znalezione zwłoki Miriam Schmidt, matki uprowadzonej Laury. Prowadząc własne dochodzenie, za bardzo zbliżyła się do odkrycia Tramnitza i było to w momencie, kiedy morderca po zbrodni jeszcze miał tę samotną matkę na oku prawdopodobnie po to, żeby się delectować jej cierpieniem. Po ujęciu Tramnitza znaleziono w jego mieszkaniu liczne zdjęcia i nagrania wideo ukazujące Miriam, jak przypina do drzew ulotki ze zdjęciem swojej córki albo przemierza ulice, na których jej dziecko było widziane po raz ostatni. Jej teoria, że sprawca przebiera się za dostawcę czy kuriera, była strzałem w dziesiątkę i dlatego Tramnitz postanowił usunąć ją z drogi, zanim ona pójdzie z tym na policję. Tylko przypadkowo został zaobserwowany, kiedy chciał ukryć jej zwłoki w hangarze na łodzie nad Kanalem Teltowskim, i tak oto Miriam w końcu jednak umożliwiła wykrycie mordercy jej córki i co najmniej jeszcze jednego dziecka. Przyciśnięty do muru Tramnitz zaprowadził policję do zwłok Laury i sześciolatniego chłopca z dzielnicy Pankow. Tylko o losie Maksa milczał.

– Chodź, muszę ci coś pokazać.

Till minął Skanię i poczłapał do łazienki, otworzył szafkę pod umywalką i wyjął pojemnik z odświeżaczem powietrza.

– Ambi pur? – spytał Skania zbity z tropu.

– Aerozol przeciw potworom – odpowiedział Till, co niewiele Skanii wyjaśniało.

– To było półtora roku temu. Popełniłem wtedy błąd i opowiedziałem Maksowi straszną historię na dobranoc. Sam o nią prosił, bo oglądał w kinie *Vaianę: Skarb oceanu* i bardzo się bał demona Te Ka. No i poprosił, żebym ja też opowiedział mu coś

straszego. Wiem, wiem, nie powinienem mu opowiadać o potworze o zielonych oczach siedzącym w szafie. Odtąd każdej nocy przychodził do nas do łóżka, dopóki mu nie powiedziałem, że w sklepie dla duchów kupiłem aerozol przeciw potworom.

Till potrząsnął pojemnikiem z odświeżaczem o nazwie Lawenda na Dobranoc”.

– Wyjaśniłem mu, że kiedy się tym popsika do szaf i na łóżko, to można spać spokojnie. Wtedy nic się nie stanie. I on w to uwierzył.

Łzy napłynęły mu do oczu.

– Każdego wieczoru rozpylałem to w jego pokoju i już nie budził się w nocy i nie wkładał się do nas do łóżka. Spał odtąd całą noc. Maks się już nie bał.

– Till, przestań!

– Myślisz, że pytał swojego porywacza o aerozol przeciw potworom?

– Jego głos się załamał. – Wiesz, leżę tak wciąż z otwartymi oczami, patrzę w sufit i słyszę, jak Maks woła o aerozol przeciw potworom, bo się tak bardzo boi. Ale nie ma nikogo, kto by mu go przyniósł. Nie ma aerozolu. Jest tylko sam potwór...

– Maks nie żyje! – Skania podniósł głos.

– Ja wiem!

Till cisnął pojemnikiem w lustro, które jakimś cudem nawet nie pękło.

– Ja wiem, że on nie żyje – powiedział, z każdym słowem coraz bardziej podnosząc głos, aż w końcu zaczął na szwagra wrzeszczeć. – Ale ja muszę go zobaczyć, jego zwłoki! Ja muszę pochować Maksa, nie rozumiesz tego?! Potrzebuję pewności!!!

Wybiegł z łazienki, a Skania za nim.

– Naturalnie, że to rozumiem. Ja chcę tego tak samo jak ty... czy

Ricarda.

– Twoja siostra odeszła ode mnie. Z Emilią.

Skania zmierzył Tilla współczującym wzrokiem od stóp do głów.

– Wiem. Powiedziała mi. Ale bądźmy szczerzy, dziwisz się jej? Popatrz na siebie. Zapuściłeś się. Popadłeś w rezygnację. Nie stawiasz czoła prawdzie.

– A co to jest prawda?

Jego szwagier podniósł obie ręce do góry. Till zobaczył plamy potu pod jego pachami.

– Jak ten bydlak nam nie powie, gdzie możemy znaleźć Maksa... – Skania odchrząknął. – Sam wiesz, jak to było z innymi dziećmi. Czytałeś raporty policyjne. Gdyby on nas nie doprowadził do zwłok, to nigdy byśmy nie znaleźli tych biedactw, tak dobrze je ukrył. Głęboko pod starym wysypiskiem, nawet psy szkolone do znajdowania zwłok nic nie wyczuły. Ale odkąd on siedzi pod kluczem...

Nic już nie mówi. Ani piśnie. Milczy.

Till zamknął oczy.

Za radą swojej adwokat Tramnitz zamilkł po swoim pierwszym przyznaniu się, pozostawiając tym samym Tilla w najgorszej sytuacji z możliwych: w niepewności. Ale ponieważ Niemcy są państwem prawa, to już sama groźba tortur jest karalna. Nawet w stosunku do potwora. Nie można nic zrobić, żeby skłonić tę bestię do mówienia.

Nic, chyba że...

Tillowi przyszła do głowy pewna myśl. Była absurdalna, niemal śmieszna, zupełnie bez sensu. A mimo to był to pierwszy od dawna pomysł, który go uskrzydlił.

„Co by pan zrobił z oskarżonym, gdyby go pan dostał w swoje ręce?”

– Jaką mamy pewność, że Tramnitz ma na sumieniu mojego syna? –

spytał Skanię.

– Dotąd nasze przypuszczenia były pewne na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ale od godziny mamy pewność stuprocentową.

– A to czemu?

– Oni coś znaleźli – powiedział jego szwagier. – Właściwie to dlatego tu jestem.

Till poczuł mdłości. Świat dookoła niego zaczął wirować, więc oparł się na krzesło, które postawił przed telewizorem.

– Co? – zapytał, i już to jedno słowo kosztowało go niewiarygodnie dużo wysiłku.

Co znaleźli?

Skania otworzył swoje łapsko, ale początkowo Till nie mógł w nim nic dostrzec. Pełne drobiniek kurzu światło przedostające się do pokoju przez żaluzje padało pod tak niekorzystnym kątem, że go oślepiało. Zwłaszcza że przedmiot w ręce Skanii był biały i mały... *i z plastiku!*

– Luke Skywalker – wyszeptał Till i cofnął się, jakby figurka Lego w rękę Skanii mogła zarazić. – Gdzie to znaleźli?

– Na nocnym stoliku Tramnitza. Jak go zawieźli na operację. Ten bydlak całkiem otwarcie wystawił na pokaz swoje trofeum w wariatkowie. I jeszcze coś.

– Jeszcze jeden dowód?

– Możliwe.

Skania jeszcze bardziej naciągnął fałd skóry.

– Krążą plotki. Można powiedzieć, więzienna poczta pantoflowa.

– Że co?

– Podobno Tramnitz się przechwala, że w klinice prowadzi pamiętnik i opisuje swoje czyny.

Frieder, słucham?

Widząc nieznany numer wyświetlony na swoim prywatnym telefonie, zaintrygowany chirurg usiadł znowu przy biurku. Miał właśnie wyjść z gabinetu, który oddano mu do dyspozycji, żeby udać się na wychodzący na ogród poziom kliniki Stein, gdzie znajdowała się sala operacyjna.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam – usłyszał dźwięczny, głęboki głos.

Co prawda mężczyzna mówił trochę tak, jakby był słaby i wyczerpany, przez co jego słowa prawie zagłuszał monotony szum ulewy za oknem. Tu na pierwszym piętrze kliniki zawodzenie wiatru, szukającego sobie drogi przez przewody wentylacyjne i szyby wind, brzmiało jak skowyt załęcznionego psa.

– Kto mówi? – spytał niecierpliwie Frieder.

– Nazywam się Till Berkhoff. Jestem ojcem Maksa.

O, do licha.

Frieder przełknął ślinę i odruchowo kiwnął głową.

Teraz wiedział, z kim rozmawia. A że mógł się mniej więcej domyśleć, z czym ten biedak zwraca się do niego, serce zaczęło mu bić szybciej. Tętno wzrosło i zrobiło mu się gorąco.

– Skąd pan ma mój numer?

– Jako były strażak mam wciąż jeszcze dobre kontakty z władzami.

Frieder sięgnął do szyi i odpiął górny guzik swojej różowej koszulki polo. Różowy to był jego ulubiony kolor, ponieważ był zdania, że dobrze pasuje do jego opalenizny z solarium.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Nie wolno mi rozmawiać z panem o moim pacjencie.

– Ja nie chcę rozmawiać. Ja chcę, żeby pan coś dla mnie załatwił.

W głosie rozmówcy brzmiała zimna zawziętość. Frieder od razu zrozumiał, co Berkhoff ma na myśli mówiąc o „załatwieniu czegoś”.

Mógłby też powiedzieć, że trzeba „uwolnić świat od problemu”, „wziąć sprawiedliwość w swoje ręce” albo „oszczędzić podatnikom niepotrzebnych kosztów”.

– Czy pan nagrywa rozmowę? – spytał Frieder, gasząc lampę na biurku. Teraz już naprawdę musiał się udać do bloku operacyjnego, żeby się przygotować.

– Mój syn to nie jest temat na sensacyjny artykuł – fuknął Berkhoff, zwracając teraz swój gniew wprost przeciwko Friederowi.

– Przepraszam, nie to miałem na myśli. Tylko jest taka sprawa, że ja... – zawahał się. – Ja nawet nie mogę rozważać tego, czego pan sobie ode mnie życzy.

Choć to rozumiem. Ja także pragnąłbym bolesnej śmierci dla kogoś, kto by uprowadził i zabił mojego syna.

– Przeciwnie, może pan.

– Nie. – Ręce Friedera zaczęły drżeć. – Nie mogę i nie chcę nikogo

zabijać – powiedział głośno.

Z pełną świadomością złożył jednoznaczne i szczere oświadczenie, na wypadek gdyby Berkhoff jednak nagrywał rozmowę. Ku jego zdumieniu ojciec zaprzeczył.

– I nie powinien pan tego robić.

– A co w takim razie?

Usłyszał, jak Berkhoff wyciera nos, po czym przeprosza i mówi:

– Proszę pana o coś zupełnie przeciwnego.

– Nie rozumiem.

– Otóż proszę pana, nie, ja pana błagam, niech pan zrobi wszystko, co w pana mocy, żeby Guido Tramnitz wyszedł z tego. On musi przeżyć operację, rozumie pan? Jest jedyną osobą, która wie, co się stało z moim synem. Nie może zabrać tej tajemnicy ze sobą do grobu.

– Dobrze – powiedział Frieder poruszony. – Zrobię, co będę mógł.

Emocjonalna, nieoczekiwana, ale w końcu zupełnie zrozumiała prośba ojca poruszyła go do głębi. Kiedy zakończył rozmowę, palce tak mu drżały, że nie miał innego wyboru.

Nie mógł ich uspokoić w inny sposób, niż tylko raz jeszcze sięgając do szuflady biurka, żeby sobie golnąć. Niedużo.

Tylko dwadzieścia gram.

Pacjent T?

– Tak.

– A co to niby ma być?

– T, czyli tajny, pracujący pod przykrywką. Chcę, żebyś mnie przemycił do kliniki Stein.

– Do Tramnitza?

– Właśnie, jako pacjenta na psychiatrię.

Poirytowany podobnym do przesłuchania charakterem ich rozmowy Till odwrócił się od Skanii i wyjrzał przez okno.

Jesienny wicher miotający deszczem pognał plastikową torebkę przez trotuar do płaczącej wierzby, na której gałęziach się zaczepiła niczym ostatni strzęp poszarpanego żagla. W ogrodzie nie było widać ani jednego ptaka, ani wiewiórki, żadnej żywej istoty. Nic dziwnego przy takiej ulewie. A jednak Till wolałby być na dworze, wystawiony na siły przyrody, niż siedzieć tu w ciepłe i beczynnym czekać nie wiadomo na co.

Za jego plecami szwagier odchrząknął i już samym tym

zdenierwował Tilla. Od powrotu z łazienki Skania nie przestawał go strofować. Znowu zaczął.

– Wszystko dobrze, pomijając już to, że w policyjnym żargonie T nie zawsze oznacza śledczego pracującego pod przykrywką, tylko bardziej kontakt operacyjny...

– ...czyli osobę niebędącą członkiem organów ścigania, która jest gotowa udzielić im pomocy w wykryciu sprawcy przestępstwa – uzupełnił Till, przewracając oczami. – Ty mi tu nie czytaj Wikipedii.

– A ty mi oszczędź twoich głupkowatych propozycji – zagrzmiał Skania. – Nawet gdybym chciał, a nie chcę, to jak miałbym cię tam przemycić? Idiotal Island to nie jakiś park rozrywki, gdzie można sobie po prostu wejść niby przypadkiem i spokojnie się rozejrzeć.

I niewątpliwie miał rację.

Klinika Psychiatrii Sądowej w Reinickendorf była najsilniej strzeżonym zakładem zamkniętym. Ze względu na swoje położenie na półwyspie na Tegeler See, gdzie stanowiła jedyny kompleks budynków, w Berlinie mówiło się o niej potocznie Idiotal Island, nawiązujące do brandenburskiego parku wodnego Tropical Island. Początkowo chciał tu otworzyć wielki hotel pewien nadziany inwestor. Kiedy jednak w rezultacie typowego chaosu w berlińskiej polityce nie doszło do terminowego zamknięcia portu lotniczego w środku miasta, nikt nie chciał bulić sześciuset pięćdziesięciu euro dziennie za przyjemność ukołysania do snu przez ryk odrzutowców. Nie pomógł nawet projekt sławnego architekta, który wzorując się na Białym Domu w Waszyngtonie, wyposażył gmach w pełne przepychu wejście z kolumnadą i trzypiętrowe skrzydła od strony zachodniej i wschodniej.

W końcu grunt z budynkiem w stanie surowym kupił prywatny

właściciel kliniki i dzisiaj zamiast bogaczy, grubych ryb czy polityków znajdowali się tu najniebezpieczniejsi psychopaci w Niemczech. Złośliwi twierdzili przy tym, że stan ducha aktualnych rezydentów wcale tak bardzo nie odbiega od stanu ducha tych, którzy mieli tu przebywać według pierwotnego planu. Można tu było napotkać gwałcicieli ze schizofrenią, sadystycznych morderców, szaleńców o zaburzonych popędach. Był tu na przykład malarz krwią, trzydziestodwuletni człowiek o powierzchowności wykładowcy akademickiego, którego hobby było malowanie krajobrazów marynistycznych płynami ustrojowymi jego wykrwawiających się ofiar, które musiały się temu przyglądać.

Guido Tramnitz był tu więc w jak najlepszym towarzystwie, wśród innych sprawców przestępstw, których sąd uznał za niepoczytalnych z powodu choroby psychicznej, skazując na bezterminowy pobyt w tym zakładzie psychiatrycznym.

Till nabrał głęboko powietrza i wypuszczając je, mówił:

– Nie mam pojęcia, jak to zrobisz, ale ja muszę się tam dostać. Do Tramnitza.

– Po co? Żeby rozwalić makówkę mordercy twojego syna?

Till pokręcił głową.

– Ja muszę mieć pewność, rozumiesz? Nie mogę tak dalej żyć. Potrzebuję czegoś, czego mógłbym się uchwycić. Żeby się pożegnać. Rozumiesz?

W oczach szwagra widział odpowiedź. Naturalnie że go rozumiał. Oliver Skania był policjantem. Wiedział, jaki wpływ na rodziców ma wiadomość o śmierci dziecka. Ich życie się kończy. Tracą na zawsze duszę, szczęście, wszystko, co trzymało ich przy życiu. Ale nawet wtedy są i tak jeszcze w lepszej sytuacji niż ci rodzice, którym nigdy

nie jest dana stuprocentowa pewność, co się stało z ich dzieckiem. Bo u nich agonía nigdy nie ma końca.

– Czuję się jak koń z połamanymi nogami w przydrożnym rowie.

– Więc to spotkanie z Tramnitzem byłoby dla ciebie czymś w rodzaju ciosu łaski?

– Właśnie. On nie rozmawia ani z policją, ani z prokuraturą czy sędzią. Więc to ja muszę się znaleźć blisko niego. Chcę wiedzieć, gdzie ukrył zwłoki Maksa.

– Iście genialny pomysł. Tramnitz ci to na pewno wyzna dobrowolnie i zupełnie bez przymusu.

Till znowu pokręcił głową.

– Może wcale nie będę musiał nawet z nim gadać, jeśli znajdę jego pamiętnik.

Skania roześmiał się.

– Czyś ty się z choinki urwał? To tylko plotka. A nawet gdyby on istniał, w co wątpię, to Tramnitz chyba czegoś takiego nie będzie trzymał na wierzchu.

Till rozumiał logikę zawartą w słowach Skanii, ale nie chciał zaakceptować prawdy, bo inaczej musiałby przyznać sam przed sobą, że porywając się na straceńcze przedsięwzięcie, nie ma żadnego planu.

– W strefie pod specjalnym nadzorem nie powinno być chyba zbyt wielu miejsc, gdzie można coś ukryć – stwierdził więc niemal zadziornie.

– Właśnie. Sam to powiedziałaś: pod specjalnym nadzorem! Nie mam bladego pojęcia, jak miałbyś się poruszać po tym wariatkowie, a co dopiero dobrać się do Tramnitza. Nawet gdybym ja dokonał tego, co niemożliwe, i załatwił ci wstęp, to i tak cię wsadzą co najwyżej na

tradycyjny zamknięty oddział psychiatryczny. A Tramnitz ma klasyfikację zagrożenia stopnia IV.

Skania podniósł rękę i wyliczał na palcach.

– A to oznacza: skanowanie ciała w śluzie dostępu na jego oddział, sprawdzanie odcisku palca i tęczy w przejściach ważnych dla bezpieczeństwa i podwójne ogrodzenie nadzorowanej przez drony strefy zewnętrznej, przypominające mur berliński.

– Będę się o to martwić, jak się tam znajdę. Coś wymyślę.

– Idiotyzm! Nie spodziewaj się, że będę cię wspierał w tej straceńczej misji.

– Ach, nie? – spytał Till, chwytając pęk swoich włosów tuż nad czołem. I wyrwał go.

W uszach mu zatrzeszczało, jakby rozgniótł kilka komórek folii bąbelkowej naraz.

Krew szybciej zalała mu twarz, niż Skania zdążył wrzasnąć.

– Cholera, co ty robisz?

– Przygotowuję się.

Till próbował upuścić na ziemię swoje wyrwane włosy, co było trudne, bo ręce miał spocone. Potem chwycił kolejny kosmyk, tym razem pośrodku głowy.

– Przestań, Jezu. Nie!

Szarpnął po raz drugi. Jeszcze gwałtowniej. Ból było łatwiej znieść niż obfite krwawienie; krew kapła już na podłogę.

– Czyś ty postradał rozum, idioto?

Till zmusił się do uśmiechu.

– No proszę, jak szybko cię przekonałem. Więc jak będzie?

– Co niby?

Till pokazał mu pęk włosów, które jeszcze przed chwilą zdobiły jego

głowę, a teraz jak części skalpu kleiły się do jego umazanej krwią ręki.

– Jak skończę z włosami, to napiję się chlorowego wybielacza z łazienki. A w oczekiwaniu na karetkę znajdę sposób, żeby wybić sobie zęby. Może się nawet odważę wgnieść sobie oko w oczodół.

– Zwariowałaś.

– Tak. Jestem zagrożeniem dla samego siebie.

Till pokazał wybrzuszenie w miejscu, gdzie Skania miał broń służbową.

– A kiedy spróbuję ci zabrać pukawkę, to będę nawet zagrożeniem dla innych. Jak sam widzisz, jakoś trafię na oddział zamknięty. No więc?

Till wyrwał sobie kolejny, jeszcze większy pęk włosów z głowy.

– Kurwa, człowieku! – zaklął Skania. Prawie krzyczał. – Już dobrze, przestań! Zobaczą, co się da, okej?

Przez chwilę stał przed Tillem kompletnie wytrącony z równowagi. Sytuacja całkowicie go przerosła. Potem zrobił to, co zawsze, kiedy miał wszystkiego dosyć. Wymaszerował prostą drogą z pokoju, trzaskając drzwiami za sobą.

Till odczekał jeszcze minutę, a potem zaczął płakać. Z ulgi, że szwagier chce mu pomóc. Z bólu, który dopiero teraz zaatakował z pełną siłą, kiedy hormony stresu przestały utrzymywać jego organizm w stanie gotowości alarmowej.

I ze strachu.

Boże, jak ja się boję.

Till nie miał najmniejszego wyobrażenia, na co się porywa, gdyby Skania miał rzeczywiście spełnić ostatnie życzenie w jego życiu i pomóc mu stać się pacjentem tej kliniki.

9

PATRICK WINTER

Śmierć stała w pokoju o sto metrów w linii prostej od przedszkola i pociła się.

Przez sięgające do podłogi szyby tarasowych okien Patrick Winter patrzył tępym wzrokiem na zaniedbany ogród sąsiadujący z przedszkolnym wybiegiem. Obie działki oddzielała tylko wąska droga gospodarcza.

Gdyby ktoś odważył się zajrzeć do środka, zobaczyłby na parterze domu drżącego mężczyznę po czterdziestce, który właśnie przegrał w zmaganiach z wewnętrznymi demonami. Nieco za długie, kręcone włosy były z trudem zebrane, wydatna broda niestarannie ogolona. Zimny strach w zmęczonych oczach.

Na zewnątrz, na ulicach willowej okolicy Ruhleben w pobliżu stadionu olimpijskiego, ktoś taki nie zwracałby niczyjej uwagi. Nie dzisiaj, nie tego wieczoru, kiedy grasowały o wiele dziwniejsze postaci. A przy tym było już po ósmej wieczorem. Na tym spokojnym mieszczańskim osiedlu o tej porze oglądano zwykle wiadomości albo jedzono kolację w kręgu rodziny. Spacerowały się znowu

dopiero wtedy, kiedy dzieci poszły spać. Chyba że wyjątkowo pozwolono by im dłużej być na nogach, żeby mogły włóczyć się po ulicach w charakterze czarownic, widm lub duchów.

Dziś przypadało Halloween. I nawet sprzyjający przeziębieniom ciągły deszcz ostatnich dni nie był w stanie odwieść dzieci i młodzieży poprzebieranych za wampiry, szkielety lub zombi od upiększenia ogródków przed domami sąsiadów papierem toaletowym, jeśli nie otworzą drzwi.

Cukierek czy psikus?

Patrick wbił zęby w skórę między kciukiem a palcem wskazującym, żeby nie zacząć głośno krzyczeć.

Przez ostatnie pół godziny cztery razy rozległ się dzwonek u jego drzwi. Chłopcy z przemalowanymi na potwory twarzami, dziewczynki przebrane za widziadła, dzieci trzymające w rękach oświetlone dynie.

Raz nawet Patrick otworzył drzwi i dał małemu chłopcu w kombinezonie z namalowanym szkieletem i sztucznymi pajęczynami we włosach jeden z tych batonów czekoladowych, którymi się w ostatnich dniach prawie wyłącznie żywił.

Najwyżej ośmioletni chłopiec, którego rodzice czekali na ulicy, nie przypominał wcale Jonasa, naturalnie, że nie. A mimo to jego duże, pytające oczy przywiodły mu na pamięć syna.

Patrick miał chęć pomachać do niego na pożegnanie. Pomyślał, że może wszystko by się wtedy zmieniło.

Gdybym ja pomachał ręką, a on się uśmiechnął.

A tak to tylko patrzył w ślad za nim, kiedy spieszył do swoich rodziców, żeby wraz z nimi i batonem w ręce zniknąć za rogiem ulicy, a tym samym z jego życia.

Odtąd Patrick już nie reagował na dzwonki do drzwi, rozlegające się w pustym domu. „Perełce architektonicznej”, jak nieruchomości zachwalał ongiś jemu i Lindzie pośrednik; Linda była akurat w szóstym miesiącu z Jonasem. Co wyjaśniało, dlaczego w ogóle mogli sobie pozwolić na ten dom. „Perełka architektoniczna” oznaczała w żargonie tego pośrednika handlu nieruchomościami ekscentryczny charakter, zniechęcający potencjalnych nabywców; i rzeczywiście, rozkład pomieszczeń był tu w najwyższym stopniu nietypowy. Zaczynało się to już od salonu, gdzie poprzedni właściciel wpuścił w podłogę mniej więcej sześciokątny basen z jacuzzi. Dziwaczny pomysł nawet dla singli (kto się kąpie przed telewizorem?), a przy dzieciach stanowiący wręcz zagrożenie dla życia, wobec czego razem z Lindą wyłożyli wannę poduszkami i przerobili na „kącik do zabawy i przytulania”.

Na przebudowę nie mieli pieniędzy, choć świat był wtedy jeszcze w porządku, bez bólu nie do zniesienia. Dlatego też w otwartej kuchni zostały brzydkie płytki w czarno-białą szachownicę. W przeciwieństwie do Lindy, która nie została i odeszła od niego już dawno.

Słusznie.

Patrick omiół wzrokiem kasztanowiec, w który dwa lata temu uderzył piorun, i spojrzął w stronę jasno oświetlonej świetlicy przedszkola Leśny Kot, gdzie trwało już zebranie rodziców.

Akurat dzisiaj!

Dorośli siedzieli od trzech kwadransów w kręgu w odnowionej świetlicy, na śmiesznie małych krzeselkach dla dzieci w wieku od dwóch do sześciu lat, które tu przebywały za dnia. Dzieci o imionach takich jak Jasmin, Igor, Aleksander, Jura, Thorben, Mehmet – *i Frieda*.

Moja Frieda.

Przynajmniej ona jeszcze żyje.

Patrick był na pewno jedynym rodzicem nieobecny bez usprawiedliwienia. Wszyscy inni, którzy nie mogli przyjść, jak na przykład Linda, wpisali się jak należy na listę nieobecnych wyłożoną przy wejściu albo przynajmniej napisali e-mail, jeśli zapomnieli to zrobić przy odbieraniu dzieci w ostatnich dniach.

W przedszkolu Leśny Kot panował porządek, tu wszystko odbywało się zgodnie z regulaminem.

Czy oni się mnie w ogóle spodziewają po tym wszystkim, co zaszło? Bądź co bądź pięćdziesiąt procent moich dzieci chodzi przecież jeszcze do tego przedszkola.

Pozostałe pięćdziesiąt procent gnije gdzieś w ziemi.

Patrick otarł łzy z kącików oczu i popatrzył na pistolet w swoim ręku.

Uprawiał strzelectwo sportowe, miał pozwolenie na broń i regularnie trenował w klubie strzelanie. Wiedział, jak przyłożyć pistolet, żeby mieć pewność, że się rzeczywiście rozwali mózg.

Ale im dłużej patrzył w kierunku przedszkola, obok zniszczonego kasztanowca, na którego pniu chciał zbudować domek do zabawy dla swoich dzieci, tym mniej mu pasowało użycie broni palnej.

Źle. Tchórzliwie. Zbyt łagodnie.

Patrick oderwał się od okna i poszedł przez pokój do sieni, gdzie otworzył drzwi do piwnicy. Choć pomieszczenia na dole były przerobione na cele mieszkalne – z jasną wykładziną dywanową, brodzikiem i wpuszczającymi światło oknami sutereny – przy schodzeniu owiał go typowy zaduch piwniczny z wilgotnego kurzu i starych książek.

Tego zapachu też będzie mi brakowało.

Na dole Patrick wszedł do sypialni dla gości, której łóżko było świeżo zasłane, jakby niebawem spodziewali się wizyty. Tylko warstwa kurzu na narzucie świadczyła o tym, jak długo nikt tu nie sprzątał.

Sięgnął pod łóżko i wyciągnął sportową torbę, z którą dawniej zawsze jeździł na siłownię. Od trzech miesięcy (od najgorszego ze wszystkich złych dni) nie potrzebował już treningu, żeby utrzymać wagę. Stracił apetyt.

Patrick otworzył torbę i wpatrywał się w plastikowe butelki bez etykiet, dawniej napełnione wodą mineralną, a teraz cieczą w kolorze bursztynu. Cztery butelki po siedemset pięćdziesiąt mililitrów.

Wyniósł je od dozorczy w piwnicy szklanego wieżowca, w którym rezydował jego pracodawca, Xantia, jedno z największych prywatnych towarzystw ubezpieczeń zdrowotnych w Niemczech, przy placu Poczdamskim. Jego biuro wielkości pudła na kapelusze znajdowało się na dwudziestym drugim piętrze, dział zarządzania ryzykiem, bądź co bądź, z widokiem na filharmonię.

Niedługo nie będę miał już żadnych widoków.

– No, to zaczynajmy – powiedział Patrick i otworzył pierwszą butelkę.

Czas przyodziać mój płynny kostium na Halloween.

Włożył pistolet do torby i wyjął pierwszą butelkę. Zamknął oczy, wylewając zawartość na głowę i włosy, i otworzył je dopiero, żeby odkręcić drugą butelkę, którą polał sobie tułów. Nie udało mu się przy tym uniknąć wdychania oparów, które podrażniły mu nos i gardło, zmuszając do kaszlu, mimo to kontynuował czynności.

Na górze ktoś zadzwonił do drzwi.

Cukierek czy coś gryzącego?

Postawił puste butelki na poplamionej teraz wykładzinie dywanowej i czekał, aż dzieci czy młodzież dadzą za wygraną. Potem wszedł po schodach na górę, wracając do pokoju z bezużytecznym basenem pośrodku. Otworzył drzwi na taras i przemoczony do nitki wyszedł na wilgotne i zimne jesienne powietrze.

Znowu padał deszcz, ale tych parę kropli nie zdoła udaremnić jego planu. Za dużo wylał na siebie benzyny.

– No dobrze – powiedział, żeby dodać sobie odwagi, i pomacał kieszeń spodni. Dopiero kiedy upewnił się, że w dżinsach nadal znajduje się sztormowa zapalniczka Zippo, ruszył obok zniszczonego kasztanowca w kierunku przedszkola.

10

FRIEDER

No, niechże pan to przyzna, doktorze Frieder!

Guido Tramnitz wydawał się dziwnie rozbawiony jak na pacjenta, który akurat, leżąc na boku bez narkozy, ma się poddać operacji tętnicy szyjnej.

– Nie miałyby pan nic przeciwko temu, żeby się panu przez nieuwagę omsknęła ręka, co?

Frieder usiłował nie słyszeć lekko nosowego, aroganckiego głosu mordercy dzieci i kobiet, koncentrując się na maleńkim złotym zacisku trzymanym w ręce. Asystujący mu ordynator Hopf zaznaczył prawą tętnicę szyjną poniżej rozgałęzienia niebieską tasiemką; Frieder zwykł nazywać to miejsce rubasznie „naczyniowym śmietnikiem”.

Tu, gdzie *carotis communis* rozgałęziała się na odnogi zaopatrujące twarz i mózg, powstawały często turbulencje przepływu krwi, powodujące odkładanie się wapnia i tłuszczu. Częściej zdarzało się tak u emerytów. Ale choć muskularny, wysportowany Tramnitz mający dwadzieścia osiem lat ściśle uważał na to, co je, prześwitywały już u

niego przez delikatnie różową powłokę arterii żółtopomarańczowe złogi i Frieder musiał je teraz z mozołem usuwać.

– Dlaczego by tego bydlaka nie poddać tu i teraz zasłużonej karze – tak pan sobie przecież teraz myśli, może nie?

Nie. Myślę o Tillu Berkhoffie i jego rozpaczliwej prośbie, żeby cię uratować, ty bydlaku.

Tramnitz uśmiechnął się. Przy tej trudnej operacji narkoza była wykluczona, dopuszczalne było tylko miejscowe znieczulenie, żeby można było stale nadzorować neurologiczne funkcje pacjenta. Niestety, wskutek tego nie można też było zatkać mordy temu ścierwu.

– Proszę ścisnąć moją rękę! – powtarzała doktor Andrea Schilf, anestezjolog, żeby oprócz mimiki kontrolować także motorykę pacjenta, ilekroć Frieder podejmował nowe czynności. Między nią a chirurgiem rozpięta była zielona płachta operacyjna, nad której skrajem oboje mogli mieć kontakt wzrokowy. Schilf obserwowała Tramnitza z lewej strony, podczas gdy Frieder zajmował się prawą tętnicą szyjną. Właśnie zakładał złoty zacisk, podobny do spinacza biurowego, na decydujące rozgałęzienie i rzeczywiście świerzbiły go palce, żeby popełnić przy tym błąd.

Frieder wiedział rzecz jasna, że takie myśli są nieetyczne. Ale przecież był tylko człowiekiem. Przed telefonem Berkhoffa zastanawiał się właśnie, co by takiego złego się stało, gdyby mu się „omsknęła ręka”. Nikt by nie płakał po tym bydlaku. Wprost przeciwnie. Jeśli operacja się powiedzie, to bestia od inkubatora, jak prasa nazwała tego byłego pielęgniarza z oddziału dziecięcego, jeszcze przez lata będzie żyć na koszt państwa. Jako tykająca bomba dla innych więźniów, a w razie ucieczki nawet dla kolejnych rodzin.

W dodatku wyglądało na to, że Tramnitz za wszelką cenę stara się go sprowokować.

– Niech pan zapomni o przysiędze Hipokratesa i pomyśli lepiej, co ja robiłem z tymi dziećmi, Frieder.

– Cicho! – fuknęła na niego anestezjolog, ale Tramnitz nie dał się zbić z tropu.

– Miałem zawsze ciuchy na zmianę, wie pan. Dla chłopaczków i dziewczynek. W torbie w bagażniku, różne rozmiary, bo chciałem przecież być przygotowany na wszystko. Jak je już miałem w aucie, przebierałem je. Żeby nie można ich było tak łatwo poznać w razie za szybkiej kontroli. Przeważnie te młodziaki robiły to same z siebie. Myślały, że to zabawa. – Tramnitz zarechotał. – Jak były w inkubatorze, to już tak nie myślały.

O Boże. On mówi tak, jakby ofiar było więcej niż dwie. O wiele więcej niż dwie.

– Inkubatory sam budowałem. O wiele lepsze niż te małe skrzynki, jakie mieliśmy do dyspozycji w klinice Virchowa. – Tramnitz westchnął, jakby upajał się wspomnieniami o pięknym urlopie nad morzem. – Wspaniałe, mogłem w nich wszystko z nimi robić. Głaskać je, karmić, przewijać – ech. Marzenie.

– Rozdzielam teraz dopływ krwi – oznajmił Frieder głośno, zaczynając najbardziej krytyczny dwudziestominutowy etap operacji. Kiedy oddzielił prawą odnogę rozgałęzienia, nie wolno już było popełnić żadnego błędu. Od niej zależał mózg.

Chory mózg psychopaty.

– Mogło tak trwać wiecznie. Gdybym tylko trzymał się z daleka od tej flądry. Ale mamuśka musiała prowadzić własne poszukiwania. Mało już brakowało, żeby odkryła moją sztuczkę z paczkami. Wtedy

głosy rozkazały mi ją zabić.

Głosy, no pewnie.

Frieder nie mógł pojąć, jak psychiatrzy i sędziowie mogli dać się nabrać na taką bujdę. Tramnitz był z pewnością opętany, ale nie przez niewidzialne moce sterujące jego myślami, tylko przez żądę mordy. Jego miejsce było w więzieniu, najlepiej w syberyjskim obozie pracy, a nie w szpitalu psychiatrycznym z całodobową opieką.

Frieder zamknął na chwilę oczy, otworzył je znowu i przyłożył skalpel.

– Gdybym lepiej usunął jej zwłoki, to nigdy by nie wpadli na mój ślad. No, cóż, każdemu zdarza się coś spieprzyć, nie?

Frieder spojrzał na Hopfa, który tylko pokręcił głową ostrzegawczo, jakby chciał mu powiedzieć: „Spokojnie, nie spiesz się. Nie zrób błędu. Ten facet nie jest tego wart”.

Ale Frieder nie mógł się powstrzymać.

– Niech mnie pan posłucha. Próbuję właśnie uratować panu życie. Dlaczego nie może pan w rewanżu mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby wyznać wszystkie swoje czyny rodzicom, którym przysporzył pan tyle bólu i cierpienia?

– Czy ja się myślę, czy pan pije do mojej figurki Luke’a Skywalker’a? – powiedział Tramnitz.

– Jak już pan otwarcie wystawia na pokaz swoje trofea, to może się pan też przyznać.

– Jakie trofea? – Tramnitz zachichotał. – Policja wciąż mnie wypytywała o tę figurkę. Po prostu sprawiłem ją sobie, żeby wiedzieć, jak ona w ogóle wygląda.

Frieder pochwycił kolejne spojrzenie ordynatora, znowu połączone z kręceniem głową. „Przestań. To nie jest odpowiednia chwila”.

Ale on musiał sobie ulżyć.

– Dobrze, to nie ma sensu. Proszę po prostu zamknąć swoją parszywą mordę, kiedy my tu pracujemy – powiedział z tym skutkiem, że Tramnitz głośno się roześmiał. Jego szyja się poruszyła i nie można było wykonać dokładnego cięcia.

– Bo co? Bo wtedy i u mnie naruszy pan nerw krtaniowy, tak jak u Floriana Brodera?

Frieder zastygł w pół ruchu.

Skąd u diabła Tramnitz o tym wie? To nazwisko nigdy nie przeciekło do prasy.

Ach tak, racja. On pracował w klinice Virchowa. Tak jak ja wtedy.

Plotkarstwo w szpitalu było jeszcze gorsze niż na Facebooku.

– Niewinna operacja tarczycy, a teraz Broder ma podwójny paraliż więzadeł głosowych i musi być do końca życia podłączony do respiratora, zgadza się? A wszystko przez to, że na dzień przed operacją znowu za głęboko zaglądał pan do kieliszka.

– Nie daj się wyprowadzić z równowagi. Niestety nie możemy go wyłączyć, Hartmut – szepnął Hopf, ale Tramnitz go usłyszał.

– Hartmut? Myślałem, że wśród kolegów ma pan ksywkę „Wermut” Frieder. – Tramnitz zachichotał. – Dlatego że zawsze musi pan sobie golnąć dla kuraju. À propos, a jak tam było dzisiaj? Czy na moje konto też już pan coś zatankował?

– Zaraz pan się przekona – syknął wściekły Frieder i przeciął mu tętnicę szyjną.

11

PATRICK WINTER

Dorośli nie wiedzieli, co robić. Niektórzy siedzieli z otwartymi ustami na przedszkolnych krzeselkach, inni uczestnicy zebrania odwracali się. Jedna z matek, w sweterku w kwiaty, której syn Emil chodził do grupy Słoneczek, zatkała sobie nawet nos.

On sam wcale już nie czuł woni benzyny, ale zapachowe świece na parapetach przed kolorowo pomalowanymi oknami nie mogły zapewne zagłuszyć tego zapachu.

Patrick musiał cuchnąć jak stacja benzynowa. Albo jeszcze gorzej.

– Czy zechce pan usiąść? – spytała Wiktoria. Prowadząca zebranie wychowawczyni była pierwszą i jak dotąd jedyną osobą, która się do niego odezwała.

Dotąd tylko on mówił. Słowa wylewały się z niego jak wodospad, odkąd wstukał kod otwierający drzwi przedszkola, znany wszystkim rodzicom.

– Bardzo przepraszam, bardzo przepraszam – powtarzał, wchodząc do świetlicy wykorzystywanej na przedstawienia teatralne, śpiewanie i wspólne posiłki. Dzisiaj była miejscem zebrania około piętnastu

uczestników, którzy na jego widok wszyscy się wzdrygnęli.

– Na pewno nie spodziewaliście się ujrzeć prawdziwego ducha, co? No bo kto w Halloween chciałby napotkać kogoś takiego jak ja?

Roześmiał się półprzytomnie i przejechał palcami po włosach mokrych od deszczu i benzyny.

– No, no. Co z wami? Nie róbcie takich urażonych min. Wasze dzieci przecież jeszcze żyją.

Wyciągnął zapalniczkę z kieszeni spodni i wzniosł ramię do góry jak Statua Wolności. Nikt nie wstał. Nikt się nawet nie ruszył. Z wyjątkiem Wiktorii, która chwyciła komórkę, pewnie po to, żeby wezwać policję, ale to mu było tylko na rękę.

– Na pewno wszyscy chcielibyście, żebym dzisiaj został w domu, no nie? Albo żałujecie, że nie posłuchaliście swoich marudzących dzieci, które wołały się przebierać za upiory. Ale mama i tata musieli przecież iść na zebranie, co za główniane planowanie terminów. – Spojrzał groźnie na Sonię, jedną z wychowawczyń. – Jak można to było zaplanować akurat na trzydziestego pierwszego października? Co trzeba mieć we łbie?

Puknął się w wilgotne czoło.

– Dzisiaj przecież nie będzie dyskusji, czy bachory mogą zabierać ze sobą swoje zabawki albo ile słodyczy może się znaleźć w pojemniku z jedzeniem. Dzisiaj trzeba przegnać błędzące dusze umarłych. Tak jak na przykład duszę Jonasa. Tak jak moją duszę.

Zakrztusił się śliną i zaczął kasłać.

– Tak, tak, głupio to wyszło, drodzy rodzice. Nie przebraliście się. A teraz ja się ważyłem tu przyjść. Teraz jestem tutaj. Żywy dowód na to, że istnieje zło. Że dzieci muszą umierać. Nie tylko w telewizji czy gazecie. Ale tu, w Berlinie, na naszych oczach.

W tym miejscu większość rzeczywiście odwróciła wzrok. W zakłopotaniu, w szoku. W przerażeniu. Mężczyźni i kobiety.

– Przykro mi, że muszę wam zniszczyć ten idylliczny piękny świat. Popatrzcie na mnie!

Te ostatnie słowa wykrzyczał. Do pary gejów z adoptowanym dzieckiem; babci zastępującej rodziców, ciężko pracujących maklerów, którzy znowu nie mogli przyjść na zebranie. I naturalnie do wzorowych nadopiekuńczych par, które poprzychodziły razem, żeby pokazać, jak ważne są dla nich ich pociechy, i trzymały na kolanach notatniki, jakby tu była szkoła i coś tu było tak ważne, żeby trzeba to było notować.

No to zapiszcie sobie wszyscy wielkimi literami:

– WY TYLKO ZWYCZAJNIE MIELIŚCIE SZCZĘŚCIE!

Patrick krzyczał na nich, mając ślinę w kącikach ust. Nadal trzymał przy tym w górze prawą rękę z zapalniczką.

– To, co mnie się przytrafiło, mogło spotkać też i was. Zdaje się wam, że jesteście nieomylni? Nie. Nie jesteście. I dlatego wcale nie sądzę, żeby...

– Panie Winter?

To był ten moment, w której łagodny głos Wiktorii trochę go zbił z pantafiku.

Odwrócił się do sześćdziesięciodwuletniej wychowawczynie, która jak zazwyczaj miała na sobie pomarańczową batikową sukienkę. Ze względu na pogodę zamieniła dzisiaj swoje baleriny na kalosze.

– Czy zechce pan usiąść? – spytała, wskazując wolny taboret.

– Nie, nie. Ja chcę tylko...

Urwał, kiedy mu podała telefon. Chciała, żeby rozmawiał z policją?

– Pańska żona przy aparacie – powiedziała Wiktoria i Patrick musiał

przyznać, że to było sprytne zagranie. Zawsze miał wysokie mniemanie o wychowawczyni, która niedługo miała iść na emeryturę, po tym jak dzięki swemu doświadczeniu już tuziny pokoleń wykierowała na ludzi. Zadzwoiła do Lindy i tego jej posunięcia nie przewidział.

Jak mądrze.

Jak empatycznie.

Wziął do ręki komórkę i próbował przemóc ucisk w gardle.

– Linda?

– Co się dzieje, skarbie?

Skarbie.

Od jak dawna tak go już nie nazywała? Dawniej robiła to trzy razy dziennie. Rano, w południe, wieczorem. Co najmniej. Ale razem z synem z ich wspólnego życia wyrwane zostały także czułe słówka.

– Kochanie, przykro mi, teraz nie mogę mówić. Wszystko ci napisałem. List przyjdzie pocztą.

– Nie rozumiem. Co ty tam robisz?

– Jestem na zebraniu rodziców.

– Wiem. Ale co ty zamierzasz? Oni mówią, to znaczy, Wiktoria mówi... Chyba nie chcesz zrobić jakiegoś głupstwa?

Pokręcił głową, nie spuszczając zebranych z oka. Z tych wszystkich baranów tutaj najprędzej po muskularnym sprzedawcy samochodów z idiotycznymi kolczykami w uszach można się było spodziewać, że przyjdzie mu do głowy odstawić bohatera i walnąć go krzesłem w łeb.

– Już zrobiłem największe głupstwo w moim życiu, kiedy...

– To nie ma sensu – przerwała mu Linda. Ona też teraz płakała. – Skarbie, jak ty się wykończysz, to nie zwróci nam naszego dziecka.

– To prawda. Ale cokolwiek zrobię, ty też nie wrócisz, prawda?
Straciłem całą rodzinę.

– Kochanie...

– Zasługuję na piekło.

– Nie, poczekaj. Proszę. Cokolwiek chcesz zrobić, nie rób tego!

– Ja muszę spłonąć, Lindo, zrozum w końcu. I nie tylko ja. Niech wszyscy rodzice się przekonają, jak to jest, płonąć w piekle.

Dlatego tu jestem.

Mówiąc to, zapalił zapalniczkę i przyłożył sobie do włosów.

Ułamek sekundy później, kiedy wszyscy rodzice jakby z jednego gardła wydali okrzyk przerażenia, jego głowa stanęła w ogniu.

○ 20.45 karetka pogotowia mknęła po mokrym od deszczu asfalcie, wymuszając sobie miganiem niebieskich świateł i syreną wolny przejazd na miejskiej autostradzie. Od czasu do czasu pojazd musiał ostro hamować, kierowca trąbił energicznie, a raz na zakręcie wóz nawet wpadł w poślizg, ale wyszedł z niego i dalej gnał na wysokich obrotach po kałużach i zalanych wodą jezdniach.

Deszcz wciąż się wzmaczał. Podobnie jak strach jedyne go pasażera w tylnym przedziale do przewozu pacjentów.

Po dziesięciu minutach jazdy wóz zwolnił tempo. Zakołysał się łagodnie, jakby jechał po nieutwardzonej drodze, a potem pod oponami zaskrzypiał gruby żwir. Wreszcie pojazd się zatrzymał, a syrena zamilkła. Na krótko, tylko jakieś pół minuty, zanim spod daszka parkingowej budki nie wyszedł człowiek z nadwagą i nie wdrapał się do pojazdu.

Potem karetka pogotowia pognała dalej.

– A więc ty naprawdę chcesz to zrobić! – stwierdził Skania, zmierzyszy wzrokiem Tilla na poły z podziwem, na poły

z obrzydzeniem. Z powodu wzrostu musiał trochę zniżyć okrągłą głowę. Owłosioną łapą trzymał się ramy noszy, do których przypięty był Till. Naturalnie tylko na pokaz. Wszystko będzie musiało wyglądać prawdziwie, kiedy się na dobre zacznie.

– Masz akta tego gościa? – spytał Till i jego szwagier kiwnął głową.

Ubranie Skanii było przemoczone do suchej nitki. Policjant musiał dość długo czekać na karetkę, niedostatecznie osłonięty przed deszczem. Wyciągnął spod kurtki brązową kartonową teczkę i otworzył ją.

– Nazywasz się teraz Patrick Winter, masz czterdzieści jeden lat i pracujesz w Xantii.

– Tej od ubezpieczeń zdrowotnych?

– No właśnie. Byłeś zatrudniony w głównym oddziale przy placu Poczdamskim jako aktuariusz.

– A co to za cholera?

– To taki matematyk od ubezpieczeń. Oblicza składki, prognozuje ryzyko, takie tam.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Co tak wytrzeszczasz gały?

– Ja mam się wcielić w jakiegoś geniusza od liczenia? Człowieku, ja w straży byłem od brudnej roboty, nie pamiętasz? Z moimi ocenami wzięli mnie tylko na taką posadę. Ledwo się doczołgałem do małej matury, a z matmy nigdy nie dostałem lepszego stopnia niż trzy z dwoma.

– A kto mówi, że Winter był geniuszem od liczenia?

– Każdy, kto umie rachować, jest dla mnie geniuszem – powiedział Till.

– A poza tym, pozwól łaskawie sobie przypomnieć, że ten cały

debilizm to był twój pomysł. Ja nie mogę sobie na eBay'u zamówić tożsamości dla ciebie. Ale nie ma problemu, jeśli tylko chcesz, możemy to wszystko z miejsca odwołać.

– Nie, nie, już dobrze – powiedział pospiesznie Till, żeby Skania za bardzo się nie rozpędził. Zbyt często prowadzili w ostatnich dniach tę dyskusję. – Już oni mnie tam chyba nie będą zmuszali do liczenia w pamięci, a nawet gdyby, to w końcu przecież nauczyłem się wykręcać prawie od wszystkiego. À propos, co właściwie zrobił ten Patrick Winter, że go chcą wsadzić do kliniki Stein?

– Wylał sobie na łeb benzynę w przedszkolu na zebraniu rodziców i podpalił – odparł Skania.

– A to dlaczego?

Skania spojrzał na Tilla, jakby jeszcze nigdy nie słyszał równie idiotycznego pytania.

– A dlaczego ja mam nadciśnienie, a moja siostra niedoczynność tarczycy? Skąd ja niby mam wiedzieć? Patrick Winter jest chory i zmęczony życiem. Bierze antydepresanty chyba już od czasów studenckich.

Stuknął grubymi paluchami w teczkę, jakby chciał powiedzieć: Tu jest wszystko napisane.

– W każdym razie ostatecznie szczęśliwie się złożyło, że się poczesaleś pięściami. – Wskazał na opatrunek na głowie Tilla.

Po samookaleczeniu Till zgolił sobie wszystkie włosy z głowy, a rany natarł pastą jodynową. *Szczęście w nieszczęściu*. Jak mu ktoś zdejmie opatrunek z głowy (a nastąpi to bardzo szybko), to będzie to wyglądało w miarę autentycznie, a i zapach środków opatrunkowych będzie odpowiedni.

– Jest żonaty, ma dzieci? – dopytywał się Till o Patricka Wintera.

– Dwa razy tak. Jego żona ma na imię Linda, mają pięcioletnią córkę Friedę.

Rok młodsza od Maksa.

– A gdzie Winter jest teraz? – zapytał Till.

– W lodówce.

Till podniósł głowę, unosząc brwi, kiedy Skania zamykał teczkę z dokumentami.

– Niecałe dwie godziny temu zmarł wskutek próby samospalenia. Krótco potem, jak sędzia wyraził zgodę na przymusowe skierowanie do kliniki Stein, bo ten gość stanowił oczywiste zagrożenie nie tylko dla samego siebie, ale i dla ogółu.

Till opuścił głowę. A więc to dlatego wszystko poszło tak szybko. Ledwo Skania się rozłączył, a już przed jego domem stała zapowiedziana karetka pogotowia.

– Taka szansa się nie powtórzy, co? – spytał Till.

– Może to nie żadna szansa, tylko po prostu wariactwo – mruknął Skania, robiąc niechętny gest, jakby chciał powiedzieć: „A rób sobie, co chcesz”.

Till milczał przez chwilę, a potem zadał zabronione pytanie:

– Jak ty to zrobiłeś, że mogłem przejąć tożsamość Wintera?

Skania skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

– Ty na serio myślisz, że ja ci zdradzę, jak my organizujemy nasze śledztwa pod przykryciem? – Roześmiał się smętnie. – Ja naruszyłem jakieś dwadzieścia ustaw i dwa razy tyle regulaminów służbowych, kiedy uruchomiłem moje znajomości, żeby świadectwo zgonu Patricka Wintera zostało podarte, jego zdjęcie w aktach zamienione na twoje, a tamtych dwóch sanitariuszy z przodu zostało twoimi szoferami. Oficjalnie Winter cudem wyszedł z tego z lekkim

zaczerwienieniem skóry na głowie, bo przedszkolanka wykazała przytomność umysłu, użyła gaśnicy i zdołała zapobiec najgorszemu. A tak naprawdę to jego głowa wyglądała jak pieczona śliwka. A moja będzie wyglądać jeszcze gorzej, jeśli ten numer kiedykolwiek wyjdzie na światło dzienne. Nie mam ochoty, żebyś w to wciągnął jeszcze i moich kolegów, gdybyś się kiedyś wygadał.

Till skwitował tę odpowiedź krótkim „hm”.

– Czy zorganizowałeś w klinice wszystko, o co cię prosiłem? – spytał Skanię, kiedy wóz stanął, nie gasząc silnika, pewnie pod światłami. Ze swoich noszy Till mógł wyrzeć na zewnątrz tylko przez wąskie górne okienko w bocznej ścianie wozu, i nawet to było do połowy zaklejone. Przez mokrą szybę widział wygiętą latarnię uliczną i poruszaną przez wiatr koronę drzewa w alei.

– Zrobiłem tyle, ile się dało w krótkim czasie. – Skania również spojrzał na górne okienko. – Zaraz będziemy na miejscu. – Odwrócił się znowu do Tilla na noszach. – Pytam cię po raz ostatni: czy ty na pewno tego chcesz?

Till przy ostatniej rozmowie już udzielił szczegółowej odpowiedzi, więc teraz ograniczył się do kiwnięcia głową.

Tak. Muszę tam się dostać. Do Tramnitza.

Muszę mieć pewność.

Jego szwagier najwyraźniej nie liczył na zmianę postanowienia, ale znowu niechętnym kręceniem głową wyraził swoje zdanie na temat całego przedsięwzięcia.

– No dobrze, to uważaj. – Policjant zaczął w końcu swój krótki monolog. – Nie za wiele dało się dla ciebie zaaranżować tam na miejscu, ale lepsze to niż nic. Jak cię przywiozą do silnie strzeżonej kliniki, to pozabierają ci wszystkie osobiste przedmioty. Dostaniesz

dres, zanim nie przeszukają twoich łachów. Jasne, że zaraz ci zabiorą telefon, tak samo jak wszystkie ostre przedmioty, pasek i dużo innych rzeczy. Dlatego też nie możesz ze sobą zabrać akt Wintera. Ale jak dobrze pójdzie, będziesz mieć osobę do kontaktów.

– Kogo?

Skania nie lubił, żeby mu przerywać, mlasnął zniecierpliwiony.

– Ona nazywa się Seda, wystarczy, że będziesz znać jej imię. Co bardzo ważne: ona nie jest przyjaciółką, ani nawet zaufaną osobą. Nie wiemy, na ile można na niej polegać. Wiemy tylko, że za pieniądze zrobi wszystko.

– A jako kto ona tam pracuje?

– Prowadzi autobus – powiedział Skania niecierpliwie.

– Jaki znowu autobus?

– Szybko sam się dowiesz. – Skania spojrzął na zegarek. – Nie traćmy teraz czasu na drugorzędne sprawy. Dużo ważniejszy jest sposób skontaktowania się z nami w razie czego.

– Jaki?

– Przez telefon alarmowy. On jest w bibliotece. Regał trzeci, rząd drugi. Zaraz za Bibliami schowana jest gruba cegła. To *Ulisses* Jamesa Joyce’a. Ten stary gniot jest gruby i zakurzony, jeszcze nigdy nie wypożyczył go żaden z pacjentów. Nawet gdyby go ktoś miał znaleźć przypadkowo, to wygląda na pierwszy rzut oka jak całkiem normalna książka. Ale w rzeczywistości od strony osiemdziesiątej czwartej jest w środku wydrążony. W wycięciu znajdziesz małą komórkę Nokii. Możesz z niej wysyłać SMS-y i telefonować, ale nie da się łączyć z Internetem.

– Jasne – powiedział Till. Wszystko inne za bardzo obciążałoby akumulator, a przecież trudno było trzymać telefon stale włączony do

prądu.

– No a numery? – spytał Skanię.

– Mój numer jest zapisany. Służbowy pod jedynką, prywatny pod dwójką. Hartza znajdziesz pod trójką.

Hartz był adwokatem i notariuszem Tilla. Złożył u niego zaprzysiężone oświadczenie, że jest w pełni władz umysłowych i że tylko pozoruje chorobę, żeby dać się umieścić w klinice Stein. Tak więc notariusz był jedyną osobą oprócz Skanii oficjalnie wtajemniczoną we wszystko i musiał zachować tajemnicę adwokacką. Till nie wtajemniczył nawet Ricardy, choć gryzło go, że jego żona będzie się martwić o niego, kiedy nagle zniknie z pola widzenia.

– Gdyby miały się pojawić jakieś trudności, to wystarczy dać mi sygnał, dzwoniąc trzy razy. Wtedy spróbuję cię stamtąd wyciągnąć.

– Jak to, spróbuję? – spytał Till szwagra.

– To ty tego chciałeś, Till. Chciałeś się znaleźć jako pacjent na oddziale zamkniętym. Więc bardzo cię proszę. Jak już przekroczysz próg kliniki, to nie będzie podwójnego dna ani siatki łagodzącej upadek. Ani, rzecz jasna, wtajemniczonych lekarzy. Nawet Seda nie wie, co się dzieje. Bo gdybym rozmawiał o tym z kimś z oficjalnego personelu, to ja bym tu leżał na tych noszach zamiast ciebie, i to mnie by wieźli do psychiatryka. Nikt by się oficjalnie nie zgodził na takie obłąkańcze przedsięwzięcie, żaden komisarz, żaden lekarz.

– Ja...

– Zamknij się, jeszcze nie skończyłem. Chcę i muszę ci powiedzieć po raz ostatni: jakby coś ci się stało w twojej celi, na dziedzińcu, pod prysznicem czy tylko w pokoju zabiegowym, to tam na miejscu nikt nie będzie mógł ci pomóc. Dla lekarzy, pielęgniarzy i sióstr będziesz zupełnie normalnym świrem. A i ja będę potrzebował czasu, żeby cię

w razie czego stamtąd wyciągnąć. Rozumiesz? Nie mogę tak sobie po prostu zadzwonić do szefowej kliniki i powiedzieć: „Prima aprilis, droga pani profesor Sängner. Ten Patrick Winter z pokoju 211 to tylko udaje. To żaden matematyk, tylko strażak. Niech go pani szybciotko wypuści”.

Skania zrobił pauzę, a karetka zwolniła. W jego spojrzeniu pojawiło się współczucie.

– Ale przysięgam ci, że poruszę niebo i ziemię, jeśli wyślesz sygnał alarmowy.

Till podziękował, a potem spytał:

– A jak ja się dostanę do biblioteki? Ona chyba nie dla wszystkich jest dostępna.

– To jeden z jakiegoś tysiąca problemów, w których będziesz zdany tylko na siebie. Zastanów się lepiej, jak dostać przeniesienie do Tramnitza i wkraść się w jego zaufanie. I jak się pohamować, żeby mu przy pierwszym spotkaniu zaraz nie rozwalić łba.

Karetka się zatrzymała, a kierowca zapukał od przodu w oddzielającą ściankę.

– Muszę wysiąść – stwierdził Skania. – Nie będę na promie.

Till nerwowo przełknął ślinę.

– Na jakim promie?

Przecież do Steinwerder można się dostać drogą?

– Dojazd został podmyty. Deszcz jest coraz bardziej gwałtowny, na wyspie i tak już mają duży problem z za wysokim poziomem wody. Choćby dlatego nie powinieneś tam siedzieć za długo.

Skania po przyjacielsku poklepał Tilla po ramieniu.

– Trzymaj się, stary. Wiem, że nie powinienem tego mówić, ale naprawdę podziwiam twoją odwagę. Tylko czy myślisz, że gra jest

warta świeczki? Tych wszystkich niebezpieczeństw i ryzyka?

Till ciężko przełknął ślinę. Ledwo mógł poznać własny głos, kiedy powiedział:

– Ja już straciłem to, co najważniejsze w moim życiu. Co mi się teraz jeszcze może stać?

Deszcz łomotał o dach karetki jak żwir, a Skania milczał, dopóki ponowne pukanie nie przynagliło go do pośpiechu. Tym razem od strony drzwi.

Chciał się już odwrócić, ale zatrzymał się i wygrzebał z małej kieszonki w dzinsach białą pigułkę.

– Masz.

– Na co mi to?

– Po tym będziesz lekko przymulony. W tej chwili jesteś trochę za spokojny i za racjonalny. Twoja maskarada będzie bardziej wiarygodna, jeśli cię przywiozą pod wpływem środków uspokajających. A poza tym oficjalnie masz jeszcze lekkie oparzenia na głowie, Till.

– Patrick – poprawił szwagra i chwycił się za głowę. – Od teraz nazywam się Patrick Winter. I dziękuję za tabletkę. Mam o wiele lepszy plan, jak zaraz po przywiezieniu pozostawić niezatarte pierwsze wrażenie.

RICARDA BERKHOFF

Ricarda Berkhoff była tak zdesperowana, że nie przeszkadzał jej nawet odór taniego oleju do smażenia frytek, który zdawał się wypełniać wszystkie pory jej rozmówcy.

Jeszcze rok temu naśmiewała się z naiwniaków, którzy dają sobie wyciągać pieniądze z kieszeni różnym podejrzanym naciągaczom.

Sami są sobie winni, jeśli tacy głupi.

A teraz ona sama siedziała przed wróżbiarzem.

A dokładniej, stała przed nim. Bo w „gabiniecie” Gedeona Schultza nie było ani stołu, ani krzeseł, co wynikało głównie z tego, że odbywał seanse na zapleczu baru sieci przekąskowej, dla której pracował etatowo.

– Ja właściwie już się tym nie zajmuję – powiedział Gedeon, powtarzając to, co już jej przekazał przez telefon.

Wyglądał młodziej, niż sugerował jego głos. Jak nastolatek z czerwonymi krostami i puszką na górnej wardze. Tyle tylko, że okres dojrzewania miał już od dwudziestu lat za sobą.

– Były z tego same kłopoty.

Gedeon zdjął z głowy idiotyczną papierową czapkę, którą musiał nosić każdy pracownik giganta od fast foodów. Ricarda zwróciła na niego uwagę, przeczytawszy artykuł w gazecie: McMystery, sprzedawca frytek dysponujący ponoć nadnaturalnymi zdolnościami, który po godzinach pomaga rodzinom nawiązać kontakt z zaginionymi osobami.

Przypadkiem, czy nie, rzeczywiście policji udało się przy jego pomocy odnaleźć zaginioną dziewczynę.

Gedeon postawił dwa pudełka burgerów jedno na drugim i gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca, ale ona odmówiła.

– Niestety nie mogę pani zaoferować nic innego.

Przez pewien czas sieć fast foodów korzystała z jego darmowej reklamy i Gedeon otrzymał nawet część pokoju socjalnego pracowników na swój „gabinet”. Kiedy jednak potem zbyt wielu różnych narwańców przychodziło do okienka drive-in pytać o numerki totolotka albo inne przepowiednie, łaskawość się skończyła i dzisiaj już tylko wyjątkowo pozwalano mu spotykać się z klientami w magazynie.

– Ma pani to, o co prosiłem?

Podziała mu zdjęcie Maksa. Takie, które jeszcze nie dostało się do prasy i które jej syn sam musiał mieć w ręku. Ricarda oderwała to zdjęcie z kolażu, który Maks zrobił w pierwszej klasie na dożynki. Było to jedno z niewielu zdjęć, na których ten zamyślony chłopiec się uśmiechał.

– Straciła pani nie tylko syna – stwierdził Gedeon, patrząc na zdjęcie, na którego odwrocie zostały jeszcze resztki kleju.

– O czym pan mówi?

– Męża też, mam rację? Już nie ma go u pani boku.

– Skąd pan... – Ugryzła się w język. – Przepraszam. Pan pewnie tak samo jak inni magicy nie będzie chciał mi zdradzić, jak pan to robi?

Gedeon uśmiechnął się skromnie. Miał tak łagodny głos, że Ricarda musiała się mocno skupić, żeby usłyszeć każde słowo w bębnieniu ulewnego deszczu o blaszany dach magazynu.

– Mogę powiedzieć. I z magią nie ma to nic wspólnego. – Wskazał jej rękę. – Nie nosi już pani obrączki. A odcisk na palcu świadczy, że zdjęła ją pani dopiero niedawno.

– O – powiedziała. – Co jeszcze pan widzi?

– Niedawno przestała pani karmić dziecko.

– Mówi to panu moje ciało?

Ricarda skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby mogła tym gestem dodatkowo wpłynąć na jego wrażenie.

– Mówi mi to raczej pani biustonosz, który wygląda na trochę za luźny, bo jest pani właśnie w fazie między jednym rozmiarem a drugim.

Ricarda kiwnęła głową. Była przyzwyczajona, że jest surowo oceniana, i długo się zastanawiała, co ma włożyć na tę okazję, choć w jej sytuacji nic nie powinno być mniej ważne niż takie zewnętrzne sprawy. Niestety, to właśnie na nie ludzie najbardziej zwracali uwagę.

- Jest zadbana i dobrze odżywiona, czy zaginięcie syna nie powinno bardziej nią wstrząsnąć?

- Jest wychudzona, po prostu mizerna. Na jej twarzy nie widać śladu matczynej miłości.

- Popatrz, ta sukienka jest skromna, ale nowa. Jak można w takiej sytuacji myśleć o łożeniu po sklepach?

- Czemu ona nosi takie stare ciuchy, co za fleja. Jeśli tak samo prowadziła dom, to może dzieciak po prostu zwiął?

Cokolwiek by miała na sobie, i tak będą ją krytykować. Naturalnie mogła nie dbać o zdanie ogółu, ale to właśnie ten ogół miał teraz mieć oczy i uszy otwarte, żeby trafić na ślad małego Maksa, zwłaszcza teraz, kiedy prawie nikt go już nie szukał.

Zwłaszcza teraz.

Była więc pewna, że także jej dzisiejszy wygląd (luźne dżinsy, sznurowane zimowe trzewiki, bez szminki, tylko bezbarwna pomadka do ust, gęste włosy splecione w warkocz) będzie przyjęty nieprzychylnie.

– Widzę, że sytuacja panią całkowicie przerasta – mówił dalej Gedeon.

– Chyba trudno się spodziewać czegoś innego – skomentowała gorzko.

– Poznają jednak, że pani nerwowość bierze się nie tylko z tego, że mi pani nie ufa, ale też i z tego, że musi pani dokonać wyboru.

– Co proszę?

– Musi pani podjąć decyzję.

– A jaką?

– Czy będziemy tu dalej tracić czas, czy też zaraz pani stąd wyjdzie, najlepiej nie tymi samymi drzwiami, przez które tu weszliśmy.

Ricarda wytrzeszczyła oczy na Gedeona i stwierdziła, że ma on lekkiego zeza.

– Nie rozumiem.

– Mamy tu dwa wyjścia. Tamto z tyłu prowadzi przez kuchnię.

Pokazał tanie drzwi z laminowanej dykty na drugim końcu magazynu. Obok nich stały stalowe regały pełne białych wiader, które wyglądały tak, jakby były wypełnione chemikaliami, i pewnie tak właśnie można by było określić znajdujący się w nich majonez.

– Ja bym wyszedł przez te drzwi. Nie przez roletową bramę od strony parkingu.

– Dlaczego mam już wychodzić? Jeszcze mi pan przecież nic nie powiedział.

– Ale pani mnie tak. Już za dużo się dowiedziałem i sędzę, że lepiej będzie zakończyć tę sesję.

Ricarda wydała z siebie odgłos zaskoczenia, przypominający bardziej odkaszlnięcie. Liczyła się z tym, że spotkanie będzie miało dziwny przebieg, ale nie aż tak.

– Dlaczego?

– Bo czuję, że nie jest pani szczerą.

– Że co pan czuje?

Przejechał ręką po twarzy, odgarniając nieistniejący kosmyk włosów, i powiedział:

– Teraz mówimy o sprawach, których nie umiem objaśnić, tylko wyczuć.

– I co takiego pan niby wyczuwa?

– Że nie przyszła tu pani sama. Że tam na zewnątrz ktoś czeka.

– Kto?

– Ktoś, kto jest pani winien pieniądze.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Gdybym znała kogoś, kto mi jest winien pieniądze, to dawno bym je wydebiła, może mi pan wierzyć.

Kiwnął głową.

– Pewnie, taki rozwód to są koszty. Nowe mieszkanie, nowe ciuchy.

Czuła, jak się czerwieni. Till zawsze się z nią z tego powodu droczył, mówiąc, że jej emocje można wyczytać z jej mimiki jak podpisy na filmie.

– Nawet jeśli dostanie pani alimenty, to w fazie przejściowej może być krucho z forszą – ciągnął Gedeon. – A za atrakcyjną story w mediach dobrze płacą, jeśli się nie mylę. Zwłaszcza za coś w stylu „Zrozpaczona matka idzie po radę do wróżbity”.

– Moje dziecko zaginęło, ty debilny dupku – wyrwało się Ricardzie. Wyszarpnęła mu zdjęcie z ręki. – Ty przeklęty idioto – mówiła bardziej do siebie niż do tamtego szarlatana, mocując się z zamknięciem torebki. – Przychodzi człowiek do takiego, a ten mu ubliża i jeszcze go poniża.

Ostatecznie wsadziła zdjęcie do kieszeni płaszcza i chciała wyjść. W roletowej bramie, przez którą tu weszła, znajdowały się drzwi, których otwarcie w zdenerwowaniu było dla niej w tej chwili równie trudne, jak przedtem otwarcie torebki. Odwróciła się. Zrobiła głęboki wdech, potem wydech i powiedziała:

– Jak pan śmie mówić mi coś takiego prosto w twarz?

– Nie lubię być wykorzystywany – odparł zimno Gedeon.

– Kto dał panu prawo z taką pogardą deptać uczucia matki?

Nareszcie przypomniała sobie, że Gedeon przedtem przekręcił klamkę do góry, żeby otworzyć drzwi. Ale jakkolwiek się trudziła, klamka ani drgnęła.

– Czy pan mnie tu zamknął?

Odwróciła się raptownie.

Im bardziej ona była rozjuszona, tym bardziej Gedeon wydawał się spokojny. Wstał i uśmiechnął się tak samo uprzejmie jak przy powitaniu.

– Bez obawy, zaraz panią wypuszczę. Jak tylko się pani uspokoi i przyjmie moje przeprosiny.

– Przeprosiny? – To wszystko robiło się coraz bardziej kuriozalne.

– Tak. Bardzo panią przepraszam – powiedział Gedeon, wykonując swój drugi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. – Ale to było konieczne.

– Co było konieczne?

– Potrzebne mi były pani prawdziwe uczucia, pani szczere emocje. Musiała pani zdjąć maskę, w której pani tu przyszła.

Czy on zbzikował?

– Ja nie noszę maski.

– O, każdy ją nosi. Bez pancerza bylibyśmy bezbronni wobec przeciwności losu. Pani na przykład zwróciła moją uwagę na brak obrączki na palcu dopiero wtedy, kiedy próbowała pani nieświadomie zakryć ten palec ręką. Jest pani przykro, że małżeństwo się rozpadło.

Ricarda zrobiła lekceważący ruch ręką i jeszcze raz zażądała, żeby ją wreszcie wypuścić.

Gedeon niezrażony dalej wyjaśniał jej coś, czego wcale nie chciała wiedzieć.

– Mówią, że ludzie po pijanemu pokazują, kim są naprawdę. Ponieważ nie sprzedajemy tu alkoholu, musiałem panią rozgniewać, bo według moich doświadczeń gniew ma podobne działanie.

Machnęła ręką.

Dosyć bzdur na dzisiaj. Chcę stąd wyjść.

– Niepotrzebnie tu w ogóle przychodziłam.

Kiwnął głową.

– Dobrze rozumiem, że pani tak to widzi. Tak się kończy większość pierwszych sesji u mnie.

Jeśli wszystkie tak zaczynasz, to nic dziwnego.

– Niech się pani z tym prześpi, teraz, kiedy się już poznaliśmy. A jeśli będzie pani chciała kontynuować... Wie pani, gdzie mnie znaleźć.

No jasne, na pewno.

Raz jeszcze wskazał drugie drzwi i tym razem Ricarda zdecydowała się skorzystać z wyjścia między regałami na wiadra, które przynajmniej dało się otworzyć bez przeszkód.

Byle już stąd wyjść.

Zaraz za drzwiami znalazła się w korytarzu prowadzącym do kuchni, w której trzech pracowników w śmiesznych mundurkach układało mięsne formatki na prasowanych bułkach. Prawie nie zwrócili na nią uwagi, kiedy omijając frytkownicę, pospiesznie przeszła do utrzymanej w jaskrawych kolorach strefy restauracyjnej.

Byle dalej stąd. Byle już w końcu wyjść.

Wyszła pospiesznie na ulicę, gdzie zaparkowała samochód, i potknęła się chcąc ominąć kałużę. Jej włosy coraz bardziej nasiąkały wodą, kiedy siłowała się z diabelną torebką, żeby wreszcie wyjąć kluczyki od samochodu. Kiedy jej się to udało, czuła się tak, jakby wyszła w ubraniu spod prysznic.

Wyczerpana opadła na fotel kierowcy.

Oparła głowę na kierownicy i zamknęła oczy.

„Za atrakcyjną story w mediach dobrze płacą”.

– Co za dupek!

Ktoś zastukał w boczną szybę. Opuściła ją i spojrzała w zdenerwowaną twarz mężczyzny, który wydawał się nieco za stary, żeby nosić hipsterską brodę i kolczyk w nosie. W dodatku miał na głowie zupełnie nieodpowiednią do pogody wełnianą czapkę, która już nasiąkła wodą jak gąbka.

– Co się dzieje? – spytał.

– Przykro mi – powiedziała Ricarda.

– Czekaliśmy na panią przy tylnym wyjściu.

Kiwnęła głową. Pełna wstrętu do samej siebie rzekła:

– Wiem. Ale po prostu nie mogłam.

Potem zamknęła szybę, uruchomiła silnik i po prostu zostawiła kierownika produkcji ekipy telewizyjnej w ulewnym deszczu.

14

W klinice

TILL

Śmierć.

Tak musiał się czuć ktoś, kogo ona trzymała w swoim uścisku. Duszącym, nieubłaganym i zimnym. Pochłaniającym wszelkie wspomnienie ciepła, miłości i bezpieczeństwa, skazującym na niepowodzenie jakąkolwiek próbę ucieczki.

Till był jak przysypany lawiną. Próbował się przebić z powrotem na surową powierzchnię swojej świadomości. Próbował oddychać, poruszać klatką piersiową, potem nogami i rękami. Miał wrażenie, jakby usiłował pływać w wodzie o gęstości rtęci.

Jedna część rozumu podpowiadała mu, że to tylko skutki uboczne środka na uspokojenie, który dali mu po przywiezieniu do kliniki Stein.

Zaraz po tym, jak zacząłem świrować.

Pierwsze, co zdołał sobie przypomnieć, to na pół otwarta rura szklanego skanera do całego ciała, w której stanął po przybyciu.

Z rękami do góry, w postawie „poddaję się”. Pozbawione paska spodnie powoli, ale nieuchronnie zjechały mu z wąskich bioder. Czuł się jak zamroczony, zdenerwowanie i transport na leżąco zrobiły swoje.

– Może pan iść dalej. – Z głośnika na suficie rozbrzmiał dźwięczny anonimowy głos, oznajmiając zakończenie cyfrowej rewizji osobistej.

Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie się znalazł w kompleksie budynków, ale domyślał się, że karetka zatrzymała się pewnie w podziemnym garażu. Przeznaczona pierwotnie na część kuchenną hotelu część podziemna została zapewne przerobiona na strefę przyjęć pacjentów.

Till poszedł za strzałką namalowaną na szarej, antyseptycznej wykładzinie podłogowej z plastiku do śluzy przypominającej mu wewnątrz kontenera okrętowego, z kamerami wideo na gołym suficie. Idąc, miał wrażenie kołysania. Jak w karetce, kiedy wjechała na prom, który go przewiózł tu na wyspę, gdzie była klinika Stein.

Za śluzą czekało na niego dwóch pielęgniarzy, którzy wyglądali na takich, co poradziliby sobie także z bardziej muskularnym pacjentem niż Till. Uśmiechali się uprzejmie, ale ich spojrzenie wyraźnie mówiło, żeby lepiej nie próbował żadnych głupich numerów.

– Dzień dobry, panie Winter – powiedział jeden osiłeków, który wyglądał na starszego, może przez posiwiałe włosy, krótko przystrzyżone i rozdzielone równym jak w wojsku przedziałkiem. Till pamiętał jeszcze, jak się w duchu wzdrygnął. *Winter*. To nowe nazwisko miało niezwykle i jak gdyby negatywne brzmienie, jak jakiś podprogowy wyrzut.

– Musimy pana prosić o opróżnienie kieszeni – odezwał się ten drugi, ciemnoskóry pielęgniarz, tonem równie uprzejmym jak na

lotnisku, choć ani na chwilę nie spuszczał Tilla z oka. Till posłuchał poleceń i do przygotowanej plastikowej miski włożył opakowanie gumy do żucia, pogniecioną chustkę do nosa i tabletkę musującej aspiryny C Plus w oryginalnym opakowaniu. Rozglądał się przy tym wokoło.

Tu na dole otoczenie wyglądało jak w typowych katakumbach strefy zaopatrzeniowej pod lotniskiem, szpitalem czy nowoczesnym hotelem. Na tyle rozległe, żeby się można było zgubić. Na tyle ciasne, żeby serce jeszcze bardziej mu przyspieszyło.

Po prawej i lewej stronie odchodziły jasno oświetlone, pobielone korytarze o żelbetowych ścianach prowadzące na pozór bez końca w dal, ale w regularnych odstępach przegrodzone drzwiami z krat, sięgającymi sufitu. Żadnej szansy na ucieczkę, której on zresztą przecież wcale nie planował. Wprost przeciwnie,

Till wskazał w stronę służby, z której przyszedł.

– Ten skaner do ciała pracuje na falach terahercowych, tak?

Tę połowiczną wiedzę wyniósł z obejrzanego na Discovery programu o zabezpieczeniach na lotnisku we Frankfurcie.

– A po co panu to wiedzieć? – spytał siwowłosy pielęgniarz. Jego spojrzenie nie było już uprzejme, tylko czujne.

– To znaczy, że możecie tylko widzieć, co mam na sobie. Ale nie możecie zajrzeć do wnętrza mojego ciała?

Zamiast odpowiedzieć, jego czarnoskóry kolega chwycił za walkietalkie przy pasku. Till nie widział broni u tych dwóch, ale personel w niemieckich klinikach psychiatrycznych także nie miał w zwyczaju jej nosić.

– Czyli nie macie pojęcia, co mam w żołądku?

– O czym pan mówi, do diabła?

– Dwie godziny temu połknąłem kapsułkę rozpuszczającą się w kwasie. Według moich obliczeń kwas żołądkowy za mniej niż pięć minut przeżre jej powierzchnię, a wtedy się zacznie.

– Co się zacznie?! – zawołali chórem obaj pielęgniarze, a odpowiedź Tilla, połączona z udawaną próbą ucieczki, przyniosła mu w końcu zastrzyk na dobranoc.

– W moim żołądku jest bomba. Zaraz eksploduję! – krzyknął i rzucił się do ucieczki.

Chwilę później leżał już na podłodze.

A teraz obudził się tutaj, nie wiedząc, czy pielęgniarze nie przesadzili z dawką środka uspokajającego i czy właśnie nie przekracza ostatniego progu. Bądź co bądź oczami duszy widział raz jeszcze ostatnie chwile swego życia jak źle naświetlony film na taśmie 8 milimetrów.

Jedyna rzecz, która nie chciała pasować do umierania, to było światło. Nie takie, do którego by się człowiek zbliżał, tylko raczej skłaniające do ucieczki.

Różowe. Jasne, pastelowe i wszechobecne, odkąd po raz pierwszy zamrugał oczami. Wszystko w pomieszczeniu było w całości pomalowane na różowo. Ściany, sufity, podłoga, nawet listwy przypodłogowe i lampa, z wyjątkiem stalowego sedesu bez deski obok małej umywalki. Na widok umywalki Till zrozumiał, że jeszcze żyje i dokąd go przywieźli.

W porządku, pierwsza przeszkoda pokonana.

Till zamknął oczy i otworzył je po dwóch sekundach, a może po dwóch godzinach albo dwóch dniach. W każdym razie nie był już sam w pomieszczeniu.

Powinno go to właściwie uspokoić, upewniając, że jeszcze żyje i że

pomyślnie zrealizował pierwszy punkt swojego planu.

Ale Till poczuł dziwne zagrożenie na widok człowieka przy swoim łóżku, który w niezrozumiały sposób sprawiał wrażenie jednocześnie kogoś znajomego i obcego. Tym, co wydawało mu się znane, nie były przy tym rysy twarzy ani postawa, tylko coś innego. Coś, co kompletnie zbiło go z tropu, bo przypomniało mu jego samego: była to nienawiść w jego wzroku.

Dobrze znany obcy człowiek wpatrywał się w niego tak samo, jak Till patrzyłby na mordercę swojego syna, gdyby mu się kiedykolwiek udało stanąć z nim oko w oko.

Jak się pan miewa, panie Winter? – spytał mężczyzna głosem sprawiającym wrażenie, jakby chciał się wyrwać z ciała mówiącego. Jak jakieś obce ciało, do którego trzeba się dopiero przyzwyczaić, podobnie jak do nazwiska, którym się do niego zwrócił. Był skrzekliwy, niemal łamiący się. Trochę za niski jak na szczupłego, prawie tyczkowatego mężczyznę o twarzy wrony. Zapadnięte oczy, wąskie policzki i nos ostry jak haczyk wieszaka w garderobie.

– Kim pan jest? – spytał Till i mężczyzna przestawił mu się jako doktor Marten Kasov, lekarz naczelny oddziału III, nie wyjaśniając, czym się ten oddział różni od co najmniej dwóch pozostałych. Till nie miał też pojęcia, jaką pozycję w hierarchii zajmuje ten lekarz w stosunku do pani profesor Thei Säger, która według Skanii była właściwą szefową kliniki.

– Co pan mi zaaplikował? – spytał Till i pomacał swoją głowę, próbując się podnieść na wąskiej, różowej pryczy. Był ubrany w dresy w szarym mysim kolorze, trochę dla niego przykrótkie. Till czuł, że został odświeżony prysznicem i umyty. Zniknął także jego opatrunek, a na łysej głowie były przyklejone już tylko pojedyncze plastry. Za to na stopach miał teraz skarpetki w prążki z gumowymi

kropkami od spodu.

– Flunitrazepam – odrzekł Kasov.

Till ostrożnie kiwnął głową. Miał wrażenie, jakby wypełniała ją gorąca, nieprzyjemnie parząca ciecz, która przy każdym gwałtownym ruchu groziła przelaniem niczym zupa z talerza. Kręciło mu się w głowie i było mu niedobrze. Nie miał pojęcia, czy są to zwykłe skutki uboczne środka, którym go obezwładnili.

– Dlaczego ja jeszcze żyję? – spytał, przypominając sobie o roli, którą miał do odegrania. Twierdził przecież, że połknął bombę.

– A dlaczego miałby pan nie żyć?

Kasov rozejrzał się wokoło, jakby w tej różowej celi było co podziwiać oprócz braku okien, braku klamek i braku prywatności. Till był zdziwiony, że lekarz zjawił się osobiście, zamiast komunikować się z nim przez kamerę wideo na suficie albo przez klapkę w drzwiach bezpieczeństwa. Zdziwił go też mały notatnik, który Kasov wyciągnął z kieszeni na piersi, nie odrywając od Tilla wzroku.

Kasov otworzył notatnik i tak go obrócił, żeby Till mógł przeczytać przygotowaną już dla niego wiadomość.

– Czy pan wie, gdzie pan się znajduje? – spytał lekarz, ale Till nie był już w stanie udzielić rozsądnej odpowiedzi. Kilka słów, które Kasov nabazgrał wielkimi literami w swoim notatniku, sprawiło, że zaszokowany zastygł bez ruchu.

NIE PATRZ DO KAMERY NA SUFICIE!

W pierwszej chwili Tilla naturalnie korciło, żeby zrobić akurat to, czego mu Kasov właśnie zabronił. Ale lekarz już odwrócił kartkę i pokazał mu nową wiadomość.

WIEM, KIM JESTEŚ!

– To nasz pokój interwencji kryzysowych – odpowiedział przy okazji

na własne pytanie, nadal się przy tym uśmiechając, co zupełnie nie pasowało do przekazywanych treści.

– Nowoczesne oddziały psychiatryczne mają co najmniej dwie izolatki, na wypadek gdyby trzeba było jednocześnie zamknąć kilku agresywnych pacjentów. U nas są trzy.

Lekarz był tak ustawiony przed Tillem, tyłem do drzwi i do kamery, że nikt z zewnątrz nie mógł zobaczyć, w jaki sposób się z nim właśnie komunikuje. Gdyby ktoś później przeglądał nagranie wideo, musiałby uznać, że widzi normalną rozmowę powitalną.

– Sufity i ściany są pomalowane na kolor decamilla-pink, bo naukowo dowiedziono, że ma uspokajające działanie na ludzi.

Kasov znowu trzymał przed sobą notatnik. Tym razem widniało tam tylko jedno słowo, które przed chwilą nabazgrał na papierze i które sprawiło, że Tillowi zrobiło się nagle gorąco.

SYMULANTEM!!!

Till zamrugał i otarł sobie nieistniejący, ale odczuwany pot z czoła. Powstrzymał chęć dotknięcia głowy. Pewnie lekarz nabrał podejrzeń, widząc, że nie ma oparzeń po próbie samospalenia.

Till zastanawiał się jeszcze, czy ma wstać i wyrwać tamtemu notatnik, kiedy już znowu pojawiło się na nim coś nowego.

JEDNO FAŁSZYWE SŁOWO, A CIĘ ZAŁATWIĘ!

– I co, uspokaja pana? – spytał Kasov, dodając jeszcze trzy wykrzykniki.

– Słucham? – Till nerwowo przełknął ślinę, oszołomiony dziwnym zachowaniem lekarza.

– No, ten róż?

– Wolałbym czarny – wykrztusił po chwili. Szukał kontaktu wzrokowego ze stalowoniebieskimi, czujnymi oczami rozmówcy. –

Taki kolor lepiej by pasował do stanu mojego ducha.

– Rozumiem.

Kasov schował notatnik i powiedział do Tilla, że musi teraz iść i że się cieszy z poprawy jego stanu.

– A czy mogę... no, bo... nie wiem, jakie tu są zwyczaje... czy wolno mi będzie zatelefonować?

Kasov rzucił mu jeszcze pełne udawanej wesołości spojrzenie w stylu „cóż za pomysł”, po czym odwrócił się do niego plecami, co Till uznał za dowód zdumiewającej odwagi wobec faktu, że lekarz właśnie mu groził.

Ale jeszcze bardziej zdumiał go fakt, że profesor doktor Marten Kasov, wychodząc, nie zamknął za sobą drzwi.

Cela aresztanta była otwarta na oścież.

I choć wszystko w nim się wzdragало, a głos wewnętrzny wręcz krzyczał, żeby tego nie robić, Till nie mógł się oprzeć pokusie, jaką były otwarte drzwi celi. Jeśli umierającemu z pragnienia dać butelkę, to zacznie pić bez względu na to, jak obrzydliwie wyglądałaby jej zawartość. Ruszył więc przed siebie. Człapiąc powoli, posuwał się metr po metr, aż wreszcie wyszedł z różowej izolatki, wkraczając w obcy mu i napawający strachem świat kliniki Stein.

Mały chłopiec biegł szybciej niż kiedykolwiek dotąd, co nie było zbyt wiele mówiące wobec faktu, że zaczął to swoje nędzne, gówniane życie dopiero siedem i pół roku temu. W dodatku jego i tak niezbyt długie dziecinne nogi były jak odrętwiałe. Ścierpły, nic dziwnego, jak się ich przez cały dzień nie może rozprostować.

Mrowienie w udach miało co prawda tę zaletę, że zagłuszało ból, kiedy nagimi stopami trafiał to na gałąź, to kamień czy szyszkę.

Na szczęście właśnie padał deszcz, więc leśny grunt był trochę rozmiękły. W środku lata przy takim biegu na przelaj już wiele razy rozdarłby sobie skórę.

Było ciemno, chmury wisały tak nisko „jak poranna sraczka”, jak zwykł mawiać jego ojciec, nie wyjaśniając nigdy, co konkretnie ma na myśli.

Skręcił w prawo na nieutwardzoną ścieżkę, z której przy dobrej pogodzie korzystali rowerzyści jadący rowerami górskimi na berlińskie wzgórze Teufelsberg. Potknął się przy tym o korzeń. Stracił równowagę, usłyszał chrupnięcie, a jednocześnie ból strzelił w górę po jego nodze,

jakby wdepnął w potrzask. Przewracając się do przodu, zdążył jeszcze podeprzeć się na ręce, ale to spowodowało drugą, nie mniej gwałtowną falę bólu. Tym razem wędrującego od przegubu ręki do barku.

– O, kurrr...! – krzyknął, ale nie rozplakał się. Nauczył się tego w czasie swoich lekcji w piwnicy na dole. A były one o wiele bardziej bolesne niż ten śmieszny upadek w ciemności.

Nie ma mowy, choć bolało mocno. Boys don't cry. Czy nie tak nazywała się ulubiona piosenka ojca, śpiewana przez The Cure?

– Kurwa, kurwa, kurwa.

– Tak się nie mówi – usłyszał nagle głos dobiegający z lasu tuż za nim. A w ślad za tym poszedł siarczysty policzek, który go jeszcze raz powalił na ziemię.

Dopiero wtedy, kiedy sobie uświadomił, że znowu nie udało mu się ucieczka i że ojciec znowu go dogonił, nie mógł już powstrzymać łez.

Ledwie dziesięć minut później był z powrotem w domu. Mieszkali na skraju lasu, w okolicy, na którą właściwie nie byłoby ich stać, gdyby tato nie dostał posady woźnego w klubie hokejowym. Do uposażenia zaliczało się prawo mieszkania w małym domku za boiskami do gry.

– Pójdziemy jeszcze trochę poćwiczyć – powiedział tato, kiedy weszli do środka, całkiem spoceni i zabrudzeni, ale mama wcale nie słuchała. Skręcała sobie właśnie dżointa i jak zahipnotyzowana gapiała się w telewizor, gdzie szedł film porno. Mama wciąż przynosiła nowe z wideoteki. Tato nie lubił, kiedy przychodził do domu i zastawał znany już film.

– No, dalej – powiedział ojciec, kiedy znaleźli się w piwnicy i stanęli przed Trixi. Nie miał pojęcia, dlaczego tato nadał temu urządzeniu taką nazwę. Brzmiała zbyt miło jak na to, czym była w rzeczywistości: drewnianą skrzynią pełną strachu.

– Właż do środka.

Chłopiec nie zwlekał. Ostatnim razem, kiedy nie chciał wejść do inkubatora, tato złamał mu nos i przez miesiąc nie chodził do szkoły. Tym razem kara na pewno byłaby jeszcze surowsza, skoro próbował przecież zwać z domu. Wspiął się więc niezdarnie (ta przekłeta noga wciąż bolała diabelnie od momentu upadku) po drewnianym schodku na stół roboczy, na którym leżała Trixi o wielkości dziecięcej trumny. Ledwie ułożył się na podartym ręczniku, jedynym „materacu” w tym pudle, tato zamknął pokrywę i trochę przykucnął, żeby mówić do niego przez szybkę z pleksiglasu zamykającą jeden z dwóch otworów na ręce w bocznej ścianie.

– Dlaczego uciekłeś? – spytał. Ojciec miał dobrą intuicję i zawsze wiedział, czy jest okłamywany, więc mały wolał powiedzieć prawdę.

– Bo się bałem, tato.

Przerwa. Długo ojciec nic nie mówił, a potem rzekł:

– Rozumiem. Pamiętasz, co ci powiedziałem, czego nie wolno w żadnym razie robić, kiedy przychodzi strach?

– Uciekać.

Ojciec z aprobatą mlasnął językiem.

– No właśnie. Musisz stawić czoło największemu lękowi. Popatrzeć mu prosto w oczy. Coś takiego nazywa się ekspozycją na strach.

Chłopiec w inkubatorze zamknął oczy. Zebrał się na odwagę i powiedział:

– Mnie się wcale nie wydaje, żeby było z tym lepiej, tato. Z moim strachem. On tu w środku robi się raczej jeszcze większy.

– Tak? Tak sądzisz?

– Ja bym wolał...

– Co?

– Bawić się. Z Thomasem i Alekssem. Moimi przyjaciółmi. Na dworze.

– Hm. A ja myślałem, że chciałbyś mieć zwierzątko domowe?

Chłopiec otworzył oczy znowu i próbował wyrzeć przez jeden z dwóch okrągłych bocznych otworów zasłoniętych pleksiglasem, ale nie widział nic oprócz zakurzonej podłogi piwnicy i puszki lakieru obok ogrodniczych narzędzi.

– Tak! – pospieszył podekscytowany z odpowiedzią, kiedy ojciec powtórzył pytanie.

Oczywiście, że chcę mieć zwierzątko.

– To też.

Usłyszał śmiech ojca.

– Tak też sobie myślałem, mój mały. Dlatego tato się o nie postarał. Trochę to trwało, żeby je znaleźć.

Mówiąc to, otworzył boczny otwór.

– Co to jest, tato? Kotek? Szczeniak?

Może tylko świnka morska, ale co tam, to też by było świetnie. Choć słyszał w szkole, że świnek morskich nie powinno się trzymać pojedynczo.

Miejmy nadzieję, że tato o tym pomyślał.

– Dobrej zabawy z twoim nowym przyjacielem – usłyszał jeszcze, a potem nagle zrobiło się ciemno. Ojciec zgasił światło w piwnicy.

A dziecko zostało samo. Samo z sobą. Ze swoim strachem. I z ciężkim, włochatym pajakiem, który próbował wspiąć się po jego policzku, podczas kiedy Guido Tramnitz wydawał z siebie coraz głośniejsze i bardziej piskliwe krzyki udręki.

No, czyżby coś złego się przyśniło?

Tramnitz otworzył oczy i w pierwszej chwili poczuł obawę, że ten dupek, jego ojciec, w jakiś sposób zdołał zmartwychwstać i prosto z koszmarnego snu przenieść się do pokoju chorych. Potem przyzwyczał się do jaskrawego górnego światła w pomieszczeniu i stopniowo dotarło do jego świadomości, że koszmarny sen z jego ojcem w roli głównej się skończył i że w rzeczywistości przy jego łóżku stoi inny gnój.

– Zjeżdżaj pan, Frieder – rzucił do chirurga, który w zeszłym tygodniu oczyścił mu tętnicę szyjną, ratując tym samym życie.

– O, nie ma za co. Proszę nie dziękować – odparł z uśmiechem Frieder i już tylko za to Tramnitz najchętniej walnąłby go w pysk, ale nie czuł się jeszcze na siłach.

Nie pierwszy raz robiło mu się nagle czarno przed oczami i przewracał się. Przeklęte geny. Ten syf z zapychającą się tętnicą odziedziczył po ojcu.

Ale pierwszy raz się zdarzyło, żeby był w pobliżu sprzęt do rezonansu i sala operacyjna, tak że można było szybko zdiagnozować zatkanie się arterii, a potem od razu wykonać zabieg.

Jak na zakład zajmujący się właściwie tylko psychologami, klinika Stein była cholernie dobrze wyposażona. Prawie lepiej niż klinika Virchowa, gdzie Tramnitz pracował na neonatologii, dopóki go nie nakryli. A jednak były komplikacje z gojeniem się rany. W bliźnie pooperacyjnej pojawił się stan zapalny. Akurat tego dnia, którego właściwie miał już wrócić na oddział zamknięty, dostał gorączki, zaburzeń oddychania i czerwonych plam na skórze; wszystkiego, co towarzyszy ostremu zakażeniu krwi. Dzięki antybiotykom nastąpiła poprawa, ale tabletki odbiły się na żołądku.

– Siostra do mnie zaglądała, lekarz naczelny też się już przytarabanił, to czego pan tu jeszcze chce?

Frieder, który w ocenie Tramnitza ruszał się jak pedzio (miętko, spokojnie i prawie bezgłośnie stąpając po linoleum), okrążył łóżko i nic nie odpowiedział. Guido nienawidził w nim wszystkiego: jego niemowlęco różowej markowej koszulki polo, którą nosił z podniesionym kołnierzykiem niczym jakiś yuppie z Zehlendorfu, całego tego prostego, ale eleganckiego stroju, pod którym zaokrąglął się brzusek świadczący o dobrobycie. Naturalnie nosił mokasyny zamiast zdrowotnych kłapek i w ogóle wyglądał, jakby przyjechał ze świeżą opalenizną prosto znad jeziora, gdzie wiatr na motorówce wymodelował mu falę blond włosów, gdy tymczasem taki był z niego sportowiec jak z koziej dupy trąba.

Frieder stał teraz przy oknie jednoosobowego pokoju i wyglądał przez okno, którego nie dałoby się otworzyć nawet młotkiem. Wyglądał na dziedziniec, na którym o tej porze normalnie jakaś grupa pacjentów robiła obchód z opiekunami, kopciła koło żywopłotów w kąciku dla palaczy albo wyżywała się na boisku do koszykówki. Ponieważ grube szyby były odporne na uderzenia i w dodatku

dźwiękoszczelne, Tramnitz nie mógł się zorientować, jaki widok zasłania mu Frieder, ale przypuszczał, że tam na dworze niewiele się dzieje, jeśli deszcz pada równie mocno jak dotąd.

– W czasie operacji odniosłem wrażenie, że dobrze się pan orientuje w moich prywatnych sprawach – powiedział nagle lekarz, odwracając się. Nie miał obrączki na palcu, ale Tramnitz chyba kiedyś słyszał, że Frieder był swego czasu żonaty. *A więc może jednak nie pedzio?* Z drugiej strony, wielu gejów żeni się tylko dla kamuflażu.

– Stracić pacjenta pod nożem z powodu pijaństwa to nie jest żadna prywatna sprawa – odpowiedział lekarzowi.

Widząc tego świeżo wykąpanego gogusia, Tramnitz czuł się jeszcze bardziej nieogolony. Z powodu marnego jedzenia tutaj miał małą krostę na nosie, a jego włosy nie były myte od czasu operacji. Nienawidził swojego niehigienicznego stanu i z utęsknieniem czekał, kiedy nareszcie znowu będzie mógł iść do siłowni.

– Umoczył pan już dzisiaj dzioba? – próbował sprowokować chirurga.

– Nie bardziej niż przed pańską operacją – odparł Frieder dziwnie rozbawionym tonem.

Przyciągnął sobie okrągły podest na kółkach, służący do ułatwienia dostępu do górnych półek szaf wbudowanych obok drzwi, i przysiadł na nim.

– Coś panu opowiem.

Tramnitz rzeczywiście miał wrażenie, że czuje w oddechu Friedera alkohol.

– To może ja przez ten czas nacisnę guzik alarmowy? – spytał chirurga.

– Śmiało, tylko że wtedy nigdy się pan nie dowie, co z panem jest.

– A co niby ma być ze mną?

Tramnitz był zirytowany, że to lekarz narzuca rytm rozmowy, a on sam jest bezsilny. Nawet gdyby wezwał siostrę, to ona i tak od razu włączy wsteczny bieg, jak tylko zobaczy szefa.

– No więc moja była nienawidzi dentystów. Boi się do szaleństwa zastrzyków, a tymczasem, jak to bywa, akurat na nią padło, że musiała się poddać leczeniu kanałowemu zęba.

– A co mnie to wszystko obchodzi?

Frieder niezrażony mówił dalej, założył nawet nogę na nogę, jakby chciał się rozgościć przy łóżku Tramnitza.

– Dwa lata później budzi mnie w nocy jej płacz w łazience. Wstaję, idę tam po omacku przez ciemną sypialnię i widzę ją. To znaczy, widzę ją, ale ledwo ją poznaję. Mojej żonie policzek spuchł, bez przesady, do rozmiarów grapefruta. Jakby wdała się w jakąś bójkę.

– Może lubi dostawać wycisk? – spytał Tramnitz znowu w pustkę.

– Idzie więc do dentysty. Do innego, bo tamten, co jej leczył ząb kanałowo, już zlikwidował gabinet.

– Zły znak.

– Można tak powiedzieć. Nowy dentysta, a dokładniej dentystka, robi jej prześwietlenie żuchwy, i niech pan zgadnie, co na nim widać?

– Pewnie mysz pustynną?

– Czubek igły. Wrośnięty. Dentyście musiała się igła złamać w kanale zęba i ten idiota nic nie powiedział. Co oznacza, że mojej bylej musieli teraz przewiercić żuchwę od dołu. Absolutny horror, nie tylko dla kogoś, kto boi się dentysty.

Tramnitz chrząknął.

– Świetna historia, tylko co to ma ze mną wspólnego?

Wepchnął sobie poduszkę za plecy, żeby usiąść w łóżku trochę

wygodniej. Kiedy przestał tym hałasować, Frieder ciągnął dalej.

– Ja nie mam dzieci, ale mój najlepszy przyjaciel ma syna. Raz się zgubił, w wieku ośmiu lat, w parku rozrywki w Storkow, a ja towarzyszyłem tej rodzinie na wycieczce. Straciliśmy małego z oczu. Szukaliśmy go dwie godziny; jest tam takie pole kukurydzy, przerobione na labirynt. Tam się schował. Przez cały czas, kiedy my nie wiedzieliśmy, gdzie on się podział, mój przyjaciel przeżywał największy strach w swoim życiu. Jeszcze dzisiaj oblewa go zimny pot na samą myśl o tym.

– Mnie przy tym raczej staje.

Frieder kiwnął głową.

– Cóż, dlatego właśnie opowiedziałem panu historię o dentyście.

Oczy chirurga stały się jakby niewidzące. Tramnitz miał nagle wrażenie, jakby Frieder, mówiąc, patrzył przez niego na wskroś, tak bardzo wydawał się zatopiony we wspomnieniach.

– Kiedy tak stałem na tym placu zabaw i wykrzykiwaliśmy imię tego chłopca, raz po raz, wtedy przysięgłem sobie, że pomogę mojemu przyjacielowi zabić tego bydlaka, gdyby się okazało, że ktoś go uprowadził. Zanim dziecko się znalazło, miałem już całkiem dobre pojęcie o tym, co muszą czuć rodzice, których dzieci znikają bez śladu. I co wyrządzają rodzinom takie zбочzone kanale jak pan.

Tramnitz westchnął przesadnie.

– To dlaczego pan mnie nie zabił, kiedy miał pan okazję na stole operacyjnym? – Palcami w powietrzu zasugerował cudzysłów. – Dlaczego nie przytrafił się panu „błąd w sztuce”, doktoru?

– O, niech pan nie będzie zbyt pewny siebie. – Frieder skrzywił się w uśmiechu, wstając.

– Co?

Tramnitz powoli zaczynał się domyślać, do czego zmierza lekarz.

– Czy nie zrobił pan głupka z biegłego, wciskając mu brednię, że jakaś ciemna moc wszczepiła panu chipa, żeby słyszał pan głosy rozkazujące panu zabijać?

Tramnitz nic nie odpowiedział.

– No to teraz rzeczywiście coś w panu siedzi. – Chirurg wskazał głowę Tramnitza. – Jak się panu zdaje, dlaczego ma pan zakażenie krwi? Ja zapomniałem coś wyjąć. Coś, co z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością będzie wywoływało nieustanne bóle nie do zniesienia.

– Moja pani adwokat wypruje z pana flaki – zagroził Tramnitz. – I to przed, w czasie i po badaniu rezonansem magnetycznym, o które zaraz wystąpię.

– Proszę się nie krępować. Ale to, co w panu zostawiłem, nie jest widoczne, w przeciwieństwie do ułamanego czubka igły w szczęce mojej żony. Nie wykryją tego ani ultradźwięki, ani tomografia komputerowa, ani prześwietlenie.

Tramnitzowi pot wystąpił na czoło.

– Co to jest? – spytał, mimo woli macając opatrunek na szyi nad tętnicą.

Uśmiezek Friedera stał się jeszcze bardziej diaboliczny.

– Cierpliwości. Jeszcze zdąży się pan tego dowiedzieć w mękach nie do zniesienia. Chyba że...

Frieder zrobił nieokreślony ruch ręką, który zapewne miał sugerować, że w pewnych okolicznościach byłby gotów usunąć ten tajemniczy obiekt z jego organizmu.

– Chyba, że co? – spytał Tramnitz.

– Niedawno odbyłem bardzo poruszającą rozmowę. I obiecałem

temu ojcu, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

– O czym pan mówi, do diabła?

Frieder podszedł bliżej i teraz nie było już wątpliwości, że przed rozmową łyknął sobie dla kurażu.

– Niech się pan przyzna do zamordowania Maksa Berkhoffa i zaprowadzi rodziców do jego zwłok.

18

TILL

Till wyszedł z izolatki i rozejrzał się, ale na korytarzu nie było nikogo. Doktor Kasov zniknął. Tylko przytłaczające poczucie zagrożenia, które pozostawił w umyśle Tilla, przypominało w ogóle o jego wizycie.

Czego on chce ode mnie?

Till zastanawiał się, czy mógł się kiedyś już zetknąć z tym lekarzem. *Ale nie. Zapamiętałbym ten denerwujący głos. A może nie?*

I dlaczego bije od niego taka nienawiść do mnie?

Till spojrzał w prawo i w lewo, jak dziecko chcące przejść przez ulicę. Korytarz przed izolatkami był niezwykle szeroki jak na szpital i miał wysoki, sklepiony sufit z punktami świetlnymi rzucającymi ciepłe światło na kremowe ściany.

Poszedł w lewo, w kierunku, z którego dobiegała muzyka klasyczna. Korytarz dochodził do strefy, na której widok Till aż przełknął ślinę z wrażenia.

Nic dziwnego, że w Internecie jest tak niewiele zdjęć przedstawiających wnętrza kliniki Stein.

Niemало obywateli uważa już nawet telewizor w celi za przesadną dbałość o wygody dla przestępców. Co by dopiero powiedzieli na to, że chorzy psychicznie zbrodniarze mogą sobie spędzać czas wolny w holu, który z powodzeniem mógłby stanąć w szranki z recepcją hotelu Adlon?

Till znalazł się w owalnej sali, której podtrzymywana przez kolumny kopuła jak w katedrze wznosiła się kilka pięter nad nim. Na posadzce z ciężkich biało-szarych marmurowych płyt rozstawione było pół tuzina kanap i dwa razy tyle foteli, które wszystkie wyglądały tak, jakby można było na nich wygodnie spać, co też właśnie czynił jakiś starszy brodac. Był tak mały, że gazeta, którą położył sobie na brzuchu na czas drzemki, wyglądała jak kołdra.

Till mimo woli rozglądał się za kelnerkami i służącymi w liberiach, którzy by uwijali się wśród gości z tacami czy kartami dań, ale nie było widać nawet pielęgniarza ani lekarza. Nikogo nie było też po prawej stronie za kontuarem, który pierwotnie miał pewnie służyć za recepcję, a nad którym teraz skromna tabliczka głosiła: „Wydawanie lekarstw”.

Na fotelach siedzieli, na ile mógł to ocenić, sami pacjenci.

Dwie kobiety o młodym wyglądzie szeptały między sobą, spoglądając na potężny kominek, w którym ogień palił się za szybą, zapewne ze względów bezpieczeństwa.

Przed migoczącymi płomieniami na podłodze siedziała w kucki kobieta w nieokreślonym wieku, czesząc w zamyśleniu płowe włosy i nucąc cicho pod nosem. Wysoki mężczyzna, który tak samo jak Till miał na sobie dresy, stał w oddaleniu od pozostałych przed zakreślającym łuk frontem okien kopułowej sali i wpatrywał się w deszcz. Był już późny wieczór i siarkowożółte światło latarni

parkowych robiło, co mogło, żeby świat zewnętrzny nie zniknął całkowicie w czarnej dziurze. W snopach światła rzucanych przez latarnie krople deszczu tańczyły jak rój owadów.

Dopiero teraz Till pojął, że znajduje się na wysokim parterze, bo za zamkniętymi przypuszczalnie oknami rozciągał się taras, z którego szerokie, biegnące łukowato schody prowadziły do parku kliniki.

Ale nie to było najbardziej zaskakujące; również nie muzyka klasyczna, sącząca się z niewidzialnych głośników (chyba Szopen, jeśli się nie mylił).

W tym wnętrzu prawdziwie niezwykłym elementem, który zaabsorbował całą uwagę Tilla, kiedy wszedł do holu, była choinka! Zdawała się wyrastać z marmurowej posadzki i sięgała prawie do samej kopuły.

– Wiem, co pan sobie myśli – usłyszał przyjazny głos za sobą.

Till stojący z zadartą głową, żeby zobaczyć, jak wysoko sięga choinka, odwrócił się i znowu zbaraniał, przeczytawszy nazwisko na identyfikatorze przypiętym do kitla kobiety.

Sądził, że profesor doktor Thea Säger to dama po pięćdziesiątce, a tymczasem była to kobieta wyglądająca na trzydzieści parę albo nawet jeszcze mniej lat. Co prawda, sam się już przekonał, że trudno mu trafnie ocenić wiek ludzi o ciemnej karnacji, a w dodatku nie spodziewał się, że szefowa kliniki najwyraźniej ma azjatyckie korzenie.

Pani profesor Säger miała na sobie kitel trochę za duży jak na jej wzrost metr pięćdziesiąt pięć i nieforemne zdrowotne buty, najwidoczniej dobrane świadomie w celu zakamuflowania wszelkiej kobiecej atrakcyjności. Biorąc pod uwagę, że dwadzieścia pięć procent umieszczonych tu sprawców stanowili przestępcy seksualni, nie była

to z pewnością nieracjonalna myśl, ale bez widoków powodzenia. Bo musiałyby jeszcze ukryć ciemne oczy w kształcie migdałów i kruczoczarne włosy; inaczej mogłaby chodzić nawet w worku, a i tak nadal budziłaby u niejednego z obecnych zdrożne myśli.

– Co pani powiedziała? – spytał Till, kiedy wróciła mu mowa.

– Za wcześnie na choinkę. – Szefowa kliniki wskazała drzewko bez ozdób. – Tak pan sobie pomyślał, prawda? Ale to należy do terapii zajęciowej. Od przyszłego tygodnia zaczniemy ubierać choinkę wspólnie. Każdy pacjent będzie mógł sobie coś życzyć na Nowy Rok i powiesić to życzenie na choince na kolorowej kartce. Kierownictwo kliniki przeczyta, i kto wie? Może niektóre życzenia się wtedy spełnią?

Till wiedział, co znalazłoby się na jego kartce.

Chcę wiedzieć, co się stało z moim synem.

Ale tego życzenia z pewnością nie wieszalby na choince, jeśli naprawdę chce poznać odpowiedź.

– Proszę ze mną – powiedziała szefowa kliniki, dotykając lekko jego ramienia i wskazując korytarz po swojej prawej stronie. – Pokażę panu WG.

– WG?

Till poszedł w ślad za lekarką.

– Sala pod kopułą oddziela skrzydło zachodnie od wschodniego. Gdyby to był naprawdę Biały Dom, to szlibyśmy teraz w kierunku Gabinetu Owalnego. Oficjalnie jednak w West Wing znajduje się oddział III, czyli otwarty zakład karny – powiedziała profesor Sänger, nie oglądając się za siebie. – W ciągu dnia może pan przebywać w ogólnodostępnych pomieszczeniach, jak na przykład w tym holu, który pan właśnie poznał.

Weszli do sklepionego, wysokiego korytarza, który wyglądał tak

samo jak ten, z którego przyszedł Till, tyle że tu wszystkie drzwi były pootwierane.

Przechodząc, Till rzucał okiem do kolejnych pomieszczeń. W jednym stał rower treningowy i bieżnia, w drugim trzech ludzi siedziało przed telewizorem, zaśmiewając się. W ostatnim pokoju kilka ławek stało przed skromnym ołtarzem.

– Sport, pokój telewizyjny i ekumeniczna sala modlitwy – objaśniała Sängner w trakcie szybkiego marszu. – Wierzy pan w Boga?

– Już nie – mruknął.

– W takim razie bardziej zainteresuje pana ta sala.

Szefowa kliniki otworzyła na końcu korytarza ciężkie, nieprzejrzyste drzwi z mlecznego szkła i razem z brzękiem sztuców i talerzy powietrze wypełnił zapach kotletów schabowych, smażonych kartofli i warzyw z przemysłowej uprawy.

– To nasza kafeteria i jadalnia. Może się tu pomieścić nawet i pięćdziesiąt osób, ale jak pan widzi, wszystko całkiem przejrzyste jest rozmieszczone.

Till słyszał chichot dwóch kobiet, a potem obleśny gardłowy rechot mężczyzny, którego nie mógł wypatrzeć, tak pogmatwane było rozstawienie foteli. Czuć tu było wprawdzie typowe jedzenie szpitalne, ale jeśli idzie o wystrój, to można było pomyśleć, że zabłądzili do Starbucksa albo Marché. W umeblowaniu dominowało ciemne lite drewno. Czarne, brzuchate designerskie lampy zwieszały się z sufitu, tu i ówdzie stały nawet grubo wyściełane fotele klubowe przed niskimi stolikami do kawy.

– I znowu wiem, co pan myśli – powiedziała profesor Sängner z uśmiechem. – Zakwaterowanie w trójce jest znacznie swobodniejsze niż w innych oddziałach. Ale nie powinien pan mieć błędnych

wyobrażeń: naturalnie prowadzi się tutaj obowiązkową terapię. A odbywanie kary w systemie otwartym nie oznacza, że wszystko jest dostępne. Może pan tu otworzyć tylko te drzwi, które my przedtem panu udostępniłyśmy. Przechodzenie do innych oddziałów, jak choćby do recydywistów w skrzydle wschodnim, jest niemożliwe.

Zmierzyła go wzrokiem i przez chwilę Till spodziewał się, że tak jak Kasov wyciągnie notatnik z kieszeni kitla. Mimo woli rozejrzał się za wszechobecnymi kamerami.

Jak ja u diabła mam się stąd dostać do Tramnitza?

– Śniadanie od wpół do ósmej do wpół do dziewiątej, obiad od wpół do pierwszej do wpół do drugiej. Kolacja przez godzinę od szóstej – informowała go profesor Sängler. – Zdążyłby pan więc jeszcze stanąć w kolejce.

W tej chwili przed punktem wydawania jedzenia stała gromada ludzi, przeważnie mężczyzn, czekając, aż dobroduszna, okrągła na twarzy kucharka w siatce na włosach nałoży im wybrane potrawy na talerze.

– Spacer na dziedzińcu każdego popołudnia od wpół do drugiej do wpół do trzeciej. A od dziesiątej wieczorem do siódmej rano wszyscy pacjenci są zamknięci w swoich pokojach.

– Dlaczego? – spytał Till.

– Dlaczego was zamykamy?

– Nie. Dlaczego tu, na oddziale III, panuje taki luz?

Zaprowadziła go do stanowiska samoobsługi w centrum kafeterii, gdzie można było sobie wziąć oprócz cukru, mleka i przypraw także napoje z dystrybutora. Till zarejestrował, że wszystkie naczynia, kubki i sztućce były ze specjalnego plastiku, jak dla małych dzieci, żeby się nie pokaleczyły.

Sänger wzięła kubek i naląła sobie coli light.

– Odpowiem pytaniem: A dlaczego pan tu jest?

– Zna pani moje akta.

– Chcę to usłyszeć od pana.

– Od czego zacząć?

– Od nazwiska.

– To śmieszne.

Till rozejrzał się wokoło i uświadomił sobie, że od opuszczenia pokoju interwencyjnego nie napotkał jeszcze ani jednego pielęgniarza ani siostry.

– Na oddziale III mamy dwudziestu trzech pacjentów – wyjaśniła lekarka. – Trzech z nich cierpi na stałą lub czasową amnezję. Jeden nie pamięta samego siebie. A jak z tym jest u pana?

Westchnął.

Czy to był test?

– Jestem Patrick Winter, mam czterdzieści jeden lat, jestem matematykiem od ubezpieczeń. I chcę umrzeć.

– Dlaczego?

– A dlaczego miałbym chcieć żyć dalej?

– Dobre pytanie.

Wypiła pierwszy łyk swojej coli light.

A potem sprawy wymknęły się spod kontroli. Ani Till, ani, jak się zdawało, szefowa kliniki nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Nie zdołali odeprzeć ataku, bo wszystko stało się za szybko.

† Ten pacjent z pełną tacą, trzymaną przed zapadniętą piersią, pojawił się kompletnie znikąd.

Z zapadłymi policzkami i wysokim czołem zupełnie pozbawionym zmarszczek wyglądał na chorego nie tylko psychicznie. *Jak trupia czaszka obciągnięta skórą*, zdążył pomyśleć Till, gdy tamten go pozdrowił słowami „Hej, palancie”, potrącając go przy tym. Potem poczuł w oku jakąś maź. Ciepłą, palącą. I słodkawą, co było najobrzydliwsze, bo dopiero kiedy Till powąchał i posmakował, uświadomił sobie, że tamten mu nacharkał w twarz i teraz jego flegma spłynęła mu do ust.

– Co jest, do...?

Till otarł usta rękawem i właśnie chciał ruszyć za tamtym, żeby mu powybić wszystkie zęby, ale profesor Sänger zatrzymała go zdumiewająco silnym uściskiem.

Gdyby podniosła głos, gdyby nawet krzyknęła na niego, to by go tylko jeszcze bardziej rozjuszyło. Ponieważ jednak zaczęła naraz szeptać, zdezorientowała tym Tilla, który przegapił okazję, żeby rzucić się na tamtego wszarza.

– No dobrze, udzielę ci teraz trzech rad – powiedziała Thea Sänger,

podszedłszy do niego tak blisko, że czuł od niej szampon migdałowy. – Po pierwsze: trzymaj się z daleka od Kasova. To dupek.

Kiedy Till zastanawiał się jeszcze, dlaczego lekarka mówi mu nagle „ty” i używa mocnych słów, ona już mówiła dalej.

– Po drugie: ten pacan, który cię właśnie opluł, nazywa się Armin Wolf. Jak nie będziesz uważał, to on cię szybciej zabije, niż sam tu zdołasz skończyć ze sobą.

– Ale dlaczego...?

– I wreszcie, *last but not least*, ta paniusia, co właśnie zapieprza w naszą stronę...

Till odwrócił się i ujrzał najwyraźniej bardzo wzburzoną pacjentkę o twarzy czerwonej z gniewu, z zaciśniętymi zębami i pięściami maszerującą szybkim, długim krokiem przez kafeterię.

– No nie, znowu to samo! – zawołała, a Till zastanawiał się, kogo albo co może mieć na myśli ta dama w średnim wieku z wysoko upiętymi włosami przyprószonymi siwizną. Dopiero kiedy znalazła się tuż przed nim, tak że mógł poczuć jej pachnący miętą oddech, zorientował się, że wołając: „Tego już za wiele!”, zwraca się nie do niego, tylko do Thei.

– Proszę mi go natychmiast oddać.

– Ta damulka jest właściwie całkiem do rzeczy – szepnęła mu do ucha rzekoma Thea, która oczywiście ani nie nazywała się Thea, ani nie była szefową kliniki, w przeciwieństwie do osoby w spodniumie, która stanęła przed nimi i huknęła na pacjentkę stojącą obok Tilla:

– Proszę mi zaraz oddać mój fartuch i iść do swojego pokoju. Nie ujdzie to pani na sucho, pani Suharto.

Muszę pana przeprosić, panie Winter.

Profesor doktor Thea Sanger poprawiła sterczący kołnierz fartucha, który odebrała pacjentce i włożyła teraz na siebie. Usiadła przy biurku, gdzie siedział już Till.

Biuro szefowej kliniki znajdowało się w zachodnim skrzydle z widokiem na odkryty teren. Oświetlenie zewnętrzne tej części było znacznie jaśniejsze, dosłownie zalewało światłem teren, pewnie ze względów bezpieczeństwa. Till podziwiał rozległy park kliniki Stein, rozciągający się piętro poniżej i przypominający romantyczny, lekko pagórkowaty krajobraz wrzosowiska. Przy odrobinie fantazji można było sobie wyobrazić, że kręte, obsadzone drzewami owocowymi alejki za podobnymi do wydm ziemnymi nasypami dochodzą do morza – albo przynajmniej do jeziora, ale nie do trzymetrowego, najeżonego drutem kolczastym, betonowego muru, nad którym w regularnych odstępach czasu przelatywały startujące i lądujące samoloty. Hałas silników prawie całkowicie pochłaniały grube okna bezpieczeństwa.

– U nas dzisiaj panuje najprawdziwszy potop. – Sanger odwróciła się do okna za swoimi plecami i pokazała kołyszące się na wietrze korony

drzew. – Mieliliśmy problemy z przepompownią, nie dało się uwolnić dojazdu. Nasza główna brama stoi pod wodą i byłam tam, żeby się zorientować w sytuacji.

Westchnęła.

– Widocznie pana współpacjentka skorzystała z okazji, żeby buchnąć mój fartuch z pokoju pielęgniarek. Swoją drogą, nie rozumiem też i tego, jak mógł pan opuścić izolatkę bez nadzoru, panie Winter.

– Tak zarządził doktor Kasov.

– Tak?

Przez chwilę Säger wydawała się zaskoczona, ale potem powiedziała:

– No tak, tak było uzgodnione.

Zanotowała coś na bloczku reklamowym od firmy farmaceutycznej, wyrwała z niego kartkę i schowała do kieszeni fartucha.

– Jak się pan czuje?

– Dobrze – odpowiedział Till odruchowo, jak zwykle się odpowiada na takie pytanie kogoś obcego, po czym uświadomił sobie, że powinien raczej ze skrzywioną miną chwycić się za głowę.

Z drugiej strony szefowa kliniki na pewno miała wprawę w odróżnianiu symulantów od prawdziwych pacjentów, więc wolał nie przesadzać. Zwłaszcza że, jak się zdawało, jej kolega Kasov zdążył już go rozszyfrować, przy czym Till mimo najlepszych chęci nie potrafił zrozumieć, jak jego kamuflaż tak szybko przestał działać.

SYMULANCIE!

Musi jak najszybciej dostać się do awaryjnego telefonu w bibliotece i zadzwonić do Skanii, żeby się dowiedzieć, czy wie coś o Kasowie i jego związkach z Patrickiem Winterem.

– Jak pan znosi leki? – spytała Sanger.

– rodek znieczulajacy?

– Miałam raczej na myli zastrzyk o przedłużonym działaniu, który pan dostał. Neuroleptyk.

– A co to jest, do licha?

Till ugryzł się w język, bo zareagował zbyt spontanicznie, jak nieokrzesany strażak. Nie tak jak matematyk, który pracując w ubezpieczeniach zdrowotnych, może powinien nawet wiedzieć, o czym lekarka mówi.

– Hamujemy tym rodkiem pana popęd do samookaleczania się – wyjaśniła Sanger, która chyba jednak nie nabrała podejrzeń. – Jeden zastrzyk o przedłużonym działaniu wystarcza często na miesiąc i pozwala uniknąć codziennego wydawania leków.

I uniemożliwia próby symulowania.

A niech to szlag.

Till miał nadzieję, że będzie mógł po kryjomu wypluwać przydzielane mu pigułki, ale teraz mógł o tym zapomnieć.

– Czy sędzia zezwolił na takie przymusowe leczenie?

Tym pytaniem Sanger wydawała się zaskoczona. Przez chwilę nic nie odpowiadała, tylko uniosła brwi. Zrobiła kolejną notatkę, zanim wreszcie udzieliła skąpej odpowiedzi:

– Może pan przyjąć, że tak.

Wstała i poleciła Tillowi, żeby poszedł za nią.

– Jak długo tu zostanie?

Sanger po chwili wahania zdecydowała się na typową dla psychiatry odpowiedź pytaniem.

– A jak pan myśli, jak długo pan tu u nas musi jeszcze zostać?

Dopóki nie dowiem się prawdy od Tramnitza.

À propos Tramnitza.

Naturalnie nie mógł w zakładzie nikomu zdradzić swoich prawdziwych zamiarów, a już zwłaszcza szefowej kliniki, ale w jakiś sposób musiał jak najszybciej uzyskać informacje o tym zboczonemu bydłaku. Zdecydował się więc zadać całkiem naiwne pytanie: jeśli nawet nic nim nie wskóra, to przynajmniej nie powinno też zaszkodzić.

– Czy Tramnitz też jest umieszczony na tym oddziale?

Sänger zmarszczyła czoło.

– Dziwne, że akurat pan o to pyta. Bez komentarza.

Co chciała powiedzieć przez „dziwne” i „akurat pan”?

Till drążył temat:

– Bo w telewizji mówili, że ten morderca dzieci też tu jest.

– Jeszcze raz: nie mogę rozmawiać z panem o innych pacjentach.

– Czy on jest blisko mnie?

Również to pytanie pozostało bez odpowiedzi i Till omal nie powiedział, że martwi go konieczność oddychania tym samym powietrzem z takim potworem, ale na szczęście w porę sobie uprzytomnił, że chyba nie zabrzmiał zbyt wiarygodnie w ustach kogoś, kto dopiero co chciał sobie odebrać życie.

Idąc korytarzem, mijali okno i Till stanął przy nim.

– Czy tam jest przystanek autobusowy? – spytał zdumiony.

Sänger cofnęła się o dwa kroki i również spojrzała przez szybę.

Tu, we wschodniej części parku kliniki, wyasfaltowane alejki były szersze niż w części zachodniej przed oknem biura Sänger. Na ile Till mógł dostrzec w zewnętrznym oświetleniu, za dnia ocieniały je całkiem spore drzewa po obu stronach, z których część już straciła dużo liści, rozwłóczonych teraz przez wiatr na dużej łące.

– Tak, to przystanek – potwierdziła szefowa zakładu.

– Po co on tutaj?

Sänger wzruszyła ramionami i dała znak Tillowi, żeby szedł dalej.

– Ja nie jestem zwolenniczką tej koncepcji. Ale muszę przyznać, że zdała egzamin.

Skęcili na prawo, gdzie czekał na nich czarnoskóry pielęgniarz, który wczoraj przyjmował Tilla przy śluzie.

– Koncepcji?

– Miewamy tu od czasu do czasu pacjentów z zaburzeniami pamięci krótkotrwałej. Zapominają, dlaczego tu są zamknięci, i robią się niespokojni, nerwowi, czasem skorzy do przemocy. Kiedy zauważymy, że taki pacjent wpada w stan silnego wzburzenia, to pozwalamy mu usiąść na przystanku. Czeka tam na autobus, który go stąd zabierze.

Jej odpowiedź brzmiała tak, jakby ją recytowała już setki razy.

Pielęgniarz, który szedł przed nimi, otworzył elektryczne drzwi skrzydłowe przełącznikiem wpuszczonym w ścianę i w trójkę przeszli do korytarza bez okien w strefie z celami.

– Dziękuję, Simon – powiedziała Sänger i teraz Till poznał też imię muskularnego Murzyna o przyjaźnie zrelaksowanym wyrazie twarzy.

– Już po paru minutach pacjenci zapominają, po co tam w ogóle siedzą i dokąd chcieli jechać. Uspokajają się i mogą wrócić do zakładu.

– Ale autobus nigdy nie przyjeżdża, zgadza się?

Z głośnym łoskotem zamknęły się za nimi skrzydłowe drzwi. Jedynie Till się wzdrygnął.

– Nie ten linii 69, który jedzie do dworca głównego, jak głosi rozkład jazdy na przystanku. Ale nasz bibliobus staje tam trzy razy w tygodniu. Pacjenci mogą wsiąść i wypożyczyć sobie książkę, jeśli

chcą.

„Ona prowadzi autobus”.

Till w myśli usłyszał głos szwagra i zadrżał.

Mijali niezniszczalne z wyglądu drzwi bezpieczeństwa, z których każde miały dwie otwierające się na zewnątrz klapki. Jedna była na wysokości oczu. Druga niżej, przypominająca drzwiczki dla kota, pozwalała na wsunięcie do celi tacy z jedzeniem.

– Specjalnie w tym celu zatrudniliście kierowcę? – spytał Till.

– Nie. To pacjentka.

Seda, pomyślał Till. Jej imię wymienił Skania.

Mój jedyny kontakt tutaj to pacjentka?

– Wie pan, ona zajmowała się tym zawodowo w swoim wcześniejszym życiu. Prowadziła bibliobus w Steglitz. Ale obawiam się, że po dzisiejszym wyskoku będziemy musieli jej cofnąć ten przywilej.

– Wyskoku? – spytał Till.

– Cóż, jeśli się panu nie przedstawiła, to i tak powiedziałam już za dużo.

W tej samej chwili zrozumiał, że lekarka może mieć na myśli tylko skradziony fartuch i szaradę w stołówce.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Tak, może z milion.

Till pokręcił głową.

– Na razie nie.

– To dobrze. Simon otworzy panu teraz pokój. Zobaczymy się jutro rano przy obchodzie. Dobranoc.

Przez chwilę patrzył za lekarką oddalającą się lekko kołyszącym się krokiem w kierunku, z którego przybyli. Potem pielęgniarz poprosił

go o przejście jeszcze paru kroków, aż stanęli pod drzwiami z numerem 1310.

Simon wyjął z przepastnej kieszeni spodni klucz na długim trzonku i otworzył zamek.

Nozdrza Tilla wypełniła mieszanina woni starych skarpetek, potu i środków dezynfekcyjnych. Już w normalnych okolicznościach nie znosił zamkniętych pomieszczeń, ale tu poczuł, jak niewidzialne pazury klaustrofobii uchwyciły jego klatkę piersiową, zaciskając się coraz mocniej z każdym krokiem w głąb kwadratowego pomieszczenia.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się Simon nieco przyciszonym głosem. Till nie był pewien swojego wrażenia, ale jeśli dobrze tłumaczył sobie spojrzenie pielęgniarza i ton jego głosu, to wydawał się on nieco dezorientowany. Także Till zdziwił się widząc na dolnym poziomie piętrowego łóżka śpiącego mężczyznę, którego twarz ocieniał górny materac.

– Czy ja nie dostanę celi jednoosobowej?

Simon sięgnął po komórkę i wcisnął klawisz, który najwyraźniej łączył go bezpośrednio z właściwą osobą.

– Mówi Simon, mam krótkie pytanie – powiedział przyciszonym głosem. – Pokój 1310 jest dla Patricka Wintera, tak?

Po zwieszonym: „Dziękuję”, rozłączył się.

– Wszystko w porządku. Pana współlokator już śpi – zwrócił się znowu do Tilla. – Pan też powinien teraz szybko zasnąć. Jutro będzie długi dzień, panie Winter.

– Chwileczkę. Ja chcę pojedynczą celę – zaprotestował Till.

– Pojedynczy pokój – poprawił go pielęgniarz i pokręcił głową. – To niemożliwe, jak pan widzi. Pękamy już w szwach.

Drzwi zamknęły się zdumiewająco cicho, tylko metaliczny szczepek kolejnych, przemieszczających się w zamku rygli zdawał się nie mieć końca. W końcu jednak zaległa cisza w pomieszczeniu, którego Till nigdy by nie nazwał pokojem, tylko wyłącznie celą albo karcerem. Grube drzwi tłumiły większość odgłosów dobiegających z zewnątrz. W tej chwili Till słyszał tylko bębnienie deszczu w małe okienko przypominające bulaj na statku, umieszczone w górnej części ściany zewnętrznej. Potem pomieszczenie wypełnił znany mu już ochrypły głos.

– Cześć, palancie.

Spojrzał w dół. Jego towarzysz z celi usiadł. Mimo woli Till musiał sięgnąć do twarzy i potrzeć powiekę. Wspomnienie paliło go prawie jeszcze gwałtowniej niż plwocina, która go wcześniej trafiła.

„Ten pacan, który cię właśnie opluł, nazywa się Armin Wolf. Jak nie będziesz uważał, to on cię szybciej zabije, niż sam tu zdołasz skończyć ze sobą” – słyszał jeszcze głos Sedy, kiedy tamten już z niewiarygodną siłą wyrznął go w twarz.

I kiedy Till uderzał głową w twardą betonową podłogę, kraty w okienku rzucały krzyżujące się cienie na twarz jego przeciwnika, która w słabym świetle wyglądała jak trupia czaszka obciążnięta skórą.

Miał wrażenie, jakby za jego siatkówką pękł worek czerwonej farby. Z chwilą uderzenia o podłogę ból skupił się najpierw na plamce mniej więcej pośrodku pola jego widzenia, która coraz bardziej rozszerzała się ku brzegom, tak że w końcu Till widział pochyloną nad nim twarz jak przez zabrudzony krwią filtr.

– Jedno trzeba ci przyznać – powiedział Armin Wolf, kopiąc go w bok. – Nie pękasz. Ja na twoim miejscu zebrałbym o inną celę.

Przecież nie wiedziałem, z kim oni mnie zamkną.

Nie wiedziałem nawet, że będę musiał dzielić celę z jakimś szaleńcem.

Till nie był w stanie wyrazić swoich myśli. Brakowało mu powietrza i siły, żeby powiedzieć choćby jedno słowo. Do bólu głowy, pleców i nerek doszła jeszcze świadomość, że jest zamknięty w ciasnej klitce z żądnym mordem psychopatą – i już znowu pazury klaustrofobii ujęły go jak w imadle.

– Czego chciałeś od tej wywłoki Säger? Gadałeś jej o mnie?

Że mnie przedtem obcharkałeś?

Ta absurdalna myśl pomogła Tillowi trochę się ogarnąć. W nadziei, że Armin nie złamie mu nadgarstka, wyciągnął ku niemu ramię, wykasłał nieco śluzu na podłogę i wysapał:

– Nie, nie. W ogóle nie mówiliśmy o tobie.

Armin odszedł o krok na bok, przez co w tej małej celi znalazł się od razu przy drzwiach. Przycisnął do nich ucho, przykładając do ust palec wskazujący.

Nic.

Z widocznym zadowoleniem wrócił do Tilla, który tymczasem doczołgał się do ściany z oknem i oparł się o nią plecami między sedesem a umywalką.

Przez chwilę myślał, czy nie zaatakować Armina od tyłu. Jednak tamten był nie tylko o głowę wyższy, ale też znacznie lepiej wytrenowany od niego. O ile Till od zaginięcia syna stracił sporo masy ciała i mięśni, to góry bicepsów i tricepsów na ramionach Armina musiały mieć masę ze dwa albo i trzy razy większą. Miał kocią zwinność jak ktoś doświadczony w bójkach ulicznych, zdawało się, że chodząc, unosi się nad podłogą celi.

Bez wątpienia, w bezpośrednim starciu Till nie miał szans.

Armin oderwał się od drzwi i powrócił do Tilla.

– Dobra, czarna małpa poszła sobie – oznajmił, ujawniając dodatkowo rasizm. – Simon zagląda tu tylko co czterdzieści pięć minut przez klapę. To znaczy, że mamy trzy kwadranse, żeby uciąć sobie miłą pogawędkę.

Wraz z ostatnim słowem walnął go pięścią w żołądek. Till chciał krzyknąć, ale z bólu nie zdołał wydobyć z siebie głosu.

Drugi cios trafił go w usta. Trzasnął głową w ścianę z tyłu. Czuł, że zaczął mu się ruszać co najmniej jeden ząb.

Nie mógł w to wszystko uwierzyć. Jak mogło dojść do czegoś takiego? Przecież nie zamyka się nowo przybyłego w jednej celi z żądnym mordem wariatem!

Wołania o ratunek pewnie nikt tu nie usłyszy, gdyby w ogóle jeszcze zdołał nabrać tyle powietrza, a na zimnej podłodze Till nie miał w zasięgu ręki żadnych przedmiotów, które mógłby przewrócić albo cisnąć w drzwi, żeby zwrócić jakoś na siebie uwagę.

Z przerażeniem zobaczył już tylko jednym okiem (drugie zdążyło zapuchnąć), jak Armin ściąga skarpetkę, pewnie po to, żeby go nią zakneblować.

– Stój – wydyszał. Wyszło z tego niewiele więcej niż chrząknięcie. Armin zbliżył się, wziął zamach – i wśród wszystkich kretyńskich myśli, jakie przemknęły mu przez głowę, znalazło się też wspomnienie kontrolera z metra, który na pytanie telewizyjnego reportera, co by poradził komuś, kto zostanie napadnięty w środkach komunikacji, odpowiedział: „Trzeba dezorientować przeciwnika!”

– Twoja matka! – wyrzucił najgłośniej, jak mógł, czyli trochę głośniej niż szeptem, ale rzeczywiście ta bezsensowna uwaga wywarła dezorientujący wpływ.

– Co?

Armin znieruchomiał. Zaciśnięta pięść zawisała nad twarzą Tilla jak betonowa gruszka do burzenia budynków zatrzymana w locie.

– Co z moją matką?

Teraz według tamtego kontrolera był moment odpowiedni na ucieczkę. Z braku możliwości ucieczki Till postanowił ratować się gadaniem.

– Powiedz mi tylko dlaczego? – spytał Armina.

– Co dlaczego?

– Co masz do mnie?

– Za samo to pytanie powinieneś już nie żyć.

Armin chwycił go za opatrunek i odchylił mu głowę do tyłu, ale

zanim zdążył mu wpakować knebel ze skarpetki do krwawiących ust, Till zdołał jeszcze zapytać:

– Skąd ty mnie w ogóle znasz?

Przez chwilę Armin wydawał się jeszcze bardziej zbity z tropu niż po wspomnieniu jego matki.

– Znam wszystkich takich typów jak ty – powiedział. – Wszystkie kanale świata. Wszyscyście tacy sami.

– Skąd?

– Skąd cię znam?

Till kiwnął głową.

Z ulgą stwierdził, że jego pytania zdają się odnosić skutek i Armin po raz kolejny został wytracony z rytmu. Zostawił głowę Tilla i odszedł nawet o krok do tyłu. Drapał się przy tym po karku i marszczył czoło, jakby poważnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Kiedy jej udzielił, to Till z kolei nie zrozumiał.

– Mój ojciec był badaczem.

– Co? – Till ugryzł się w język.

Dlaczego nie przestajesz gadać, idioto? Daj mu mówić! Nie przerywaj mu!

Armin krótko się roześmiał.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię, co? W porządku. W takim razie trochę ci pomogę.

Armin kopnął Tilla między nogi. Gdyby go oblał podpałką do ogniska i podpalił, to ból nie mógłby być większy. Ból był jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę, próbujące w panice wyrywać się na wszystkie możliwe strony.

Till dyszał, skomlał, rzeził i przyciskał sobie ręce do krocza, ale równie dobrze mógłby w tym momencie myć zęby; żaden chwyt ani

żadna pozycja ciała nie mogła pomóc na ognisty walec przetaczający się po całym jego podbrzuszu. Najwyżej zastrzyk morfiny prosto w jądra.

Armin znowu się roześmiał.

– No właśnie. Potrzyмай sobie jaja ostatni raz. I tak ci już nie będą potrzebne, Winter. A kiedy tak się ich czepiasz, to może będziesz mógł trochę się wczuć w to, co ja musiałem przejść przez takich parszywców jak ty.

Świat, który dla Tilla zamienił się w celę nieopisaną udręki na dziewięciu metrach kwadratowych, wirował jeszcze w dodatku jak gondola karuzeli w wesołym miasteczku. Till czuł smak kwasu żołądkowego, co zapewne wynikało z tego, że właśnie rzygał. Tyle że nie miał co do tego pewności.

Jego jaźń była obecna już tylko w połowie. Pozostałe pięćdziesiąt procent pływało w morzu z bólu. A gdzieś w dużym oddaleniu szum kipieli mieszał się z głosem Armina Wolfa.

– Jak już mówiłem, mój ojciec był badaczem. A jego główną dziedziną badań był ból. Chciał się dowiedzieć, ile znieś jego syn. Wyrzucili go z uniwersytetu, kiedy za bardzo się zainteresował częściami trupów na patologii. Nawet Bundeswehra nie chciała go przyjąć na studia medyczne, więc musiał studiować w domu. A jego ulubionym obiektem studiów byłem ja.

Pochylił się ku Tillowi. Wydawało się, że szczyrzy do niego zęby w uśmiechu.

– No i jak, ból ustępuje? – spytał, poklepując go niemal ojcowskim gestem po ramieniu. Till przyjął pozycję boczną ustabilizowaną i stękał, jakby miał bóle porodowe.

– U mnie nie ustępował. Bo tato chciał zbadać, jak długo syn

wytrzyma bez udania się do kibla. Wziął mnie do warsztatu w piwnicy, przywiązał do łóżka polowego i zawiązał mi fiutka. Cholernym sznurkiem do pakowania.

Armin wstał znowu. Chodził tam i z powrotem przed Tillem, który był pewien, że nigdy w życiu nie zdoła już zrobić ani kroku.

– Po jednym dniu byłem już oszalały z bólu. Wołałem matkę, ale nie przyszła. Po sześćdziesięciu trzech godzinach pękł mi pęcherz.

O Boże.

Mimo całej udręki, jaką Till właśnie znosił, miał jednak świadomość, że to, co musi przechodzić tutaj, nawet w przybliżeniu nie równa się z tym, co przeszedł Armin w dzieciństwie, o ile, rzecz jasna, ten czubek mówił prawdę.

– Odtąd nie ma dnia, żebym przynajmniej trzy razy w ciągu trzech kwadransów nie pomyślał o moim drogim ojczulku. Bo tyle trwa, zanim wreszcie opróżnię mój zniszczony pęcherz.

Tillowi jakoś się udało przetoczyć dalej od Armina w kierunku ściany. Udało mu się nawet usiąść z podciągniętymi nogami.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – wycharczał, wypluwając dużą porcję śluzu na podłogę.

Kiedy wreszcie Simon znowu przyjdzie?

Till zdawał sobie sprawę, że dużo jeszcze przyjdzie mu czekać, zanim upłynie czterdzieści pięć minut. Jego ciało natomiast czuło się już postarzałe o całe lata.

– Ja nienawidzę wszystkich, co dręczą dzieci – usłyszał Armina.

– I co z tego?

– Co z tego? – Ten najwyraźniej zupełny świr kopnął go znowu w bok, choć nie tak silnie jak przedtem.

„Chwila, moment, ja kocham dzieci. Sam je mam. Nigdy bym im nie

zrobił nic złego” – chciał powiedzieć Till, ale wtedy przypomniał sobie, że musi mówić nie we własnym imieniu, tylko Patricka Wintera. Kogoś, w kogo się wcielił, prawie go nie znając, i o kim dotąd wiedział tyle, że pewnie miał skłonność do depresji.

Skania, w czyją tożsamość tyś mnie wpakował?

Jak to powiedziała szefowa kliniki, kiedy próbował dowiedzieć się o Tramnitza? „Dziwne, że akurat pan o to pyta”.

– A co ja zrobiłem? – spytał więc Armina.

– Ocipiałeś? – Armin stuknął się w czoło. Najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy ze śmieszności zadawania takiego pytania akurat w domu wariatów.

– Ja, ja... – Tillowi zrobiło się ciemno przed oczami. – Doktor Säger mówi, że mam amnezję – skłamał.

– Co?

– To te leki. Nie toleruję tego zastrzyku o przedłużonym działaniu – zmyślał dalej. – Nie pamiętam niczego, co było przed skierowaniem do szpitala.

– To ty nie wiesz, dlaczego tu jesteś?

Armin spojrzał na niego jak ojciec na dziecko przyłapanie na kłamstwie.

– To wiem. Próbowałem się podpalić. Ja... ja tylko zapomniałem dlaczego.

– Hm.

Armin spojrzał w okno, na którym krople wielkości monety rozpryskiwały się jak owady na szybie jadącego samochodu. Przez dłuższą chwilę deszcz i oddech Tilla to były jedyne odgłosy, jakie można było usłyszeć we wnętrzu celi. Wreszcie Armin powiedział:

– Dobra, masz pięć minut.

– Na co?

– Żeby to przeczytać.

Armin ściągnął najpierw spodnie od dresów, potem slipki, rozstawił nogi, pochylił się nieco do przodu i sięgnął w stronę odbytu. Po chwili trzymał w ręku prezerwatywę, która w padającym świetle wyglądała jak spleśniała skórka od kiełbasy. Armin rozciągnął ją i wyjął kartkę zwiniętą jak cygaro.

Podał papier Tillowi, który przewyciężając obrzydzenie, rozprostował go z trudem i rozwinął. Kartka była ciepła i wilgotna.

– Co to jest, do diabła? – spytał.

– Nie wnerwiaj mnie! – prychnął na niego Armin. – Masz pięć minut. Czytaj! Potem ci pokażę, co to prawdziwy ból.

†o była jedna kartka zadrukowana po obu stronach. W górnym lewym rogu znajdował się ciąg liter i cyfr przypominający jakieś skomplikowane hasło: PW12_7hJg+JusA.

W rzeczywistości była to sygnatura akt procesowych, co mógł Till bez trudu poznać po nagłówku:

PROTOKÓŁ ROZPRAWY PATRICKA WINTERA

Zapis zaczynał się w środku zdania, brakowało numeru strony. Co dziwne, protokół zawierał dosłowne brzmienie zeznań oskarżonego. Zwykle publikuje się tylko streszczenie ujęte co najwyżej w mowie zależnej. Tu jednak Till mógł przeczytać, choć z pewnym trudem, w mdłym świetle padającym z zewnątrz od parkowych latarni, słowo w słowo odpowiedzi oskarżonego Patricka Wintera (PW) na dociekliwe pytania prokuratora (Prok.).

...prosi o szklankę wody. Po krótkiej przerwie zeznania mogą być kontynuowane.

PW: Przepraszam.

Prok.: Nie ma sprawy, panie Winter. Powróćmy jeszcze do popołudnia 20 lipca. Z jakim wyprzedzeniem zaplanował pan swój czyn?

PW: Długim. Właściwie od jego urodzenia.

Prok.: Dlaczego?

PW: Co proszę?

Prok.: Jaki miał pan motyw? Bądź co bądź ma pan już pięcioletnią córkę Friedę. A sąsiedzi, jak słyszeliśmy, przedstawiają pana sądowi jako kochającego ojca, panie Winter. Skąd więc taka zmiana nastawienia?

PW: Było w tych aktach.

Prok.: W których aktach?

PW: Mieliśmy umowę z żoną. Linda odprowadza rano dzieci do przedszkola, a ja mogę wcześniej zacząć pracę w firmie. Za to ja je odbieram po południu, jak nic mnie nie zatrzyma.

Prok.: A często pana coś zatrzymuje?

PW: Ostatnio niestety było tak często, owszem.

Prok.: Pracuje pan jako matematyk od ubezpieczeń. Czy może pan sądowi krótko przedstawić, czym się pan zajmuje?

PW: Krótko? No cóż, u mojego aktualnego pracodawcy, czyli w Xantii, obliczam modele i premie ubezpieczeniowe. Na przykład sporządzam algorytmy ryzyka na podstawie prognoz demograficznych.

Prok.: Może pan podać konkretny przykład?

PW: Pewnie. Jeśli (q_x) oznacza prawdopodobieństwo zgonu osoby w wieku x lat w kolejnym roku, a (ω_0) zakładaną w praktyce maksymalną długość życia, to jak wiadomo jest: $q_x = 0$ f. a. X większe lub równe (ω_0) . Jeśli teraz przypadkowy okres dalszego przeżycia (T_x) ... Proszę?

Prok.: Dziękuję, miałem na myśli taki przykład, który moglibyśmy tu

wszyscy zrozumieć.

Till niemal słyszał chichot publiczności, o ile na tej rozprawie w ogóle jej obecność została dopuszczona.

Boże wielki, ten Patrick Winter to naprawdę był geniusz!

Jeśli przeżyję tę noc, to będę musiał udawać Rain Mana!

Prok.: Zadam inne pytanie. Jako ojciec rodziny zabiera pan czasem także pracę do domu?

PW: To prawda. Mam taką klauzulę w umowie.

Prok.: I tak właśnie było w przeddzień wspomnianego 20 lipca?

PW: Tak.

Prok.: Czy może pan wyjaśnić sądowi, co wspólnego mają akta, które zabrał pan wtedy ze sobą do domu, z naszą konkretną sprawą tutaj?

PW: Tak, to znaczy nie. Nie wiem. To skomplikowane.

Prok.: Niech się pan nie spieszy.

Kartka w ręku Tilla zaczęła drżeć. Nie śmiał podnieść wzroku z obawy, że Armin mógłby to zrozumieć jako znak, że skończył już czytać – a towarzysz z celi nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, co wtedy się stanie. („Potem ci pokażę, co to prawdziwy ból”).

Z drugiej strony nie chciał już czytać dalej. Chociaż sam nie rozumiał, co w tych niewielu zdaniach już tak bardzo go poruszyło, że serce w jego klatce piersiowej pracowało jak wiertarka udarowa.

Till bał się zeznań Patricka Wintera. Wiedział, że mogą one zawierać tylko taką opowieść, która ma najgorsze z możliwych zakończeń. Nie miał jednak innego wyboru i jego oczy odszukały miejsce, w którym przerwał lekturę.

Prok.: Co było w ostatnich aktach, które zabrał pan ze sobą do domu?

PW: Myślałem, że są tam korekty umiERALNOŚCI, czyli nowe obliczenia prawdopodobieństwa śmierci w ramach populacji w szczególnie ryzykownych działach ubezpieczeń.

Prok.: Ale tych informacji pan tam nie znalazł.

PW: Nie.

Prok.: Tylko co?

PW: Tam było tylko coś na mój temat.

Prok.: Co tam dokładnie było na pana temat, panie Winter?

PW: To, co zrobiłem.

Prok.: Czy może pan wyrażać się jaśniej?

PW: Od jego urodzenia. Od urodzenia Jonasa miałem te pragnienia. Złe, nienaturalne pragnienia.

Prok.: I w tych aktach były one opisane?

PW: Moje pragnienia i moje czyny. Straszne czyny.

O cholera, Skania. To nie do wiary.

Patrick Winter ma jeszcze drugie dziecko!

Albo miał?

W tym miejscu w protokole odnotowano niewielką przerwę, bo Winterowi zrobiło się niedobrze. Ostatecznie zaczął kontynuować zeznania od miejsca, w którym nastąpiła przerwa.

PW: Nie mam pojęcia, skąd ktoś w Xantii mógł znać moje grzechy. Nigdy nikomu przedtem niczego nie opowiadałem i było zupełnie wykluczone, żeby jakiś inny pracownik firmy mógł te informacje zebrać. Chcę powiedzieć, że kiedy otworzyłem te akta, to było tak,

jakbym zajrzał do swojej głowy.

Prok.: Czyli przeczytał pan tam nie tylko o tym, co pan zrobił, ale też własne myśli?

PW: To było jak spojrzenie w najciemniejsze otchłanie mojej duszy.

Prok.: Czy mógłby pan to lepiej wyjaśnić sądowi?

PW: Czytałem o tym, co się zdarzyło pewnego bardzo konkretnego dnia jesienią. Po południu, o wpół do trzeciej. Linda była z Friedą na pływalni. Jonas miał dopiero rok. Poszedłem z nim do sutereny. Musi pan wiedzieć, że mieliśmy tam małą saunę. Były z nią ciągle problemy, bo drzwi się zacinały. Poprzedni właściciel domu nigdy ich należycie nie konserwował i nie odpowiadały już powszechnym standardom bezpieczeństwa. Poszedłem więc do sauny, gdzie już pół godziny wcześniej uruchomiłem piec na pełną moc, było blisko dziewięćdziesiąt stopni. Poczekalem jeszcze do piętnaście po trzeciej, aż skończy się nauka pływania. Bo wiedziałem, że Linda zawsze potem robi jeszcze zakupy do domu. Miałem więc niecałe sześćdziesiąt minut.

Prok.: Na co?

PW: Na zajęcie się wkrętami przy wewnętrznej klamce do drzwi. Poluzowałem je.

Prok.: Po co?

PW: Żeby nie dało się już otworzyć sauny, kiedy znajdę się z Jonasem w środku.

Prok.: Wszedł pan tam razem z nim?

PW: Naturalnie. To musiało przecież wyglądać autentycznie. Jak wypadek.

Till zamknął oczy.

Oczami duszy widział, jak ojciec i syn roztapiają się w dosłownym sensie tego słowa. Umierają z pragnienia przy dziewięćdziesięciu stopniach, tracąc coraz bardziej siły. Czy Patrick zawahał się, kiedy zamykał drzwi? Czy w ostatniej chwili zmienił zamiar, wpadł w panikę i jak opętany zaczął walić pięściami w zablokowane drzwi? Krzycząc w śmiertelnym przerażeniu, w powietrzu gorącym jak wrzątek, kiedy główka jego synka stawała się coraz bardziej czerwona?

Prok.: Wszedł pan z trzynastomiesięcznym dzieckiem do uszkodzonej sauny?

PW: Jonas był lekko przeziębiony, a w dodatku tego dnia ogrzewanie w naszym domu nie działało całkiem jak należy. W porze przejściowej zawsze były z nim problemy. Mógłbym więc łatwo wyjaśnić Lindzie, że chciałem rozgrzać nas obu i popełniłem przy tym straszny błąd.

Prok.: Czy nie bał się pan o własne życie?

PW: Wiedziałem, że Linda przyniesie zakupy najpierw do sutereny i znajdzie nas. Jako dorosły chyba przeżyję takie gorąco przez godzinę. Ale Jonas? W żadnym razie. Już po paru minutach ucichł. Po kwadransie zrobił się apatyczny. Było po prostu potwornie gorąco, a ja go w dodatku położyłem na górze, w pobliżu pieca.

Prok.: Ale pański plan się nie powiódł?

Till, który sam zaczął się pocić, odczuł przy tym zdaniu jakby ulgę ochłody.

Boże wielki. On go nie zabił. Patrick Winter tylko usiłował. Skania nie

wysłał mnie do tego psychiatryka z tożsamością szalonego mordercy dzieci.

PW: Następnego dnia nasza gosposia miała iść na urlop. Właściwie przychodziła zawsze w środy, ale przed urlopem chciała nam jeszcze zrobić niespodziankę, włączając pralkę i prasując moje koszule. Więc wyjątkowo przyszła we wtorek.

Prok.: I przy okazji znalazła pana w tej saunie?

PW: Tak. Zaledwie po dwudziestu minutach. Myślała, że uratowała nam życie. Dałem jej sowitą nagrodę i poprosiłem, żeby nic nie mówiła Lindzie. Nic się przecież nie stało, dziecko szybko przyszło do siebie i już znowu darło się jak opętane. Po co więc przysparzać mojej żonie koszmarnych snów? Naturalnie obiecałem wymienić stare drzwi od sauny, co też zrobiłem. Teraz zamykają się już tylko na magnes.

Prok.: I to wszystko było w aktach, które pan wziął z pracy do domu i otworzył u siebie wieczorem 20 lipca?

PW: Tak. Był tam szczegółowy opis mojej ówczesnej próby zabójstwa.

Prok.: Co pan pomyślał, kiedy pan to przeczytał?

PW: Byłem w szoku.

Prok.: Czy chciał pan zjeść te akta, kiedy pan je czytał?

Till omal się nie uśmiechnął przy tej niezdarnej próbie zdemaskowania oskarżonego jako symulanta. Kiedyś czytał w „Spieglu” artykuł o tym, jak psychiatrzy odkrywają oszustwa. Ludzie, którzy tylko udają, że mają urojenia, są skłonni do przyznawania się do każdego dziwactwa: „Jasne, że chciałem zjeść te

akta. Najlepiej z keczupem”. Jeśli ktoś naprawdę jest chory umysłowo, to nie wynajduje żadnych dodatkowych objawów czy zachowań.

Patrick Winter musiał być obznajmiony z takim testem prawdy albo naprawdę szalony, bo odpowiedział prokuratorowi zdeorientowany:

PW: Dlaczego miałbym chcieć zjeść te akta?

Prok.: A co pan chciał zrobić, czytając je?

PW: To, co mi nakazywały.

Prok.: Te akta coś panu nakazywały?

PW: Tak. Na ostatniej stronie. Tam była dokładna instrukcja.

Prok.: Co było w tej instrukcji?

Till zamrugał i wyszło mu w ustach, kiedy przeczytał:

PW: Jak mam zabić mojego syna Jonasa. Ale tym razem tak, żeby mi nikt nie przeszkodził. Żeby naprawdę się udało.

Ile? – spytał Till, nie odrywając wzroku od kartki. Jak małe dziecko, które zasłania twarz rękami w nadziei, że stanie się niewidzialne. Armin, który w czasie, kiedy Till czytał, przysiadł na łóżku, najwyraźniej dał mu odroczenie. Jeszcze nie zaczynał znowu go bić, tylko spytał:

– Co ile?

– Ile ci płacą za znęcanie się nade mną?

Till pomachał wydrukiem w jego kierunku.

– Do czegoś takiego normalnie nikt tu przecież nie ma dostępu. Ktoś musiał ci to dać. Kto ci kazał dać mi wycisk?

Armin wstał, nic nie mówiąc.

Till, który wciąż jeszcze miał wrażenie, jakby został wykastrowany dwiema cegłami, z trudem stanął na nogi i zaczął mówić tak szybko, że prawie połykał słowa:

– Ty tu jesteś dożywotnio, zgadza się? Nie masz nic do stracenia. Ja też nie.

– I co?

Zaryzykował na chybił trafił.

– Co z twoim ojcem? Żyje jeszcze?

– A po co ci to wiedzieć?

– No bo jak żyje, to mogę to zmienić.

– Ty? – Armin roześmiał się na całe gardło. Chwycił się nawet za plecy jak starzec, który ma bóle krzyża. – Przecież ty nie wyjdiesz żywy z tej celi. To jak miałbyś się dostać do domu starców.

A więc jest w przytułku. Dobrze. Stary jeszcze żyje.

– A jednak mogę go zabić. – Till postawił wszystko na jedną kartę. Ale jeśli Armin nie jest już zainteresowany zemstą, jeśli wręcz w najgorszym razie ci dwaj psychopaci się pojednali, to jego jedyny dzoker okazałby się zgrany.

– Jak? – spytał Armin, sprawiając ulgę Tillowi swoim pytaniem.

– Ja mam kontakty. Kontakty i forszę.

Armin pokręcił głową.

– Twoje kontakty muszą być do dupy, jeśli nie mogłeś tutaj sobie nawet załatwić pojedynczego pokoju.

Błyskawicznie chwycił prawą rękę Tilla i tak mu wykręcił palce, że Till musiał zmienić pozycję o dziewięćdziesiąt stopni i paść na kolana, żeby mu ich nie połamał.

– Przestań, czekaj, przysięgam. Mam telefon komórkowy.

– Bredzisz.

– Mam. Kiedy jeździ autobus?

– Co?

– Ten biblioteczny. Kiedy przyjeżdża?

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Nie. Moi ludzie umieścili tam komórkę. Mogę ci pokazać. Wtedy razem zadzwonimy i twój ojxxx...

Till wydał z siebie krzyk. Dwa z jego palców były nienaturalnie wykręcone. Jeszcze milimetr, a oba złamią się jak zapalki.

– Komórka? Tu na wyspie?

– Taaak.

– I działa?

– Przysięgam.

– Prawdę mówisz?

Uchwyt Armina nieco zelżał. Chrząknął sceptycznie, ale chyba się zastanawiał.

Kolejna przerwa w maltretowaniu Tilla, który ledwo śmiał oddychać ze strachu, że poruszenie ciała spowoduje uraz.

– Tak, tak. Naprawdę. Działa.

– Hm. Na dzisiejszą noc jeszcze ci odpuszczę, a za to jutro dasz mi komórkę.

– Umowa stoi – potwierdził Till.

– Ale palce ci i tak połamię.

Tętno Tilla przyspieszyło, na czoło wystąpił mu jeszcze obfitszy pot.

– Nie, nie. Przestań! Proszę. Wtedy mnie przeniosą gdzie indziej. Jeśli jutro będę ranny, to nas rozdziela. To kretynizm, zastanów się.

Ale Armin powiedział tylko, ze słyszalnym sarkazmem:

– Mam to gdzieś. Mogę zaryzykować. Poza moją celą też będę umiał cię dorwać, ty morderco dzieci. A poza tym... To tylko dwa z dziesięciu. Wyluzuj.

Till usłyszał suchy trzask, po nim nastąpiła krótka przerwa, którą natychmiast wypełnił czysty, niefiltrowany głos bólu.

Zrodzony w najgłębszych pokładach jego jestestwa.

Seda spała głębokim snem, nie z powodu środków, które jej tu aplikowali, bo już dawniej umiała jak za naciśnięciem guzika wśliznąć się w krainę snów. Musiała sobie przyswoić tę umiejętność w dzieciństwie, żeby móc usunąć ze świadomości zapachy, odgłosy i obrazy, na które była na jawie wystawiona w mieszkalnej przyczepie. Była to przyczepa kempingowa w kolorze żółtego lakieru do paznokci, którą jej matka wykorzystywała jednocześnie jako jadalnię, mieszkanie, sypialnię i „pokój gościnny”. Przy czym „goście” przebywali zawsze krótko, nigdy dłużej niż godzinę, przeważnie krócej.

Za dnia Seda mogła się bawić w lesie, ale musiała uważać, żeby się nie pośliznąć na prezerwatywach albo kupach, bo tu na parkingu przy B 213 toalety nie było. Tylko rozwalający się toi toi, który już z daleka tak śmierdział, że kierowcy woleli się załatwiać między drzewami.

Niektórzy rzeczywiście zatrzymywali się tu na krótki odpoczynek. Ale większość przybywała z uwagi na migające czerwone serduszko nad drzwiami przyczepy.

A kiedy robiło się ciemno i Seda nie miała już ochoty marznąć w ciemności, wchodziła do środka i spała pod stołem, podczas kiedy mama na łóżku zajmowała się „gośćmi”.

Niektórzy chcieli nawet dopłacić, żeby ośmiolatka się przyglądała, ale takich jej matka zawsze wyrzucała, w razie czego z użyciem pięści albo gazu pieprzowego.

Żaden „gość” nigdy jej nie dotknął ani nawet nie naprzykrzał się. W każdym razie nie pamiętała niczego takiego.

Seda spała jak kamień, więc i teraz, tuż po obudzeniu się w swojej pojedynczej celi, nie miała pewności, jak długo doktor Kasov trzyma już rękę w jej slipkach.

– Cholera, czego chcesz? – wydyszała przestraszona, naciągnęła kołdrę z powrotem na nogi i z obrzydzeniem odsunęła się w stronę wezłowania.

Drzwi więziennej klitki, w której musiała spędzać noce, były zamknięte od środka. Można by pomyśleć, że ordynator znalazł się w pokoju metodą teleportacji.

– Mam dla ciebie nowego – odezwał się Kasov swoim obrzydliwie skrzekliwym głosem.

Żołądek jej się ścisnął. Uzgodnili, że będzie dwóch tygodniowo, maksymalnie trzech. Wiedziała, że ma zaległości. Skończył się więc jej okres ochronny.

– Kogo?

W odróżnieniu od cel męskich korytarz dalej, tu, w strefie dla kobiet, były oddzielne łazienki. Zostawiała światło przy lustrze nad umywalką, żeby się nie bać, jak się obudzi. Od czasu do czasu miewała problemy z orientacją i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Światło wpadające przez szparę uchylonych drzwi rzucało ciemne

cienie na ściany, co sprawiało, że doktor Kasov wydawał się jeszcze wyższy, niż i tak był.

– Guidona Tramnitza – powiedział swoim łamiącym się głosem.

Seda zdziwiła się.

– Skąd ja znam to nazwisko?

– Ostatnio pisały o nim często gazety.

– Zaraz, chyba nie chodzi o tego mordercę dzieci?

Kasov mlasnął językiem i zrobił taką minę, jakby Seda była dzieckiem, które musi skarcić za użycie brzydkiego słowa.

– Każdy człowiek zasługuje na drugą szansę, taki przecież jest cel tej instytucji, nie? Żeby leczyć takich jak ty i on i poddawać ich resocjalizacji.

Sedzie zrobiło się gorąco i przyszły jej na myśl słowa jej matki.

„Gniew jest jak woda, Sedo. Chce płynąć i szuka sobie drogi ujścia”.

W tej chwili gniew torował sobie drogę jak rwący górski strumień.

– Nie stawiaj mnie na równi z czymś takim – odparła.

Kasov tylko się roześmiał i przysiadł na jej łóżku.

– Nie sądzę, żebyś musiała z nim to robić na równi. On ma inne upodobania.

Puknęła się w czoło.

– Nawet się do niego nie zbliżę. Chyba ci odbiło.

– Zrobisz dokładnie to, co ci mówię, mała kurewko.

Seda zacisnęła pięść, ale zanim zdołała choćby podnieść rękę, Kasov chwycił ją tak mocno, że poczuła jak krew odpływa jej z ręki.

– Nie rób głupstw, mała. Znasz konsekwencje – syknął, a jej chęć walnięcia czołem w jego nos jak dziób wrony była prawie nie do pohamowania.

Większy był tylko jej gniew na samą siebie. Trzy błędy wpakowały

ją w to gówniane położenie. Pierwszy, że mając czternaście lat, zaufała chłopakowi, który ją zapewniał, że heroina uzależnia tylko wtedy, jak się ją wstrzykuje. Drugi, że znalazła sobie koleśka z Hells Angels jako sutenera, kiedy dziesięć lat później musiała zrezygnować z pracy w bibliotece miejskiej w Steglitz, bo musiała finansować nałóg sprzedażą własnego ciała. A trzeci, największy i decydujący: że naruszyła najstarszą regułę tego fachu, która brzmi: nie ufaj żadnemu frajerowi.

W burdelu przy lotnisku Schönefeld Kasov obiecywał jej złote góry, i nawet sporo z tego dotrzymał. Tak, zorganizował sobie „uboczne źródło dochodu” i zaopatrywał większość szpitali w Berlinie w „prywatne usługi terapii seksualnej”, jak to nazywał. I rzeczywiście miał pieniądze i wpływy, żeby ją wykupić od jej sutenera i załatwić jej miejsce na odwyku w oddziale zamkniętym. Ale tu w zakładzie miał też władzę, żeby ją faszerować lekami, zniewalać i kazać jej gnąć w jakiejś izolatce.

Seda zrobiła więc głęboki wdech i postanowiła posłuchać rozkazu Kasova. Kiedyś nadejdzie dzień, w którym odpłaci tej wronie za wszystko i będzie mogła się zemścić. Ale w tej chwili to on był górą.

– Skoro Tramnitz gustuje w dzieciach, to czego może chcieć ode mnie? – spytała Seda, podejmując ostatnią, rozpaczliwą próbę odsunięcia tego wszystkiego od siebie.

– Urozmaicenia! – Kasov wyszczerzył się i uszczypnął ją przez nocną koszulę w brodawkę prawej piersi. Tak mocno, że ból wycisnął jej łzy z oczu i znowu przywiódł jej na pamięć matkę.

„Są takie rzeczy, do których nie można się przyzwyczaić, Sedo. Nieważne, jak często się ich już doświadczyło”.

– Jesteś umówiona pojutrze na szesnastą. Zaprowadzę cię do niego

na oddział, jasne?

Seda spojrzała na Kasova i kiwnęła głową.

Obserwował ją przez chwilę, a jej udało się wytrzymać jego przebiegłe spojrzenie tak długo, aż w końcu westchnął i powiedział:

– Dobrze. A teraz opowiesz mi, jak poszło z Patrickiem Winterem. Czy on ci coś o mnie mówił?

Till nie znał ani tego biura, ani parkingu, w który się wpatrywał, nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak się nazywa, ale tak często bywało w jego snach.

Podobnie jak nie było też niczym niezwykłym, że we śnie zdawał sobie sprawę, że to nie jest jawa, i że to wszystko, co widzi, odczuwa, słyszy, odbiera smakiem i węchem, istnieje tylko w jego głowie.

Na przykład rozpalony asfalt parkingu, którego z takiej wysokości nie można było nawet dobrze zobaczyć, a co dopiero powąchać. Właściwie był to przyjemny zapach, kojarzący się przecież z latem, urlopem, wakacjami.

I śmiercią.

Choć Till nie umiał powiedzieć dlaczego. Pamiętał, że nie miał jeszcze nigdy wypadku samochodowego, nawet nie przewrócił się groźnie na rowerze. Dlaczego więc zapach zakurzonego parkingu kojarzył mu się z woskową skórą, z niebieskawym odcieniem, jaki przybiera skóra nieboszczyka, ze słodkawo-mdłym zapachem mięsa rozkładającego się na słońcu?

Jedynie, co w tej chwili rozumiał, to dlaczego ten niewiarygodny żar, wypełniający go coraz bardziej, ma swoje źródło w prawej ręce.

Próbował trzymać ją bez ruchu, choć we śnie szukał właśnie możliwości podkręcenia klimatyzacji albo jakiegoś sposobu na otwarcie okna, co w tym wieżowcu pewnie w ogóle nie było możliwe.

Armin złamał mu dwa palce prawej ręki, tę świadomość zabrał ze sobą w gorączkowy, spocony sen, w który w końcu jednak zapadł po długiej fazie rozpaczki i zwątpienia.

Jego pragnienie natychmiastowego uwolnienia się od szaleńca było, co zrozumiałe, tak silne, że kilkakrotnie nachodziła go myśl wezwania pomocy albo przynajmniej przekazania jakiegoś znaku Simonowi przy okazji jednego z jego kontrolnych obchodów. Żeby mu pokazać niebieskofioletowe, nabiegnięte, spuchnięte i absurdalnie powykręcane palce i powiedzieć: „Sam popatrz, co mi zrobił ten wariat, który mnie musiał z kimś pomylić. W żadnym razie nie możecie mnie z nim zostawiać samego!”

Ale co to wyszeptał Armin? Kiedy Till już był gotów walić w drzwi celi zdrową pięścią (na szczęście był leworęczny)?

„Ty wiesz, co oni robią z oprawcami dzieci, których maltretują współwięźniowie? Izolują, ale nigdy napastnika. Zawsze tylko jego ofiarę”.

Armin śmiał się i opisywał wymownie, jak samotnie i parszywie czułby się Till w pojedynczej celi. Dwa słowa, które wypluł Armin, poszły za Tillem do jego snu.

„Oprawca dzieci” i „pojedyncza cela”.

Czyżby Patrick Winter rzeczywiście miał na sumieniu dziecko?

Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć, zwłaszcza we śnie, w którym stał jak przyrośnięty do okna, widząc ludzi i samochody wielkości

zabawek, wiele pięter niżej. Tylko żywiczny, asfaltowy zapach śmierci był blisko niego, wypełniał jego nos, choć przecież istnieje teza, że we śnie nic się nie czuje węchem. Ale ten zapach był tak intensywny jak pewność Tilla, że ani na jeden dzień nie może dać się odizolować od innych więźniów. Pod żadnym pozorem. Tu w zakładzie nie wytrzyma ani dnia dłużej niż koniecznie potrzeba, a izolacja oznaczałaby brak szans na znalezienie się w pobliżu Tramnitza.

Nie podniósł więc alarmu i nie zadenuncjował Armina. Odczekał, aż oddech psychopaty na łóżku pod nim stanie się spokojny i równomierny. Till zignorował zarówno regularne otwieranie klapki w drzwiach, kiedy Simon sprawdzał, czy wszystko w porządku, jak i wzdęcia Armina i mimo poczucia, że jego prawa ręka nabrzmięwa do rozmiarów dyni, zapadł w końcu w ten chaotyczny sen pomieszany z jawą, w którym nic nie miało sensu oprócz jego bólów.

Nie było też sensu w tym, że nagle wszędzie było widać to imię: JONAS.

Na neonie reklamowym na dachu hotelu Ritz Carlton. Na ogromnej płachcie osłaniającej rusztowanie naprzeciwko centrum handlowego. Było nawet na banerze ciągniętym przez mały samolot lecący w kierunku Czerwonego Ratusza w dzielnicy Mitte: JONAS.

Cóż za piękne imię.

Jaki to straszny los spotkał tego chłopca ze strony jego ojca?

Co Patrick mu zrobił, że ma w klinice takich wrogów jak Armin?

I kto dostarczył jego współlokatorowi informacji z akt sądowych Patricka Wintera?

Kto tak bardzo go nienawidzi, żeby pragnąć jego śmierci?

W realnym życiu, tego Till był pewien nawet we śnie, znałby odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Ale we śnie Till podszedł bliżej

do okna, oparł się o nie i usłyszał znowu ten straszny trzask. Był jeszcze głośniejszy niż w chwili, kiedy łamały się jego palce, bo teraz pękało coś o wiele większego niż jego kości. Najpierw pokazała się tylko cieniutka rysa, potem pękła cała szyba, o którą Till oparł się ramieniem. Bezpieczne podobno szkło pokruszyło się na kawałki, które wdzierający się teraz, gorący jak sauna wiatr, niczym konfetti cisnął mu w twarz.

Till zamknął zamknięte już oczy, a mimo to jeszcze jaśniej widział, jak wysoko jest w tej chwili – setki metrów nad Berlinem – i jak głęboka jest otwierająca się przed nim otchłań.

– Skacz! – powiedział człowiek, który był odpowiedzialny za to wszystko, ale którego nazwiska w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć. Strach przed upadkiem był tak wielki, że Till uczepił się kurczowo ramy okna. Co było błędem.

Ból ze zranionej ręki przetoczył się natychmiast prosto do mózgu, wybuchając tam snopami iskier, jak kiedy piła tarczowa natrafia na metal.

– Skacz! – rozkazał mu głos raz jeszcze i Till miał wrażenie, jakby głębia ciągnęła go magiczną siłą. Naturalnie bał się zderzenia z jezdnią na dole. Ale coś w nim odczuwało też radość oczekiwania na ostatni świadomy krok. I na swobodny lot ku ziemi, który musi być upajający. Do momentu, w którym jego ciało się roztrzaska.

Na dole. Na gorącym asfalcie. Którego zapach docierał już do jego nosa.

Nagle Till poczuł uderzenie. Nie, nie uderzenie. Coś nim potrząsało, ktoś go ciągnął naprzód. W przepaść.

I nie był to człowiek, który wynajął Armina, chcąc, żeby Patrick Winter nie przeżył tej nocy. I ten człowiek wcale nie krzyczał też:

„Skacz!”, tylko wprost przeciwnie:

– Nie!

Till otworzył oczy i zobaczył wzburzoną twarz Simona, który go ze wszystkich sił wpychał z powrotem na górne łóżko, z którego właśnie omal nie spadł na podłogę, tak gwałtowne ruchy wykonywał przez sen, bijąc wokoło siebie ramionami.

– Cholera! – powiedział czarnoskóry pielęgniarz z przerażeniem, kiedy Till się uspokoił i oprzytomniał. – Niech to diabli, co się stało z pana ręką, panie Winter?

Wypadek?

Profesor Sanger nawet nie starała sie ukrywać swojego sceptycyzmu. Rzuciła mu spojrzenie mówiąc: „Czy ja naprawdę wyglądam na tak głupią?”, jakie Till jeszcze dobrze pamiętał u swojej matki. Tak właśnie patrzyła dawniej na niego: z uniesionymi brwiami, brodą cofniętą do szyi, ustami zaciśniętymi w cienką kreskę – ilekroć szukał wykrętów, żeby usprawiedliwić złe oceny, zgubienie portmonetki czy późny powrót z balangi.

– Potknąłem się po ciemku i padając obok sedesu, źle się podparłem – powtórzył Till to samo, co powiedział już jej asystentowi, zanim ten zrobił mu prześwietlenie palca środkowego i serdecznego, a potem unieruchomił je opatrunkiem.

Till siedział naprzeciw profesor Sanger przy jej biurku. Niebo nad Berlinem było tak ciemne od burzowych chmur, że mimo otwartej architektury budynku i wielu przeszkleń już wczesnym rankiem paliła się lampa na biurku i włączone było oświetlenie podsufitowe.

– Oko mam podbite, bo uderzyłem się o umywalkę.

– Ach tak.

Simon po pobudce o wpół do siódmej natychmiast zaprowadził go

na oddział ratunkowy, położony na poddaszu w skrzydle wschodnim. Można się tam było dostać tylko zabezpieczoną biometrycznie windą, która ruszała z miejsca dopiero po udowodnieniu prawa dostępu kluczem elektronicznym i skanowaniem tęczówki oka.

– I pana złamania i krwiak, panie Winter, nie mają nic wspólnego z pana współmieszkańcem?

Till pokręcił głową, ale nie śmiał spojrzeć szefowej kliniki prosto w oczy. Przez okno za jej plecami wpatrywał się w koronę wierzby płaczącej, która, wstrząsana wiatrem, wydawała mu się dawać znaki z dziedzica: „Nie! Nic nie mów! Ani pary z gęby!”

Podobnie wyraził się też Armin i Till postanowił posłuchać intuicji.

– Nie, zupełnie nic – zaprzeczył. – To tylko głupi pech.

Sänger westchnęła ciężko, zapisała coś w aktach i powiedziała:

– No dobrze, mimo to przeniosę pana gdzie indziej.

Tillowi przypomniał się zaraz ochrypli głos Armina, który w jego wspomnieniu brzmiał tak, jakby tamten chciał razem ze słowami wykasłać z płuc trochę brudu. Ostatnie słowa, które do niego powiedział, kiedy wspiał się na swoje łóżko, brzmiały: „Kupiłeś sobie jedną noc, Winter. Jak się jutro dasz przenieść do innej celi i nie dasz mi komórki, to przy najbliższej okazji tak cię rozpruję w trakcie srania, żebyś wysrał też od razu flaki”.

W okno uderzyła struga deszczu, jakby ktoś z zewnątrz chlusnął na szybę wiadrem wody, i Till się wzdrygnął. Przez chwilę korciło go, żeby zaprotestować przeciwko przeniesieniu. Z drugiej strony Armin chciał go dręczyć tak czy owak, nawet gdyby mu dał komórkę, więc nie zaszkodzi trochę się od niego odseparować.

Grunt, żeby go całkiem nie odizolowali.

– Jak pani uważa – odparł więc.

Sänger wyjęła jeszcze raz zdjęcie rentgenowskie z akt personalnych Tilla, które naturalnie były podpisane nazwiskiem jego alter ego, Patricka Wintera, i westchnęła.

– Ma pan szczęście, że to nie są skomplikowane złamania i że nie musi pan być operowany.

– Za mało personelu? – spytał Till.

– Za mało łóżek.

Pokazała kciukiem przez ramię na okno, nie patrząc w tamtą stronę.

– Piętro ogrodowe w skrzydle zachodnim jest zalane wskutek nieprzerwanej ulewy, musieliśmy ewakuować tę część i porozdzielać pacjentów na pozostałe oddziały. Z tego też powodu zrobiliśmy wczoraj z panem wyjątek.

– Rozumiem.

A więc jego zakwaterowanie razem z Arminem nie było od początku planowane. Co wyjaśniało reakcję Simona, który wczoraj jeszcze raz się upewniał telefonicznie, czy zaprowadził Tilla do właściwego pokoju.

Tylko pytanie, u kogo?

Till miał chęć dowiedzieć się od Sänger, kto zajmuje się przydzielaniem łóżek, ale przeczuwał, że to pytanie wzbudziłoby jej nieufność. Jednak skoro nawet pacjentka Seda wiedziała, że Armin jest jego wrogiem, to można było się domyślać, że rozniosło się to także wśród personelu. Wyglądało więc na to, że ma tu przeciwnika, który umyślnie postarał się, żeby go zamknęli na niewielkiej przestrzeni z tym psychopatą. I musiały się bardzo mylić, żeby nie wiedzieć, kto może być tym wrogiem. Kto mu wręcz otwarcie groził w czasie swojej wizyty w pokoju interwencyjnym. Inaczej niż we śnie,

teraz Till bardzo dobrze pamiętał nazwisko doktora Kasova.

– Panie Winter?

Till spojrzął na profesor Säger i zorientował się, że zatopiony w myślach nie zauważył, jak lekarka wstała zza biurka. Podała mu kartkę z numerem.

– Niech pan pójdzie do punktu wydawania lekarstw, tam już wiedzą i dadzą panu coś na bóle. Jakby pan potrzebował czegoś mocniejszego, to niech się pan jeszcze raz zgłosi.

– Wszystko jasne.

Wziął kartkę zdrową lewą ręką. Ból w prawej pulsował wciąż jeszcze równym rytmem z jego tętnem, ale był przytłumiony przez miejscowe znieczulenie.

– Właściwie przeznaczyłam ten czas dzisiaj na rozmowę indywidualną, ale teraz już nie zdążymy przed sesją grupową o drugiej.

Till wzruszył ramionami i też wstał.

– W porządku, a gdzie ona będzie?

– Wyjątkowo w holu. Duża sala posiedzeń jest nam potrzebna na zebranie załogi. Doktor Wozniak dzisiaj też nie robi całej godziny, żeby móc na koniec jeszcze do nas dobić.

– Rozumiem – powiedział Till, który uświadomił sobie, że ma za mało czasu, żeby przed sesją skontaktować się ze Skanią. A musiał mu zadać pilnie parę pytań, istotnych dla pozostania przy życiu. Co konkretnie zrobił Winter swojemu młodszemu synowi? O co wytoczono mu proces? I dlaczego mimo to mógł sobie pójść do przedszkola, żeby tam zrobić z siebie żywą pochodnię?

– Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze? – spytała Säger, kiedy przez chwilę stał przed nią bez słowa, niezdecydowany.

– Wspominała pani wczoraj o bibliobusie – odezwał się po chwili wahania.

Sänger pokręciła głową.

– Przykro mi. Na razie nie jeździ. To zbyt niebezpieczne.

Znowu pokazała na okno i Tillowi zrobiło się podobnie gorąco jak wczoraj, kiedy nie widział szans wyjścia ze wspólnej celi z Arminem. Powoli uczył się, że jego największe lęki zapowiadane są nagle wybuchającym wrażeniem, że coś parzy go od wewnątrz.

Bez biblioteki nie dostanę się do komórki. A bez komórki jestem odcięty od świata zewnętrznego.

Nie mówiąc o brutalnej reakcji, jakiej należało się spodziewać ze strony Armina, gdyby próbował mydlić mu oczy.

Till po raz pierwszy poważnie zastanawiał się nad przerwaniem swojego zadania. Na jakie szaleństwo się porwał bez zastanowienia? Skania go ostrzegał, że nie docenia problemów. To dzięki swoim obłąkanym pomysłom jest teraz zdrową osobą zamkniętą z chorymi umysłowo, z których co najmniej jeden pragnie jego śmierci.

Wszystko jedno, z jakiego powodu.

– Przy tej pogodzie na razie nie będzie też wychodzenia na zewnątrz – oświadczyła dodatkowo Sänger. – Radca prawny poinformował nas dzisiaj rano, że ubezpieczenie nie zapłaci ani grosza, gdyby kogoś zabił spadający konar drzewa. Dlatego mamy dzisiaj zebranie nadzwyczajne. W związku z pogodą, która ma być jeszcze gorsza.

– To jak ja mam się dostać do książki? – spytał Till nieco zbyt nerwowo jak na takie na pozór niewinne pytanie.

– O, nie ma problemu. Autobus stoi na zadaszonym parkingu, do którego jeszcze jest dostęp. Jeśli poda mi pan tytuł, to każę ją panu przynieść do pokoju. – Uśmiechnęła się. – O ile naturalnie jest u nas.

O tak, jest.

Regał trzeci, rząd drugi. Zaraz za Bibliami.

Till bezwiednie przełknął ślinę i podrapał się lewą ręką po potylicy. Czy mógł tak ryzykować? Co będzie, jeśli posłaniec otworzy książkę? Co będzie, jeśli po drodze telefon się odezwie albo wręcz wypadnie z książki i z hałasem spadnie na ziemię?

Potem uświadomił sobie, że nie może nawet wyjaśnić, skąd wie o książce w drugim rzędzie, która zsunęła się do tyłu.

– Gdyby to było możliwe, to wolałbym ją sobie sam wziąć z autobusu.

– A to czemu?

– Kocham zapach książek, on mnie uspokaja – odparł i nawet nie musiał specjalnie kłamać. – Jeśli autobus jest dostępny, jak pani mówi, to może dałoby się go otworzyć dla mnie?

Sänger stuknęła palcami w akta Patricka Wintera, zupełnie jakby grała na niewidzialnym fortepianie, i nie dała po sobie poznać, co sądzi o jego propozycji.

– Ma pan na myśli jakąś konkretną książkę? – spytała.

– James Joyce – usłyszał Till własne słowa, bo po prostu nie miał wyboru.

Musiał porozmawiać ze Skanią i dowiedzieć się, czyją tożsamość tu przyjął. Musiał też zyskać na czasie z Arminem i przynajmniej pokazać mu komórkę. Dlatego uzupełnił jeszcze: *Ulisses*, i jeśli nawet Sänger była zdziwiona wyborem tej klasycznej pozycji literatury światowej, to nie dała nic po sobie poznać.

– Dobrze, każę to zaraz sprawdzić i dam panu znać.

Till podziękował i odwrócił się do drzwi, a wtedy Sänger jeszcze za nim zawołała:

– A tak przy okazji, chemioterapia jest wyznaczona na dzisiaj na wpół do czwartej.

Till zastygł bez ruchu, jak sparaliżowany. Wewnętrzne gorąco nie pojawiło się, jakby zostało wyłączone. Panika osiągnęła nowy stan skupienia. Till czuł jednocześnie gorączkę i zimno, jak tuż przed wybuchem ostrych dreszczy.

– Że co?

Sänger uśmiechnęła się i odpowiedziała takim tonem, jakby nie była pewna, czy pacjent nie chce z niej zadrwić.

– Naturalnie podejmiemy leczenie w tym miejscu, w którym zostało przerwane przed tym incydem.

O Boże, nie. Patrick Winter był wrakiem nie tylko pod względem mentalnym.

Jakby na potwierdzenie jego myśli Sänger powiedziała:

– Niech pan tylko nie mówi, że w zdenerwowaniu zapomniał pan o własnym raku, panie Winter.

†ramnitz odczekał, aż brzuchaty jegomość w klapkach basenowych nazwie swoją niewierną żonę publicznie na ulicy „głupią kurwą”, po czym wyłączył telewizor nadający śmieciowy paradokument i z lubieżnym uśmiechem zajął się nieoczekiwanym gościem.

– Witam panią adwokat – odezwał się do szczupłej kobiety o krótkich blond włosach, stukającej siedmiocentymetrowymi obcasami po linoleum.

– Dzień dobry, panie Tramnitz, jak się pan miewa?

– Dobrze. Nie spodziewałem się pani tak szybko.

– Wobec szczególnych okoliczności stosunkowo łatwo było uzyskać widzenie – wyjaśniła obrończyni. Podeszła do łóżka, na którym Tramnitz w na pół leżącej, na pół siedzącej pozycji od śniadania oglądał telewizję.

Bez żenady wpatrywał się w jej dekolt i nie po raz pierwszy wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby ją zmusił, żeby sama obcięła sobie brodawkę sutkową i ją zjadła.

– Bądź co bądź, ma pan za sobą ciężką operację – powiedziała

kobieta, która znakomicie wykonała swoje zadanie na sali sądowej. Gdyby nie Pia Wohlfeil, to on nie byłby teraz w Białym Domu, tylko wylądowałby w męskim mamrze w Tegel, gdzie pensjonariusze nie są tak jak ci nudziarze na psychiatrii wyrozumiali dla ludzi o takich preferencjach seksualnych jak on. Między innymi to ona mu poradziła, żeby na każdym przesłuchaniu wspominał o przedmiocie w swojej głowie, który mu wydaje rozkazy. Nic dziwnego, że jej stawka godzinowa należała do najwyższych w branży, ale Pia Wohlfeil była warta każdych pieniędzy.

– Muszę się osobiście przekonać, jaki jest stan pańskiego zdrowia. – Pia nachyliła się nad nim. – I czy wszystko jeszcze jest na miejscu – szepnęła do ucha Tramnitza i wsunęła rękę pod jego kołdrę.

Stęknął, kiedy jej ręka ujęła jego penis.

– Bez obawy, przystojniaku – mruknęła, kiedy chciał się odwrócić do drzwi, i dwoma palcami chwytając go za brodę, skierowała jego głowę z powrotem ku sobie. Pocałowała go, otworzyła usta i wsunęła język do jego ust.

– Wizyta adwokata to rzecz święta. Nie wolno nam przeszkadzać w rozmowie.

Zamruczała, udając kotkę, i nie po raz pierwszy Tramnitzowi przyszło do głowy, że jego obrońcy o wiele bardziej potrzebuje leczenia na oddziale zamkniętym niż on sam.

Jaka normalna kobieta zakochałaby się w seryjnym mordercy? Naturalnie, słyszał o takich zbzikowanych babach, którym się ubzdurało, że tacy jak on potrzebują tylko odrobinę miłości i czułości, których nigdy nie zaznali od matki, żeby – pstryk – powrócić na właściwą drogę i zrezygnować z obdzierania niemowląt ze skóry. Co za debilizm.

Pia też miała taki kompleks opiekuńczy. Powiedziała mu, że zakochała się w nim już przy pierwszym widzeniu. *Głupia krowa*.

W rzeczywistości nie ona jedna zalecała się do niego. Nie było tygodnia bez listu od jakiejś zidiociałej wywłoki, a niektóre z piszących były nawet całkiem niebrzydkie.

– Och Pia, nie masz pojęcia, jak dobrze mi z tobą. Bez ciebie nie wytrzymałbym tego wszystkiego – skłamał.

Uśmiechnęła się.

– Słodki jesteś. Przecież wiem, jak bardzo siebie potrzebujemy.

– Zwłaszcza teraz – roześmiał się i spróbował przyciągnąć ją do siebie. – Chodź tu, potrzebuję twojej bliskości. Całkiem wyszedłem już z wprawy.

– Ty łotrze – zachichotała zakłopotana niczym uczennica, co zresztą Tramnitzowi bardziej by pasowało. To nie do wiary, jak nawet ustawione, odnoszące sukcesy kobiety w obecności takich jak on zamieniają się w łaszące się samice.

– Niedługo znowu intensywnie zatroszczę się o ciebie – szepnęła Pia i lekko ścisnęła mu jądra. – Ale teraz musimy wykorzystać czas, żeby omówić coś ważnego, skarbie.

Tramnitz westchnął. Jego penis zdążył się już wyprężyć.

Na szczęście zamówił już u skorumpowanego ordynatora kurwę, którą tamten mu obiecał na jutro. Tak długo jeszcze wytrzyma, zwłaszcza że infekcja wciąż jeszcze trochę go osłabiała. Mimo antybiotyków pocił się przy najmniejszym wysiłku jak szczur, czego wprost nie mógł ścierpieć.

– Spróbowałam się czegoś dowiedzieć na temat doktora Hartmuta Friedera.

Oczy Tramnitza zabłysły.

– I co?

Zaraz po wizycie chirurga zażądał kontaktu ze swoją adwokat i przez telefon powiedział jej, że ta świnia podobno w czasie operacji umyślnie zapomniała w nim jakiegoś ciała obcego, tak przynajmniej twierdzi.

– Nie musisz się do niczego przyznawać. On blefuje.

– Też tak myślę – odparł Tramnitz, sięgając nieświadomie ręką do opatrunku na szyi. Niczego w nim nie ma. *Chociaż...* Czy mu się tylko wydaje, czy rzeczywiście blizna pooperacyjna pulsuje znowu trochę mocniej niż wczoraj?

– Ten gość jest całkiem na granicy – oświadczyła Pia. – Od miesiący nie pojawia się u Anonimowych Alkoholików, na pewno znowu chleje. Jest tylko kwestią czasu, kiedy mu znowu ktoś wykorkuje na stole.

– Jestem tego pewien. – Tramnitz otarł kroplę potu z czoła. Czy tu naprawdę jest tak gorąco, czy znowu mu się pogorszyło? – Ale faktem jest, że po operacji miałem zakażenie krwi. A jeśli on rzeczywiście zaraził mnie czymś umyślnie? Jeśli to jakiś wirus albo inny zarazek, to może to robić wciąż od nowa.

– Czy mam złożyć wniosek o twoje przeniesienie?

– Żebym trafił do jakiegoś zasyfiałego pudła w stylu lat siedemdziesiątych? – Tramnitz pokręcił głową. – W żadnym razie. Tutaj mam idealne układy z Kasovem. Nie będę ich narażał.

Pia westchnęła.

– Powinieneś być mnie posłuchać i nie prowokować nikogo, kotku. – Wskazała nocny stolik, na którym jeszcze przed operacją stała figurka Luke’a Skywalker’a. – Musiałeś tak sobie zadrwić ze wszystkich?

– Ty to byś mi zabroniła wszelkiej zabawy. – Wyszczrzył się w krzywym uśmiechu, podczas gdy ona głaskała pod kołdrą jego już

nie tak wyraźny sześciopak na brzuchu.

– Pamiętałaś o moim zeszytku?

– Naturalnie.

Prawniczka wyciągnęła z aktówki brązową książeczkę ściągniętą z boku tasiemką.

– Jesteś niesamowita!

Tramnitz z czułością pogładził palcami okładkę pamiętnika, nie zdejmując tasiemki.

– Jesteś pewien, że chcesz to trzymać tutaj?

Dotychczas Tramnitz pisał tylko w jej obecności, a Pia po wizycie zawsze zabierała pamiętnik, żeby nikt go nie znalazł w klinice.

– Nie sądzę, żeby mi robili kłopoty w pokoju. Tu na oddziale ratunkowym nie kontrolują tak jak na oddziale pod specjalnym nadzorem. Gdybym chciał, to mógłbym nawet swobodnie się poruszać po całym oddziale, prawie tak jak na otwartym. – Tramnitz pokazał okratowane okna. – Tylko wyjścia są naturalnie tak samo zabezpieczone jak wszędzie.

– No dobrze, mogę przyjść znowu najwcześniej za trzy dni. Do tej pory nie rób głupstw! – Odgarnęła włosy z lekko zaczerwienionej twarzy. – Aha, i jeszcze jedno: od niedawna jesteśmy związani jeszcze mocniej.

– Co masz na myśli? – Żołądek ścisnął mu się w oczekiwaniu złych wiadomości.

– Myślę, że dobrze wiesz, o czym mówię – powiedziała Pia i całowała go długo i intensywnie, zanim wstała, zbierając się do odejścia. – Nasze igraszki w pokoju widzeń były owocne. Jestem w ciąży. I przysięgam ci, że wyjdiesz stąd najpóźniej do czasu urodzenia się naszego dziecka!

Nowi przyjaciele Tilla nazywali się: Bez Zębów, Bez Spodni i Bez Ręki.

Wszyscy siedzieli w wielkiej kopułowej sali w holu, niestety nie na wygodnych fotelach, tylko na praktycznych składanych krzeselkach, rozstawionych w półkole przed frontem okien wychodzących na park.

Bez Zębów była jedyną kobietą w tym gronie, miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na przedwczesną emerytkę. Till widział dosyć reportaży o uzależnionych od cracku, żeby się domyślić, co było powodem jej fizycznej ruiny. Jej krzesło stało ukośnie za miejscem zajmowanym przez Bez Spodni, człowieka, który znakomicie by się nadawał do roli starzejącego się arystokraty: kanciasta broda, przyprószone siwizną skronie i myślące, pofałdowane czoło. Miał nawet na sobie garnitur w prążki, w którym brakowało tylko jednego drobnego szczegółu: spodni. Mimo wszystko Till miał możliwość oszczędzenia sobie w czasie rozpoczynającej się terapii grupowej widoku jego cienkich, owłosionych nóg – wystarczyło, że skierował po prostu wzrok w inną stronę. Na przykład

ku prowadzącemu zajęcia doktorowi Wozniakowi, zwróconemu plecami w stronę parku, gdzie tylko masywne latarnie nie łopotały jak chorągwie na wietrze. Wicher od jeziora wyginał krzewy i drzewa, jakby były z elastycznej gumy. Na wysklepionych ku górze, kilkumetrowych szybach Białego Domu grube krople zostawiały ślady jak deszcz na przedniej szybie jadącego z pełną prędkością samochodu.

– Pozwolę sobie zacząć od siebie. Jestem doktor Krzysztof Wozniak, jestem ordynatorem w klinice Stein i prowadzę terapię rozmów grupowych.

Prowadzący wyglądał, jakby dopiero przed chwilą wstał z łóżka. Miał nieuczesane, rzadkie włosy, zasłaniające mu uszy.

– Niektórzy z państwa znają mnie także z terapii muzycznej w sali numer 5, gdzie właśnie zajmujemy się Beethovenem.

Lekarz mówił z przyjemnie melodyjnym polskim akcentem, jak ktoś, kto zna niemiecki jak język ojczysty, ale nie chce wypierać się swoich korzeni. Po kolei szukał kontaktu wzrokowego z każdym członkiem grupy.

Po lewej stronie Tilla siedział Bez Ręki, który stale macał kikut dłonią, jakby chciał się upewnić, czy mu czasem nie odrosło lewe przedramię.

– Mamy dzisiaj nową twarz w naszym gronie, więc chciałbym zaproponować, żebyśmy się wszyscy po kolei przedstawili.

Wozniak skinął w stronę siedzącego najbliżej i Bez Ręki musiał zacząć. Cicho powiedział:

– Nazywam się Tarek Bode, prowadziłem dawniej stację benzynową, może ktoś ją jeszcze pamięta. Była na rogu ulic Mommsena i Bleibtreu, ale teraz tam stoi dom mieszkalny. Aha,

i choruję na B.I.I.D. i xenomelię.

Woźniak uśmiechnął się do swojego pacjenta zachęcająco i dodał:

– Żebyśmy się lepiej zrozumieli: B.I.I.D. oznacza Body Integrity Identity Disorder. Czy mógłby pan wyjaśnić grupie swoimi słowami, co to jest, panie Bode?

– Tak, no więc... – Bez Ręki odchrząknął. – Mam takie wrażenie, jakby pewne części ciała nie należały do mnie. Traktuję je jak obce i odczuwam silne pragnienie, żeby je usunąć.

– To dlaczego nie zaczniesz od głowy? – spytał spóźnialski, którego przybycia nie zauważył nikt w grupie. Nawet doktor Woźniak wzdrygnął się, kiedy ten człowiek nagle wyłonił się zza choinki.

Till poczuł silny niepokój, gdy zobaczył, kto właśnie sięgnął po wolne krzesło i siada za nim.

– Panie Wolf, czy mógłby pan choć raz przyjść punktualnie? – spytał poirytowany Woźniak. – Ma pan na oddziale otwartym różne przywileje, jak choćby ten, że w ciągu dnia może się pan swobodnie poruszać po dostępnych pomieszczeniach. Ale bardzo szybko mogą być panu cofnięte.

– Rozumiem – wyszczerzył się Armin swoim uśmiechem trupiej czaszki i mrugnął do Tilla, który się na chwilę odwrócił do niego.

– No dobrze, to kto następny się przedstawi?

Woźniak powiódł wzrokiem po zebranych i zatrzymał się na Tillu.

– Może pan?

Till kiwnął głową, choć wolałby się rozpuścić w powietrzu.

Przynajmniej pod jednym względem było tu lepiej niż u Anonimowych Alkoholików, bo nie musiał wstawać.

– Nazywam się Patrick Winter – zaczął z wahaniem, dotykając zawiązaną ręką spuchniętego oka. – Jestem aktuariuszem...

– Czym? – spytał siedzący za nim Armin, choć musiał na pewno dobrze usłyszeć. Tu w holu akustyka była fantastyczna.

– Aktuariusz to matematyk od ubezpieczeń – objaśnił Till. – Obliczałem premie i ryzyko...

– Mr. Superbrain!

Bez Zębów, która mu przerwała, ułożyła usta do wyrażającego uznanie gwizdnięcia.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – wyjąkał Till, zastanawiając się, dlaczego w tym gronie matematyk wyraźnie wzbudza większą sensację niż ktoś, kto sam chce się pokroić w plasterki.

Woźniak to wyjaśnił:

– Nie dalej jak przedwczoraj oglądaliśmy razem *Buntownika z wyboru*. Najwidoczniej wszyscy w grupie są jeszcze pod wrażeniem historii o sprzątaczu, który okazuje się matematycznym geniuszem.

No świetnie.

Till znał ten klasyczny obraz z Mattem Damonem i Robinem Williamsem.

– No nie, moje zdolności nie są aż tak spektakularne – próbował bagatelizować sprawę, ale Armin nie odpuszczał.

– E tam, ty tu jesteś jedyny po studiach. Już samo to wystarczy dla takich cymbałów jak my, żebyś był dla nas geniuszem. Może zrobimy test?

– Co? – Till znowu odwrócił się w jego stronę, ale we wzroku Armina nie mógł dostrzec niczego diabolicznego. Ten typiek był piekielnie dobrym aktorem i nawet Woźniaka umiał owinąć sobie wokół palca.

– Proszę, panie doktorze. Sam pan przecież powiedział, jak ważna jest interakcja w grupie. Czy mógłbym zadać naszemu matematykowi małą zagadkę? Przy jego IQ to będzie dla niego betka.

– Słuchajcie, słuchajcie, zagadka – odezwał się Bez Spodni, i także cała reszta grupy wydawała się zachwycona. Wywijali kikutami albo uśmiechali się bezzębnie.

Till zastanawiał się, czy lepiej będzie udać omdlenie, czy uciec z wrzaskiem. To ostatnie pewnie niezbyt by dziwiło w tym otoczeniu.

– No dobrze, muszę przyznać, że sam jestem ciekaw – zauważył Woźniak i Arminowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Obłudnie zaczął:

– Dobrze, Patrick, mogę tak się zwracać, prawda? No więc tak: Jedziesz sto kilometrów nowym samochodem dokładnie z prędkością stu kilometrów na godzinę. Ale z powrotem ci się nie spieszy, jedziesz tylko z połową tej prędkości, czyli pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ile wynosi na koniec twoja prędkość przeciętna?

– Sto kilometrów na godzinę w tamtą stronę, pięćdziesiąt z powrotem? – powtórzył Bez Ręki.

– To przecież łatwizna – skrzywiła się Bez Zębów. – Sto plus pięćdziesiąt przez dwa to jest siedemdziesiąt pięć.

– Biiip... – Armin wydał z siebie odgłos imitujący sygnał kwitujący błędną odpowiedź w teleturnieju i tym samym dał znać Tillowi, że jego pierwsza myśl była błędna.

Potem Till aż uśmiechnął się z ulgą. W napięciu omal nie zapomniał, że czytał to pytanie już kiedyś w Internecie.

– Prędkość przeciętna wynosi mniej więcej sześćdziesiąt sześć i sześć dziesiątych kilometra na godzinę – odpowiedział i wszyscy spojrzeli na niego tak, jakby naprawdę posłuchał swojego pierwszego impulsu i zerwał się z wrzaskiem. – Skoro odległość się nie zmieniła, to na powrót potrzeba dwa razy tyle czasu. A to wpływa na prędkość przeciętną – wyjaśnił.

Armin za nim zaczął klaskać tak długo, aż Woźniak przywołał go do porządku i kolejny pacjent w kręgu zaczął się przedstawiać.

Kiedy Bez Zębów oświadczyła, że nazywa się Dorothee i że w dawniejszym życiu pracowała w aptece, Till już wcale nie słuchał.

Cieszył się tylko, że na razie udało mu się wyciągnąć głowę z pętli, i był wdzięczny losowi, że dano mu do rozwiązania jedyną zagadkę matematyczną, jaką znał. Czekał na uspokojenie tętna, nie zauważył w porę, że Woźniak znowu zwrócił się do niego.

– Nieprawdaż, panie Winter?

– Eee, co proszę?

– Powiedziałem właśnie, że to świetnie, że pani Springer umie grać na fortepianie równie dobrze jak pan.

Co? Ja?

– Tak, tak, to świetnie – przytaknął mu Till.

– Jest pan leworęczny, prawda?

– Tak – potwierdził Till, nie domyślając się, do czego zmierza lekarz.

– Znakomicie, to może pan przecież korzystać ze zdrowej ręki i jutro rano na terapii muzycznej oboje zagracie razem. – Woźniak uśmiechnął się zachęcająco.

– Eee... No, nie wiem, boję się, że będzie mi trudno.

– Niech pan nie będzie taki skromny, panie Winter. W pana aktach jest napisane, że już we wczesnej młodości dostał pan nawet nagrodę Młodych Symfoników za wykonanie *Sonaty h-moll* Franciszka Liszta. To i z *Apassionatą* nie będzie pan miał problemu, zwłaszcza kiedy obok będzie pani Springer.

Tillowi zrobiło się niedobrze. Spojrzał w prawo w ogień migoczący na kominku i zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco.

– Oczywiście – pospieszył z zapewnieniem, choć nie wiedział nawet,

które klawisze trzeba uderzać, żeby zagrać *Wlazł kotek*.

Jutro rano?

Z jednej strony nie wiedział, jak tu wytrzymać tak długo, mając Armina dosłownie na karku. Z drugiej jednak było to o wiele za mało czasu, żeby dostać się jakoś do Tramnitza.

Kiedy jeszcze szukał z mozołem słów i sposobu, żeby wykręcić się z terapii muzycznej, na horyzoncie pojawił się Simon. Wyjątkowo miał tym razem pierwszą dobrą wiadomość w tym dniu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze Woźniak – powiedział, podając lekarzowi kartkę. Kiedy pielęgniarz się oddalił, Woźniak zaczął przekazywać wiadomość grupie.

– Wszyscy bibliofile wśród nas będą uradowani, że pani profesor Sängler postanowiła dziś po południu od siedemnastej otworzyć bibliobus na parkingu dla wszystkich zainteresowanych.

Dopiero od siedemnastej? To fatalnie!

Dlaczego tak późno?

Till zastanawiał się, czy doświadczając ubocznych skutków pierwszej chemioterapii, będzie w ogóle jeszcze w stanie szukać w autobusie alarmowego telefonu.

Chciała pani ze mną mówić?

Kasov wszedł do biura Sänger, wnosząc ze sobą ciężki, duszący zapach płynu po goleniu, i szefowa kliniki od razu pomyślała, że wolałaby sobie oszczędzić i jednego, i drugiego.

– Właściwie chciałam panu tylko coś dać – oznajmiła, podając mu przez biurko list.

– Co to jest?

– Upomnienie.

– Słucham? – Kasov potarł sobie ostry nos i roześmiał się, jakby powiedziała dowcip.

Najchętniej wypisałaby mu od razu jeszcze jedno upomnienie za jego pogardliwe, aroganckie zachowanie.

– To na pewno tylko jakieś nieporozumienie...

Sänger zrobiła niechętny gest ręką.

– Niech pan sobie daruje. Chyba nie będzie pan chciał na serio dyskutować ze mną, że zlekceważył pan moje polecenia, wypuszczając wczoraj przedwcześnie Patricka Wintera z pokoju

interwencji kryzysowych?

Wzruszył ramionami i otworzył list.

– Była na to pora, a pani nie było.

– Tylko z tego powodu, że byłam zajęta gdzie indziej wskutek zalanania kliniki, nie ma pan prawa podejmować samowolnych decyzji. Sam pan wie, jak ważny jest pierwszy kontakt po uspokojeniu.

„I jak małe są pana kwalifikacje w tym zakresie”, miała na końcu języka.

Bo w końcu ona sama, a nie on będzie mieć postępowanie dyscyplinarne na głowie.

– W dodatku ogłosił pan wczoraj, jak się zdaje, dzień otwartych drzwi. Otwarte było przejście do naszych biur, przez co Seda mogła gwizdnąć mój fartuch i bez przeszkód oprowadzić Wintera po zakładzie.

– Przeoczenie – uśmiechnął się złośliwie Kasov, ale Sängler jeszcze nie skończyła.

– I co w pana wstąpiło, żeby na tę noc umieścić Wintera w pokoju razem z Wolfem?

– Wie pani, jak u nas krucho z łózkami – próbował się wykręcać, chociaż nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. A może po prostu nie miał poczucia winy.

– Tak. Ale wiem też o animozjach wśród pacjentów.

Kasov uśmiechnął się krzywo.

– Czy to już wszystko? – spytał wyniośle.

Prawa powieka Sängler zadrgała z gniewu.

Wiedziała, że w tej chwili nic nie może mu zrobić. Oprócz więźniów skazanych przez sądy państwowe w klinice Stein byli też poważnie chorzy pacjenci, którzy nie mieli do czynienia z prawem karnym.

Kasov odpowiadał za ten oddział, finansowany z prywatnych środków. Dzięki swoim stosunkom z właścicielami szpitala i darowiznom od sponsorów, które rok w rok zbierał dla kliniki Stein, był prawie nietykalny. Mimo to nie miała zamiaru się godzić, żeby ten bufon za dużo sobie pozwalał.

– Nie, nie wszystko. Niech się pan temu przyjrzy. – Odwróciła swój laptop na biurku tak, żeby Kasov mógł widzieć monitor.

– No i co? – spytał z udawanym znużeniem.

Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wydawało się, że nagranie ze spotkania Kasova z Winterem w pokoju interwencyjnym nie zawiera niczego szczególnego. Ordynator stał odwrócony tyłem do kamery i prawie całkowicie zakrywał sobą Wintera.

– Co pan tam robi? – spytała Sänger. Zatrzymała nagranie. – Ma pan tak dziwnie zgięte ręce. Jakby coś pan trzymał.

– A co to niby miałyby być?

– Nie mam pojęcia. Właśnie dlatego pytam. Gdybym miała zgadywać, pomyślałabym, że trzyma pan przed sobą aparat fotograficzny i robi zdjęcia pacjentowi.

– Ma pani bujną wyobraźnię, droga koleżanko.

Szukała jego wzroku.

– Możliwe. Ale znam się też na ludziach. Nie znosiłam pana już od chwili, kiedy po raz pierwszy przeszedł pan przez te drzwi. I gdyby nie pana ojciec w radzie nadzorczej, to już dawno pakowałby pan manatki. Dla mnie jest pan po prostu zwykłym rozpuszczonym maminsynkiem. Nigdy niczego sam pan nie dokonał i zawsze był pan zależny od parasola ochronnego roztoczonego nad panem przez rodziców. Ale kiedyś, przysięgam to panu, nawet to już nie wystarczy. Zrobi pan jakiś błąd, którego już nikt nie będzie chciał kryć, i wtedy

dobiorę się panu do dupy.

Nie pytając o pozwolenie, Kasov wziął długopis i sztywną podkładkę do pisania z biurka Sängera.

– Wie pani, na czym polega różnica między nami? – zapytał spokojnie, przypinając upomnienie klipsem do podkładki. – Pani kosztuje klinikę pieniądze. Ze swoimi przestarzałymi metodami, z tymi bzdurnymi terapiami słownymi, zajęciowymi i muzycznymi. A ja? Ja forszę dostarczam.

Z długopisem i podkładką z pismem w ręku obserwował ją niczym malarz przed przystąpieniem do portretowania. Ale w rzeczywistości tylko jednym ruchem przekreślił upomnienie.

– Dzięki badaniom klinicznym lekarstw, które regularnie organizuję, klinika ma zysk. Nigdy się pani nie uda mnie pozbyć. A jeśli będzie pani szczerą wobec samej siebie, nawet pani tego nie chce. Bo razem ze mną wyrzuciłaby pani także szpitalny budżet, a tym samym koniec końców i siebie, pani Sängera.

Z tymi słowami oddał jej podkładkę z pismem i bez pożegnania wyszedł z jej biura.

– Co za gnój – szepnęła, ledwie zamknęły się za nim drzwi.

– To skurwiel! – zawołała zaraz na cały głos, przeczytawszy, co napisał na upomnieniu.

Obok jej podpisu było tam napisane wielkimi literami: PIERDOL SIĘ!!! Z trzema wykrzyknikami.

W każdym innym przedsiębiorstwie wystarczyłoby to do dyscyplinarnego zwolnienia. Ale Kasov miał rację. Choćby wypisywała na niego nie wiadomo ile upomnień i zażaleń, to w końcu i tak on był górą. To właśnie zademonstrował jej swoją wulgarną zniewagą.

Jedynym powodem, że rozwścieczona Sanger nie walnęła pięcią w biurko czy nawet nie zwałała z regału na podłogę wazonów, było to, że Kasov razem z pismem przekazał jej jeszcze coś innego.

Odpowiedź.

Zdemaskowała go jego arogancja.

Sanger jeszcze raz cofnęła nagranie, po raz setny przyjrzała się ruchom rąk Kasova i nabrała pewności: gdyby teraz Kasov bazgrał tyłem do niej na upomnieniu przypiętym do podkładki, wyglądałoby to tak samo.

Komunikowałeś się z Winterem. Dałeś mu coś do przeczytania, bo nie mogłeś powiedzieć tego głośno.

Teraz już wiedziała. Domyślała się nawet, że Kasov groził Winterowi. Inaczej to jego ukrywanie się przed kamerą nie miałoby sensu.

Sanger nie wiedziała tylko czym.

Ale była pewna, że wkrótce się dowie.

Jeszcze raz sobie to przemyślałem – odezwał się nagle Bez Ręki obok niego. Till prawie już zasnął w pokoju wlewów, tak wygodna była skórzana leżanka, na której się znalazł.

Gdyby tylko w jego żyłach nie tkwiła igła, przez którą kroplówka zatruwała właśnie jego organizm, to mógłby sobie wyobrazić, że drzemie w pokoju wypoczynkowym po saunie. Światło było przyciemnione, lamelowe zasłony w kremowym kolorze były zaciągnięte, a zapachowa świeca rozsiewała aromat Bożego Narodzenia. Do tego cicha muzyka klasyczna tak spokojnie i łagodnie sączyła się z głośników w suficie jak cytostatyki w kroplówce do jego żyły.

– Jednak nie będę sobie urzynał stopy – obwieścił Bez Ręki, który leżał już pod kroplówką, kiedy Simon dwadzieścia minut temu przyprowadził tu Tilla.

– Słusznie – powiedział Till lakonicznie w nadziei, że Bez Ręki zrozumie, że nie jest zainteresowany rozmową. Chyba że pacjent mający fioła na punkcie samookaleczania się byłby w stanie mu

powiedzieć, jakiego raka rzekomo ma Till. Trudno mu było przecież się dopytywać, nie ryzykując zdemaskowania. I dlatego teraz nie wiedział nawet, jaka to substancja jest wprowadzana do jego organizmu w celu zniszczenia rzekomych komórek rakowych.

- Nie ma sensu amputować sobie stopy.
- No pewnie.
- Muszę od razu usunąć całą nogę.

Till popatrzył na prawo, gdzie Bez Ręki z zamkniętymi oczami roztaczał swoje wizje. Również na jego kroplówce nic nie było napisane, przez co Till nie wiedział, czy on też jest poddawany cyklowi chemioterapii, czy też może Bez Ręki dostaje tylko witaminy. Sądząc z przemowy, mogły to być jednak także narkotyki zmieniające świadomość.

Nagle Bez Ręki zadał mu całkiem bezsensowne pytanie.

- A jak tam z tobą, też sobie przemyślałeś?
- Niby co?
- Dałeś radę wyjaśnić?
- Co proszę?
- No tę aferę. Z nielegalnymi pacjentami?

Till znowu popatrzył na prawo. Bez Ręki wciąż wyglądał tak, jakby gadał przez sen.

- O czym ty mówisz? – spytał go.

Odpowiedź wprawiała go w prawie jeszcze większe osłupienie niż pytanie, które zapoczątkowało ten bezsensowny dialog.

- Już dobrze, dobrze. Przepraszam. Już nic nie mówię.

Till, który tymczasem nabrał pewności, że Bez Ręki jest pod wpływem narkotyków, nie miał już okazji kontynuować tej dziwnej rozmowy, bo drzwi pokoju zabiegowego otworzył Simon i zbliżył się

do leżących.

– Dobrze się pan czuje? – spytał, usuwając pusty worek po kroplówce. Przez chwilę zaboląło, kiedy wyciągał igłę, i Till był pewien, że nazajutrz będzie miał krwiaka w zgięciu łokcia.

– Pan musi niestety jeszcze trochę wytrzymać, panie Bode.

Zwracając się znowu do Tilla, powiedział:

– Następny termin pana infuzji jest za trzy dni, panie Winter. Ale ustalmy najlepiej od razu dalsze terminy, żeby... Przepraszam.

Rzucił Tillowi usprawiedliwiające spojrzenie i wyjął z kieszeni swojego niebieskiego fartucha brzęczącą komórkę.

– Tu Simon. Tak. Co proszę? Chwileczkę, słabo tu panią słyhać, pani Säger.

Simon dał Tillowi znak, że zaraz wraca, pospieszył do drzwi, położył zużyte utensylia na przewidzianym do tego pojemniku na odpady obok wyjścia, po czym wyszedł na korytarz.

Serce Tilla skakało w jego piersiach jak gumowa piłeczka. Było mu niedobrze, ale nie sądził, żeby mdłości były już skutkiem ubocznym chemioterapii, tylko raczej wynikiem zdenerwowania.

„Zrobić to?”, zastanawiał się i już wstał.

Rzut oka na Bez Ręki powiedział mu, że pacjent wciąż jeszcze ma oczy zamknięte. A intuicja podpowiadała mu, że właśnie stoi przed „teraz albo nigdy” i że taka okazja prędko się w klinice nie powtórzy.

Till postanowił więc zrealizować swój nagle powzięty plan.

Pospiesznie podszedł do szafki z szufladami obok drzwi, na której blacie tuż przy zlewie stał żółty plastikowy pojemnik na zużyte strzykawki. Był przepelniony, wskutek czego kłapa, która miała chronić siostry i sprzątaczkę przed zranieniem przy opróżnianiu ostrej zawartości, była na pół otwarta.

Till sięgnął do środka, poczuł ukłucie i wepchnął rękę do kieszeni spodni dresowych, w samą porę, bo już wracał Simon.

Ten wprawdzie zdziwił się, że jego pacjent już czeka na niego przy drzwiach gotów do wyjścia, nie spostrzegł jednak, że w pomieszczeniu brakuje czegoś o decydującym znaczeniu. Simon upewnił się, że na zapchanym plastikowym pojemniku wciąż jeszcze leży igła, którą odłożył tam niedbale przed rozmową telefoniczną, ale nie zauważył, że nie wystaje już ze szczeliny igła od poprzedniego zabiegu.

Ta znajdowała się już bowiem w kieszeni spodni Tilla.

Który w ten oto sposób zdobył broń.

W klinice Stein obowiązywała reguła „pacjent plus jeden”. Stanowiła ona, że pacjent zawsze musi mieć przy sobie opiekuna i że nigdy nie wolno mu spacerować samemu po parku kliniki, mimo że zapewne łatwiej byłoby uciec z północnokoreańskiego obozu pracy niż sforsować zewnętrzne mury zakładu.

Również Tilla do wyjścia na parking na parterze, gdzie na samym podejździe rzeczywiście czekał zielony autobus, odprowadził rosły pielęgniarz. Pojazd przypominał autokary, którymi Till w dzieciństwie jeździł na szkolne wycieczki, był jednopoziomowy i mieścił może pięćdziesięciu pasażerów. Tylko okna były szczelnie oklejone czarną folią.

– Ma pan dziesięć minut – powiedział pielęgniarz, wyciągając z przeciwdeszczowej kurtki narzuconej na fartuch paczkę papierosów. Strefa, w której się znajdowali, robiła wrażenie przeznaczonej jedynie dla dostaw lekarstw i sprzętu, a nie dla ruchu pacjentów. Byli jeszcze osłonięci przed deszczem, który na zewnątrz padał z nieba z taką gwałtownością i łoskotem, jakby ktoś piaskował budynek z zewnątrz. Hałas ten zagłuszał nawet startujące i lądujące w pobliżu samoloty.

Kiedy pielęgniarz odciskiem palca odblokował szklane drzwi wyjściowe, hałas stał się ogłuszający. Till wątpił, czy tamtemu uda się przy takiej burzy zapalić papierosa.

Choć podjazd był pod dachem, idąc do autobusu, musiał brodzić po kałużach. Woda szybciej spływała z chmur, niż mogła wsiąknąć, i szukała sobie innych dróg, skoro najwidoczniej tradycyjne odpływy były zatkane.

– Dziesięć minut! – zawołał pielęgniarz pod wiatr, po czym wprowadził kod przy autobusie i drzwi kierowcy otworzyły się przy wtórze syku układu hydraulicznego.

Ledwie Till wszedł do środka, drzwi zamknęły się za nim, a jego przebiegł dreszcz.

Był sam.

Jakby po raz pierwszy od wieków.

To było przyjemne uczucie, miły dreszcz, znany mu z dzieciństwa, kiedy chował się w domu przed psią pogodą i w przyjemnym ciepłe swojego pokoju cieszył się na myśl o czekającej go lekturze ciekawej powieści.

Autobus był dobrze ogrzany i miłe wspomnienia z pewnością wzmacniał ekscytujący zapach starych książek. Setki dzieł wypełniały regały rozmieszczone z obu stron pod oknami zamiast foteli.

Oprawne leksykony, tanie powieściadła, atlasy, kryminały w miękkiej oprawie. Till przesunął palcem po grzbietach, oceniając tytuły w świetle halogenowych lamp.

Tylko dziesięć minut? Mógłby tu spędzić całe godziny. Najlepiej z ciepłą kawą w ręce, na jednym z siedzeń na samym końcu, jedynych, których stąd nie wyjęto, z głową opartą o szybę, z szumem ulewy w uszach, tak bliskim i jednocześnie tak odległym jak te światy, do

których można było wyruszać dzięki tym wszystkim zgromadzonym tu książkom.

Jedynym szczegółem zakłócającym przytulną atmosferę było łkanie.

Dobiegało z tylnej części autobusu, gdzie zwykle było zejście do pokładowej toalety.

– Kto tam?! – zawołał Till, zbliżając się do miejsca, skąd było słychać jakby jakąś kobietę starającą się przełknąć łyżę.

Znowu przebiegł go dreszcz, który teraz jednak zapowiadał pojawienie się strachu.

Powoli posuwał się naprzód, trzymając rękę w kieszeni, a w niej igłę do iniekcji. Aż znalazł się na tyle blisko, że mógł poznać osobę siedzącą na stopniach tylnego wyjścia.

– Seda?

Pacjentka, która spletała mu powitalnego figła, odwróciła się ku niemu. Jej ciemne oczy były napuchnięte. Wyglądała, jakby przyszła prosto z deszczu. Twarz miała mokrą, perlista kropla skapnęła jej z brody na piersi.

– Co się stało? – spytał.

Pokręciła głową.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku. – Wstała.

– Zamknęli cię tutaj?

– Nie, nie. – Seda prawie się uśmiechnęła. – Mogę tu być sama.

Przynajmniej kiedy pracuję.

Till rozejrzał się.

– A więc to jest twoja praca?

– Byłam kiedyś kimś w rodzaju bibliotekarki, tak – potwierdziła informację, którą miał od Säger.

– A dlaczego tu jesteś?

Tu w klinice.

– Wiesz przecież, że o tym my pacjenci nie lubimy mówić.

– Ani o tym, dlaczego płakałaś?

Ku jego zdumieniu Seda podniosła rękę i pogłaskała go po głowie. Till najpierw chciał ją powstrzymać, ale jej dotyk był tak miły i czuły, że wyzwolił w nim kolejne bolesne i przyjemne zarazem wspomnienie.

Ricarda.

Kiedy ostatni raz tak go dotykała?

– Regał trzeci, drugi rząd? – spytała nagle Seda, zrywając w ten sposób bliską więź, która na krótką chwilę powstała między nimi.

– Co? Tak, racja.

Till przypomniał sobie, że Seda jest na liście płac Skanii i że jest wtajemniczona w jego zamiary i cele. Wskutek tego była osobą, której najmniej wolno mu było ufać. Jeśli ktoś mógł donieść Kasowowi, że Till jest symulantem, to właśnie ona.

Odsunął się od niej, poszukał odpowiedniego regału i znalazł książkę, zgodnie z obietnicą, w drugim rzędzie, zaraz za Bibliami.

James Joyce, *Ulisses*.

Wydawała się o wiele za lekka. A wewnątrz nic nie grzechotało, kiedy potrząsnął grubą cegłą.

Till otworzył książkę i kartkował do strony osiemdziesiątej czwartej.

Aż znalazł komórkę.

Upewnił się, że Seda już nie patrzy w jego stronę.

Potem odblokował klawiaturę i nacisnął klawisz szybkiego połączenia.

Chwała Bogu.

– Till?

– A jak ci się zdaje, kto jeszcze może mieć ten telefon?

Siedział na tylnych fotelach, najdalej jak można od Sedy, która usiadła z przodu na miejscu kierowcy i kartkowała ilustrowany magazyn, słuchając muzyki przez słuchawki. Choć nie sądził, żeby mogła go tu z tyłu podsłuchać, mówił szeptem.

– Co się dzieje? Jak się czujesz? – spytał Skania.

– Parszywie. Cholera, czyją tożsamość tyś mi sprezentował? Kim ja jestem?

– Twój głos coś marnie brzmi, Till.

– Bo i marnie ze mną jest. Prawdę mówiąc, mam się prawie jeszcze gorzej niż przedtem, a to właściwie niemożliwe, odkąd Maks został uprowadzony.

– Uspokój się. Uspokój. Opowiedz mi dokładnie, co się dzieje.

Od ciężkiego oddechu Tilla zaparowała zaklejona szyba. Narysował na niej palcem znak zapytania i westchnął.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku.

Gwałtowny podmuch wiatru zatrzęsł autobusem i Till przypomniał sobie pierwsze minuty po przywiezieniu.

– Myślałem, że muszę odstawić przedstawienie, żeby uwierzyli w moje świrowanie. Więc im powiedziałem, że połknąłem bombę.

– Jasne – rzucił Skania i nie wydawał się ani trochę przerażony czy choćby tylko zdziwiony.

– Ale sęk w tym, że tylko część tutejszej załogi udało mi się przekonać, że jestem niebezpieczny dla otoczenia. Dali mi środek uspokajający, ale kiedy się obudziłem w izolatce, to przyszedł do mnie jakiś lekarz nazwiskiem Kasov i powiedział mi w oczy, że mnie uważa za symulanta.

– Ciekawe.

– Ja bym raczej powiedział, że cholernie groźne – pomstował Till. – Bo z jakiegoś powodu ten Kasov chce mnie uciszyć na zawsze. Wsadzili mnie razem z agresywnym psychopatą nazwiskiem Armin Wolf.

– Nie do celi jednoosobowej? To nie jest zwyczajne.

– No właśnie. Oficjalnie mówią, że mają przepełnienie i brakuje im łóżek. Ale przysięgam ci, że to robota tego Kasova, że Armin złamał mi dwa palce.

– Co zrobił? – Teraz w głosie Skanii zabrzmiało jednak pewne zdenerwowanie.

– Chciał mi połamać jeszcze dużo innych części ciała. Seda twierdzi, że ten typ chce mnie wręcz zabić.

– Dobrze, a więc poznałeś Sedę.

Till pokręcił gwałtownie głową. Poczul przy tym, jak krwiak pod okiem zaczął pulsować.

– Z niczym nie jest dobrze. Ona też zdrowo świruje, to pacjentka, ty

dupku. A bibliobusem wcale już nie jeździ, bo dziedziniec jest zalany.

Popatrzył na Sedę, która nawet nie podniosła wzroku, kiedy padło jej imię.

– To jak się dostałeś do komórki? – spytał Skania.

– To długa historia. Lepiej mi powiedz, w czyjej skórze ja tu tkwię. Bo coś mi się zdaje, że załatwiłeś mi chyba najgorszą tożsamość, jaką tylko można mieć.

Skania odpowiedział poirytowany:

– Przykro mi. Niestety nie ma za dużego wyboru, kiedy się chce tak na chybcika przemycić pacjenta do kliniki Stein.

– Wiem. Ale czy to musiał być akurat grający na fortepianie genialny matematyk pedofil z rakiem mózgu?

– Możesz to powtórzyć?

– Już ty mnie dobrze zrozumiałeś.

Przerwa. Till słyszał trzaski w telefonie, jakby wiatr przeniósł się teraz także i w eter, po czym Skania powiedział z oburzeniem:

– To... to jakieś bzdury. Patrick Winter nie jest żadnym pedofilem. I nic nie wiem, żeby chorował na raka.

– To jesteś źle poinformowany. – Till zaczął mówić głośniej. – Właśnie musiałem się poddać pierwszej chemioterapii. Stary, ja się tu sam zatruwam.

W tej sekundzie Seda spojrzała ku niemu do tyłu, kiwnęła głową i popukała w wyimaginowany zegarek na przegubie ręki.

Racja. Pewnie zaraz dziesięć minut dobiegnie końca. Skania też chciał zakończyć rozmowę. I nie tylko ją.

– Dobrze. Przerywamy to wszystko. Zabieram cię stamtąd.

– Zaraz, poczekaj!

– Nie! Nie ma na co czekać. Z tym już koniec. Natychmiast. Cholera.

Nie zostawię cię przecież na oddziale ratunkowym ze złamaną ręką i trucizną na raka we krwi, bezsilnego, drzwi w drzwi z Tramnitzem.

Till, który właśnie chciał wstać, znowu usiadł.

– Coś ty powiedział?

Skania wyświadczył Tillowi uprzejmość i jeszcze raz powtórzył swoje zdanie. Słyszając o oddziale ratunkowym, Till zaczął się dopytywać.

– Skąd o tym wiesz?

– Sam mi przecież opowiadasz o złamanych palcach i chemioterapii, więc gdzie miałbyś być?

Till odwrócił się w bok jak uczeń, który nie chce, żeby sąsiad ściągał od niego. Potem lewą rękę przyłożył do ucha, żeby lepiej słyszeć, a w zranionej trzymał komórkę, mówiąc teraz do niej szeptem:

– Ja cię pytam, skąd ty wiesz, że Tramnitz jest na oddziale ratunkowym. Przecież on dawno powinien wrócić do celi.

– Dziś mówili przez radio – oznajmił Skania. – Podobno przez zakażenie krwi po operacji. Martwią się o wymogi bezpieczeństwa, dopóki on nie wróci do siebie. Na oddziale ratunkowym można się poruszać dość swobodnie.

Till odezwał się prawie błagalnym tonem:

– Daj mi jeszcze trochę czasu, Oliver.

– Żeby cię tam wykończyli? Nie pozwolę, żebyś poniósł jeszcze większe szkody. W końcu jeszcze mi tam naprawdę wyciągniesz kopyta.

– Nie będzie tak źle. Przysięgam ci – mówił szybciej. – Dzisiaj w nocy będę sam w nowej celi, tam nic mi się nie stanie. A za dnia mogę sam uważać na siebie. Daj mi jeszcze dwa dni. Jak przez ten czas nic nie wskóram, to zakończymy sprawę.

Znowu przerwę w rozmowie wypełnił szum, ale tym razem wiatr dotarł z zewnątrz przez otwarte właśnie drzwi koło kierowcy.

– Dwadzieścia cztery godziny, Till. Masz jeden dzień – powiedział jego szwagier w końcu.

– Dziękuję ci. Nie potrzebuję więcej, żeby dowiedzieć się prawdy.

– Hm. – Skania chrząknął. – Ale teraz się nie rozłączaj. Twoja żona chce jeszcze zamienić z tobą parę słów.

Dopiero w tej sekundzie, o wiele za późno, Till zorientował się, że w autobusie pojawił się nowy gość, który mu się przysłuchiwał – kto wie, od jak dawna – a teraz zbliżał się z ponurym spojrzeniem.

*U*lisses – powiedział Kasov drwiąco i przybrał ton, który zapewne miał być parodią sposobu mówienia homoseksualisty: – Nasz drogi pan Winter jest więc moim książkowym i do tego czyta tak wyszukaną literaturę. James Joyce. Kto by to pomyślał? Mogę zobaczyć?

Chwycił książkę i prawie wyrwał Tillowi z ręki to oprawne w skórę wydanie specjalne.

Kiedy Kasov z głową w ramionach przeciskał się do tylnego siedzenia, Till schował komórkę do kieszeni spodni, ale nie był pewien, czy nieufny lekarz już tego nie zauważył.

W każdym razie nie miał już czasu odstawić wydrążonej wewnątrz książki z powrotem na półkę.

– Podoba się panu zawartość? – spytał Kasov i zarówno jego ironiczny wzrok, jak i dwuznaczność pytania utwierdziły Tilla w przekonaniu, że ordynator bawi się z nim jak kot z myszą.

Ile ten drań może o mnie wiedzieć?

Popatrzył do przodu w kierunku Sedy, która tak jak Kasov stała w środkowym przejściu autobusu i bez słowa kręciła głową, jakby chciała dać Tillowi do zrozumienia: „Ja też nie mam pojęcia, co on

knuje”.

– Jeszcze nie czytałem tej książki – odpowiedział Till na pytanie Kasova.

Gdzieś we wnętrzościach autobusu odezwał się głuchy pomruk. Pewnie włączyło się ogrzewanie postojowe.

– Przypuszczam, że chce pan to zabrać ze sobą do celi? – spytał Kasov i potrząsnął tomiśszem oburącz jak dziecko próbujące zgadnąć, jaki prezent gwiazdkowy jest w opakowaniu.

– Jeszcze się zastanawiam – odpowiedział Till, modląc się, żeby Ricarda przez ten czas się nie wyłączyła.

I żeby Kasowowi nie przyszło do głowy otworzyć książki.

– Czego pan chce ode mnie? – spytał w nadziei odwrócenia uwagi lekarza.

– Dowiedzieć się, jak tam z pana ręką – odparł Kasov z drwiącym uśmiechem i nawet nie starał się pozorować, że mówi prawdę.

Wskazał jasnoniebieski opatrunek palców, a potem napuchnięte oko Tilla.

– Słyszałem, że był pan trochę niezręczny tej nocy.

– Tak. Ktoś popełnił błąd – odezwał się Till świadomie prowokacyjnie.

Obaj dobrze wiemy, że umyślnie zamknąłeś mnie z Arminem.

Pytanie tylko dlaczego?

Till starał się nie patrzeć na książkę, której okładką lekarz wciąż się bawił, na szczęście nie patrząc na nią, bo wtedy mógłby odkryć wydrażone strony. Tajemną skrytkę.

A wtedy zrobiłby mi rewizję.

– Ktoś? – spytał Kasov, a jego mina stężała. – Obawiam się, że pewien ktoś może się jeszcze o wiele bardziej skaleczyć, jeśli nie

będzie trzymał języka za zębami. – Znowu się uśmiechał. – Zrozumieliśmy się?

Nie. Ale obawiam się, że prawdziwy Patrick Winter wiedziałby, w czym rzecz i dlaczego ma w tobie wroga w tym zakładzie. Dlatego wolę trzymać dziób na kłódkę.

Till kiwnął więc głową i spróbował przyjąć wiernopoddańczy wyraz twarzy, co udało mu się tylko do chwili, w której najpierw zabrakło mu tchu, a potem oniemiał.

Bo Kasov otworzył książkę.

Rzucając sadyistyczne spojrzenia z ukosa, otwierał z okrutną powolnością okładkę, jakby była ciężka jak z ołowiu.

Serce Tilla tłukło się w klatce piersiowej, jakby chciało ją rozsadzić.

I gdyby lekarza zdziwił z początku niewielki ciężar tego monumentalnego dzieła, to teraz poznał przyczynę.

Gładził palcami kolejne strony, żeby je zaraz przewracać.

Jedną po drugiej, coraz dalej.

Aż dotarł do pustej skrytki po komórce.

Kasowowi nie drgnęła nawet powieka.

Nie wpadł w szal ani nie zaczął wrzeszczeć.

Nie chwycił też Tilla za ramię, żeby go wyprowadzić na zewnątrz, więc ten przez chwilę spodziewał się, że go zrewiduje zaraz tu w autobusie. Wtedy znalazłby nie tylko komórkę, ale i igłę do iniekcji.

Lekarz zachował jednak spokój. Na pozór był opanowany. Sama jego obecność mroziła wszystko wokół, choć w gruncie rzeczy po prostu tylko stał. Z otwartą powieścią Jamesa Joyce'a w ręku, odkrywszy tajemną skrytkę.

Wydawało się, jakby Kasov wydychał nie dwutlenek węgla, tylko środek chłodniczy, który obniża temperaturę w autobusie.

Boże wielki, Nie!, krzyczał w myśli Till.

Jego jedyny kontakt ze światem zewnętrznym byłby zerwany, gdyby musiał oddać telefon.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie użyć igły jako broni przeciwko Kasowowi, ale co by mu to dało, oprócz trafienia do izolatki? *W najlepszym razie.*

Bardziej prawdopodobne było, że wyleciałby z hukiem z kliniki, a Säger pewnie wezwałaby policję. Till nie wiedział, jakie

wykroczenia już teraz miał na koncie, nawet bez próby obezwładnienia Kasova.

Musiało być ich wiele. Zastanawiał się też, czy Sedę, która wciąż jeszcze jak skamieniała stała w przejściu, czekają konsekwencje, bo przecież nie mogła nie zauważyć, że Till telefonuje w jej obecności.

Kiedy Kasov podniósł wzrok i Till po raz pierwszy zwrócił uwagę, że jego brwi od strony skroni sterczą w górę jak wąsy, zrobiło mu się niedobrze.

Czy tak to się miało skończyć?

Do diabła, nie za wiele zdziałał, ale bądź co bądź udało mu się dostać do kliniki. Przeżył tu noc, choć nie bez uszczerbku. Kilka wielkich przeszkód udało się pokonać i na pewno dotarłby też do samego Tramnitza.

Gdybym tylko miał trochę więcej czasu.

I teraz przez taką szuję nigdy nie będzie mógł się pożegnać ze swoim synem?

Wszystko na próżno?

– Mogę to wyjaśnić – zaczął Till, nie wiedząc, co chce powiedzieć. Nie miał żadnego planu B na ewentualność wpadki.

W gruncie rzeczy w ogóle nie miał planu z wyjątkiem tego, by dotrzeć do pamiętnika Tramnitza; co i tak na dobrą sprawę było przedsięwzięciem rozpaczliwym, jeśli nie beznadziejnym.

– Nie interesuje mnie to – rzekł Kasov, a Till poczuł się jeszcze gorzej.

Pewnie zaraz się dowie, jakie porachunki ma ten lekarz z Patrickiem Winterem.

Albo ze mną, jeśli skądś wie, kim jestem naprawdę.

„Mnie też zdziwiło, że ta książka jest tak zniszczona”, chciał właśnie

zacząć Till, ale zanim zdołał choćby otworzyć usta, słowa Kasova pozbawiły go tchu. Bo to, co powiedział lekarz – i co później zrobił – było zupełnie niezrozumiałe i kompletnie zbiło go z tropu.

– Ma pan jeszcze pięć minut.

Kasov uśmiechnął się krzywo i zatrzasnął książkę.

Potem życzył jeszcze Tillowi „dobrej zabawy”, wręczył mu grubą księgę, odwrócił się i wysiadł przednimi drzwiami, nie odwracając się już ani nie żegnając z Sedą.

Ricarda?

Nie było odpowiedzi, ale poznał ją po oddechu. Przynajmniej tak sobie wmawiał, że zna ją tak dobrze. Po tych wszystkich latach.

Wciąż jeszcze.

A więc była tam. Cóż za szczęście, że się nie rozłączyła. Może nawet słuchała cały czas. Dowiedziała się, w jakich tarapatach właśnie się znalazł. Tarapatach, z których właśnie się wywinął, nie wiedząc nawet, dlaczego lekarz wypuścił go ze swoich szponów.

Zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Kasov go nie obszukał, żeby znaleźć przemycone przedmioty. Jego zachowanie napawało go strachem, właśnie dlatego, że było tak niezrozumiałe, wręcz absurdalne. Ale jeszcze bardziej obawiał się tego, co Ricarda ma mu do powiedzenia.

– Przepraszam, kochanie – szepnął, mając na myśli wszystko: że jej nie wtajemniczył. że podjął się tak szalonego przedsięwzięcia. że pozwolił Maksowi iść do sąsiadki.

– A więc twój brat powiedział ci, gdzie jestem?

– Tak.

Jedno jedyne słowo, wykrztuszone przez ły. Za krótkie. Trzy litery

to o wiele za mało. Till nie mógł po nich poznać, co nastąpi potem. Zrozumienie czy odrzucenie? Aprobata czy wyrzuty? Miłość czy... nienawiść?

– Nie powinien. Nie chciałem, żebyś się martwiła.

– To mój brat – powiedziała Ricarda. To już było coś, bądź co bądź całe zdanie, a mimo to Till wciąż jeszcze nie mógł się zorientować w stanie uczuć swojej żony. Aż go wreszcie wybawiła z niepewności, mówiąc:

– Jestem z ciebie taka dumna.

Popatrzył w górę na szarą podsufitkę autobusu i wytarł łzy z oczu. I zaczął jeszcze gwałtowniej płakać.

Strach i ulga utorowały sobie drogę i potrzebował chwili, zanim mógł znowu rozmawiać z Ricardą.

– Przepraszam – powiedział raz jeszcze.

– Nie. To ja przepraszam. Wiem, wrzeszczałam na ciebie. Nazywałam cię niedojdą, bo się tak zaniedbujesz i nic nie robisz, a przecież ja też nie wiedziałam, co można zrobić.

– Ja to rozumiem.

Oparł głowę o szybę, wdzięczny za każde słowo żony.

Nawet gdyby na niego krzyczała i obrażała, byłoby dobrze. Bo to wciąż jeszcze byłoby lepsze od zabrania dziecka i zostawienia go samego. To, że mówi do niego tak czule i próbuje wyjaśnić własne zachowanie, to było więcej, niż mógł marzyć.

– Byłam wściekła – ciągnęła Ricarda. – Pełna nienawiści. Do tego diabła, który zabrał nam wszystko. On był nieuchwytny, ale mój gniew potrzebował ujścia. Nie mogłam tak jak ty siedzieć w domu, czytać wszystkich gazet, przekopywać się przez wszystkie wpisy o Maksie w Internecie i przy tym obumierać wewnątrz. Musiałam

coś robić. Aktywnie działać. Coś przedsięwziąć, dokądś pójść. Ale co? I dokąd?

Till pozostawił jej pytanie bez odpowiedzi. Zbyt długo nie miał okazji słyszeć ciepła i miłości w głosie Ricardy. Nie chciał niszczyć wypowiedzianą uwagą nawet echa jej słów.

– A więc wyładowałam się na tobie. Zabrałam Emilię i wyniosłam się. Wyładowałam się na tobie, przepraszam.

– Ja to naprawię – szepnął.

– Nie – sprzeciwiła się Ricarda, energicznie, ale bez wyrzutu. – Nie naprawisz. Nie możesz tego naprawić. Porządek nigdy nie wróci, bo nic nie zwróci nam Maksa.

– Wiem.

– Ale możesz przywrócić równowagę.

Till kiwnął głową. Wiedział, co ona ma na myśli.

Zło ich opadło, zmaterializowało się w postaci Tramnitza w ogródku przed domem i pozbawiło wielkiej części sensu życia. W osobie Emilii istniał jeszcze najlepszy ze wszystkich powodów, żeby nie wsadzać sobie pistoletu w usta, ale równowaga została zniszczona.

Na szali śmierci leżał żywiony żałobą bolesny ciężar krwi i ołowiu. Na szali życia tylko złamane piórko szczęścia.

– Zabiję go – obiecał Till i kiedy Ricarda mu potem powiedziała, jak bardzo go kocha i za nim tęskni, wiedział, że nie ma na myśli tej niezmaconej, czystej miłości, jaka zawiodła ich przed ołtarz, i że nigdy więcej nie będzie już tak jak dawniej.

Ale wiedział też doskonale, że coś się między nimi zmieniło na lepsze.

– Niech on cierpi – rzuciła Ricarda i po raz pierwszy od dawna mógł sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby znowu padli sobie w objęcia.

Tylko się obejmować, nic więcej.

Kiedyś, w odległej przyszłości.

Gdy tylko mu się uda dostać do Tramnitza.

Ręką pomacał igłę do iniekcji w kieszeni dresów.

Kasov, jego zagadkowy wróg, dał mu szansę, wszystko jedno z jakiego powodu.

Będzie umiał z niej skorzystać.

I jakkolwiek bolesna miałyby być dla niego ta droga, od tej rozmowy telefonicznej Till już nie miał wątpliwości, że przetrzyma wszelkie udręki z nią związane.

Ledwo Till wszedł do kafeterii, a rozmowy i brzęk sztućców ucichły. Jakby wszyscy obecni, pijący kawę, mieli wewnętrzne anteny odbierające groźne wibracje wysyłane przez niego.

W sali było ledwie sześciu pacjentów, nie było zaś pielęgniarzy, sióstr ani lekarzy. Na krótko przed osiemnastą nie było jeszcze kolacji, a smak filtrowanej kawy z termosu nie był aż tak wspaniały, żeby pacjenci musieli się o nią bić.

Till nie musiał więc długo szukać Armina Wolfa. W lekko zgarbionej postawie, jaką często przyjmują wysokie osoby, siedział przed brzuchatą filiżanką i czytał jedną z tych gazet, w których są prawie same nagłówki i zdjęcia.

Armin był tu chyba jedyną osobą, która nie zwracała uwagi na Tilla. Do ostatniej chwili zdawał się nie dostrzegać nowo przybyłego.

– Hej – odezwał się Till, patrząc na niego z góry. Armin podniósł głowę i ze skrzywioną miną osłonił oczy ręką, jakby oślepiało go słońce.

– Gdzie komórka? – spytał.

– Nie ma komórki – odrzekł Till. Rzeczywiście zostawił ją w autobusie. Była tam pewnie lepiej schowana niż w celi pozbawionej

kryjówek.

– To już nie żyjesz – powiedział Armin.

– Albo ty – odparł Till i ukłuł go.

Armin zerwał się z krzykiem, choć ukłucie w przedramię musiało go bardziej zaskoczyć niż zabość.

– Co u diabła...? – Armin zamachnął się pięścią, ale potem zapewne przypomniał sobie o kamerach na suficie i tylko chwycił Tilla za bluzę. – Co to było?

– Igła.

Chwycił rękę Tilla, rozgiął mu palce i wyjął igłę do iniekcji.

Jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie się stało, rzucił:

– Podpisałeś na siebie wyrok śmierci, Winter.

Armin tak się odwrócił, żeby mógł być widoczny tylko z tyłu w kamerze. Widocznie pobierał nauki u Kasova, w każdym razie trzymał igłę tuż przed oczami Tilla, który był o głowę niższy.

– Ja ci to przy najbliższej okazji wbiję przez oko do mózgu, ty kutafonie.

Armin odepchnął go od siebie i chciał z powrotem usiąść, kiedy Till powiedział cicho:

– Ja mam AIDS.

– Co? – Armin pobladł.

– A teraz ty też masz.

Till poczekał jeszcze, żeby Armin znowu się zerwał na równe nogi i chwycił krzesło, dopiero wtedy odwrócił się i wychodząc, zaczął liczyć od dziesięciu wstecz.

Przy „osiem” był o dwa kroki bliżej drzwi.

Przy „siedem” poczuł na karku ruch powietrza.

Kiedy wypadło mniej więcej sześć i pół, krzesło rozbiło mu

czaszkę.

Złamanie podstawy czaszki ze szczeliną złamania do kości skroniowej – skomentowała profesor Sänger wynik badania rezonansem magnetycznym na swoim monitorze.

– To było prawdziwe pole bitwy – potwierdził wciąż jeszcze wyraźnie przejęty Simon, którego o późnej porze poprosiła do swojego biura.

– Pośliznąłem się na krwi Wintera. Czy to, co wyciekało mu z nosa, to był płyn mózgowo-rdzeniowy?

Sänger pokręciła przecząco głową.

– Wygląda na to, że nie ma krwotoków wtórnych. Opona twarda nie pękła. Frieder musiał tylko naprawić uszkodzenia kości klejem chirurgicznym.

Spojrzenie Simona posmutniało. Westchnął i mimo ciemnej skóry wydał się naraz dużo bledszy.

– Czy będzie lepiej dla pani, jeśli sam złożę wymówienie?

Sänger, która właśnie chwyciła się za kark, żeby rozluźnić napięte mięśnie, spojrzała na niego, jakby zapytał o pogodę na Marsie.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

Westchnął.

– To moja wina, że Winter zdobył igłę do iniekcji. Gdyby nie moje niedbalstwo, to nie doszłoby do tego.

Sänger przyglądała się Simonowi, który nerwowo drapał palcem wskazującym skórę paznokcia na kciuku.

Nie po raz pierwszy była zaskoczona jego poczuciem odpowiedzialności i zrozumieniem dla innych. Kiedy zatrudniała tego uchodźcę z Senegalu, prawie nie znał niemieckiego, co mu jednak nie przeszkodziło szybciej niż wielu niemieckim kolegom zbudować kontakt emocjonalny z pacjentami. Zawdzięczał to temu, że po prostu zwracał uwagę na najdrobniejsze gesty i zmiany mimiki, a dzięki empatii rejestrował nawet najslabsze wibracje. Tym razem jednak się mylił, jeśli przypisywał troskę w jej wzroku i ochryply głos konieczności obwieszczenia mu, że zostaje wyrzucony z pracy.

– Wszyscy popełniamy błędy i niestety będę musiała napisać raport. Ale nie mam najmniejszego zamiaru pana zwalniać. Wręcz przeciwnie. Zawsze umiał mi pan dobrze doradzić, a dzisiaj potrzebuję pana opinii bardziej niż kiedykolwiek.

Simon przybrał z początku wyczekujący wyraz twarzy, ale kiedy zorientował się, że mówi poważnie, uśmiechnął się od ucha do ucha tak szeroko, że Sänger obawiała się, że kąciki ust zejdą mu się z tyłu głowy.

To również należało do typowych zachowań jej najlepszego pielęgniarza. Kiedy popełnił błąd, nie pogrążał się na całe dni w zwątpieniu, tylko umiał szybko odzyskać humor, słysząc dobre wiadomości.

– Jak mogę pani pomóc?

Sänger zamknęła laptop.

– Widzi pan tę górę papierów?

Wskazała dwa stosy akt obok jej biurka. Jeden miał pół metra wysokości, a drugi był niewiele mniejszy.

– To wszystko dokumenty zebrane na temat Wintera.

– Aż tyle? – Simon gwizdnął z uznaniem.

– Przez ostatnie dni i noce jeszcze raz przeczytałam wszystko o Patricku Winterze, czym dysponujemy. Opinie lekarskie, protokoły z procesu, zeznania świadków. – Westchnęła i popatrzyła Simonowi głęboko w oczy. – A mimo to nie mogę go rozgryźć.

– Ja mam tak z większością tutejszych pacjentów.

Sänger odwzajemniła uśmiech Simona.

– Tak, wiem. Źle się wyraziłam. Ale co on knuje?

– Mnie pani pyta?

Wstała i podeszła do okna wychodzącego na dziedziniec. Od wielu już dni nie musiała zaciągać żaluzji. Słabe listopadowe słońce, które normalnie pokazywało się w Berlinie, ostatnio już wczesnym przedpołudniem trzeba było zastępować sztucznym oświetleniem.

Teraz, na krótko przed północą, nie paliły się już nawet latarnie w parku i miała przed oczami ciemną dziurę, mokrą od deszczu, w której widać było tylko odbicie jej samej i sprzętów w biurze.

– Bardzo chciałabym wiedzieć, jakie on ma zamiary – powiedziała z dłonią przyciśniętą do szyby.

Chłód okna udzielił się całemu jej ramieniu. Najchętniej by je otworzyła, rozluźniła wysoko upiętą fryzurę i wystawiła głowę na ulewę chłoszczącą budynek. *Ale i to nie uspokoi burzy w mojej głowie.*

– Winter pytał mnie o Tramnitza. Rozumie pan coś z tego? – Odwróciła się znowu do Simona, który niezdecydowany przyglądał się

swoim wielkim rękoma na kolanach.

– Ja, ja nie wiem...

– Ale czegoś się pan domyśla, prawda?

Podniósł na nią wzrok.

– No cóż, sama pani przecież widziała nagrania wideo z kafeterii. I słyszała, co mówią świadkowie. To naprawdę tak wygląda, jakby Winter sam sprowokował atak.

Sänger kiwnęła głową.

– I nie tylko. On się odwrócił tyłem do Wolfa. Przyjrzałam się ruchom jego warg na zbliżeniu. Zdaje się, że on odlicza wstecz.

– Odliczanie – powiedział Simon bardziej do siebie niż do niej. – On wiedział, co ma się stać.

W oddali Sänger usłyszała grzmot. Poczekała, aż ucichnie, po czym rzekła:

– Winter co najmniej liczył się z atakiem.

On świadomie przyjął na siebie obrażenia.

– A teraz leży na oddziale ratunkowym. Tak samo jak Tramnitz, o którego pytał niedługo przedtem.

– Co to może znaczyć?

Wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Simonem.

– Nie mam pojęcia. Ale obawiam się, że teraz musimy być o wiele bardziej ostrożni niż w poprzednich razach. Inaczej wkrótce wszyscy razem znajdziemy się w diabelnych opałach.

Znowu czuł woń gorącej smoły przypominającą mu piekło na ziemi, którego odźwierny od dawna znał go z nazwiska, bo tyle razy już tam wchodził.

I znowu z rzekomo bezpiecznej odległości, zawieszony wiele piętér nad berlińskim asfaltem patrzył z góry na parking, na który z nieba lał się letni żar. Ale ten samochód był czymś nowym w jego śnie. Czarny SUV z błyszczącym dachem odbijającym szklane wieżowce. Jedyny pojazd na ogromnym, opustoszałym parkingu.

Tillowi wydawało się, że czuje głęboki ból, który wraz z drgającym powietrzem unosi się ku niemu do góry, więc chciał we śnie odejść od okna i musiał przy tym poruszyć w łóżku barkiem; może i głową. W każdym razie wkrętarka akumulatorowa przewiercająca jego czaszkę wpędziła go z powrotem w sen.

Tak działo się przez jakiś czas.

Czerń. Ból. Upał. Smoła. Ból. Czerń.

Till był zawieszony w oczekiwaniu pomiędzy pełnym udręki przebudzeniem a snem, w odurzeniu środkami przeciwbólowymi, aż

wreszcie jego lęk, że na wieki już będzie uwięziony w tym pośrednim stanie, stał się tak wielki, że wyteżył wszystkie siły i otworzył oczy.

Błąd.

Wielki błąd.

Rozproszone światło, którego źródłem była lampa na suficie, wystarczyło, żeby mu wycisnąć z oczu strumień łez. Natychmiast zamknął z powrotem powieki, ale popełnił kolejny błąd. Kiedy chciał wytrzeć resztę łez z kącików oczu, poczuł najpierw lekkie ukłucie w złamanych palcach, a potem coś jak cios kijem bejsbolowym, kiedy dotknął opatrunku na głowie.

Tym razem nie była to atrapa.

Tym razem był poważnie ranny. A wobec nasilenia bólu Till był pewien, że jego czaszka rozpadłaby się na dwie pogruchotane połowy, gdyby tylko rozwiązał opatrunek, który, jak można było sądzić, był jedynym elementem trzymającym je jeszcze razem.

Na myśl o tym Tillowi zrobiło się niedobrze.

Najchętniej zwymiotowałby z bólu, gdyby nie całkowita pewność, że potem czułby się tylko jeszcze gorzej. Spróbował więc stłumić odruch wymiotny.

Ratunku, zawołał w myśli i przypomniał sobie, że na oddziale ratunkowym przeważnie przy łóżku jest czerwony guzik, którym można wezwać siostrę w nadziei na cały wózek środków przeciwbólowych, najlepiej morfiny.

O ile Till znajdował się na oddziale ratunkowym!

Ponieważ oczy miał nadal zamknięte, nie mógł być tego pewien. Ale dokąd mieliby go zawieźć? Nie pamiętał wszystkich szczegółów, tylko to, że sprowokował Armina w kafeterii w przekonaniu, że albo wyjdzie z tego martwy albo wyląduje na oddziale intensywnej terapii.

A ponieważ w dalszym ciągu nękały go wszelkie ziemskie udręki, nie przypuszczał, żeby miał już być w zaświatach.

Ale i pod tym względem nie mógł mieć zupełnej pewności!

Może samobójstwa nie mają sensu?

A jeśli wszyscy się mylą i bóle nie kończą się wcale z chwilą śmierci?

Ta budząca grozę myśl skłoniła Tilla do podjęcia drugiej próby otwarcia powiek, co tym razem jednak zrobił powoli, prawie jak na filmie w zwolnionym tempie.

Ostrożność nie uchroniła go przed tym, że znów się przestraszył, co spowodowało nowe wstrząśnienie ciała. Mimo towarzyszących temu piorunów bólu zdołał zarejestrować od razu kilka rzeczy. Leżał pod nakrochmaloną kołdrą w pobielonym pokoju na łóżku z uchwytem nad głową. Zobaczył też, że cień, który przed chwilą stał obok jego łóżka i wystraszył go, przeszedł obok wbudowanej szafki i cicho wymknął się przez przymknięte drzwi.

– Hej – zaskrzeczał Till w stronę oddalającego się cienia z kobiecymi krągłościami w nadziei, że siostra wróci i zaopatrzy go w środki przeciwbólowe.

Nie próbował się podnieść, co byłoby błędem, tylko minimalnie zwrócił głowę w kierunku drzwi.

W polu niewyraźnego widzenia pojawiła się jakaś metalowa krawędź i Till dopiero po chwili rozpoznał w niej półkę na tace przy odchylnym nocnym stoliku.

Jeszcze więcej czasu zajęło mu uświadomienie sobie, co oznacza leżący na niej przedmiot przypominający paczkę. A kiedy wreszcie zrozumiał, że tam rzeczywiście na jego nocnym stoliku leży oprawne w skórę wydanie specjalne *Ulissesa* Jamesa Joyce'a, domyślił się też, kim był cień, który na palcach wymknął się z jego pokoju.

– Seda – zaskrzeczał teraz trochę głośniej, ale nadal bez żadnego skutku.

Lewą ręką sięgnął do książki, co zdumiewająco dobrze mu wyszło, otworzył okładkę i musiał z bólu zamknąć znowu oczy. Ale jego zmysł dotyku funkcjonował bez zarzutu, dzięki czemu mógł się upewnić, że komórka na pewno jeszcze jest na swoim miejscu.

Seda przyniosła mi telefon!, pomyślał, jednocześnie wdzięczny i zaniepokojony.

Czyżby wiedziała, co jest w książce? A może chciała mu tylko przynieść lekturę, którą tak długo kartkował w autobusie?

Nie, aż takie przypadki się nie zdarzają.

Pierwszym impulsem Tilla było poddać się wyczerpaniu i natychmiast zasnąć znowu.

Drugim, zadzwonić do Skanii. Ale i jedno, i drugie było zbyt ryzykowne.

Co będzie, jeśli telefon zostanie odkryty w czasie obchodu lekarskiego? Kiedy zaśnie albo kiedy będzie go używał?

Nie, musi z tym poczekać, aż będzie mógł znowu jasno myśleć. Gdyby tylko wiedział, gdzie i kiedy nikt go nie będzie niepokoił i na jak długo.

Musi natychmiast ukryć komórkę, najlepiej razem z całą książką, ale jak to zrobić?

Gdzie się z tym podziąć?

Może najlepiej by było namówić Sedę, żeby odniosła to z powrotem do autobusu.

Jeśli była jeszcze na oddziale, to nie zaszkodziłoby przynajmniej z nią pogadać. Bądź co bądź była tu jego jedynym kontaktem, choć Skania ostrzegał go, że nie wolno jej ufać.

Ale zdaje się, że ma dostęp do wszystkich oddziałów.

To może wie, gdzie leży Tramnitz?

Podniecenie zaostrzyło zmysły Tilla. Wprawdzie nadal czuł się, jakby próbował głową zatrzymać pociąg, ale przynajmniej napływ adrenaliny stłumił mdłości, dzięki czemu, kiedy odchylił kołdrę, nie miał już wrażenia, że musi zaraz zwymiotować.

Na razie uznał, że najlepiej będzie, żeby książka z telefonem nie leżała na wierzchu i schował ją w najwyższej szufladzie stolika.

Potem zacisnął zęby, złapał uchwyt nad sobą i podciągnął się. Kiedy wystawił nogi z łóżka, zdawało mu się, że w jego głowie coś się przelewa z boku na bok, a nocna koszula w mysim szarym kolorze podjechała mu nad kolana.

Gdy tylko gołymi palcami stóp dotknął podłogi, zrobiło mu się zimno. Daremnie próbował stłumić drżenie.

Gorączkowe dreszcze nasilały się z każdym krokiem, którym przybliżał się jak po omacku do drzwi.

Na szczęście pokój był mały. Till mógł się przytrzymać najpierw łóżka, potem krzesła, a wreszcie uchwytów od szafy w ścianie.

Zdumiony spostrzegł, że pokój ma nawet własną łazienkę.

Czy Sängler nie wspominała o braku miejsc?

A teraz leżał tu w komfortowym jednoosobowym pokoju.

Spojrzał w okno, daremnie próbując rozpoznać porę dnia. Nie była to jeszcze noc, ale niczego więcej nie mógł wywnioskować, patrząc przez smaganą deszczem szybę. Sądząc z przytłumionego, brudnego światła na zewnątrz, mogło to być gdzieś między porankiem a zachodem słońca. Typowy berliński jesienno-zimowy dzień. Z deszczem jak w czasie potopu. Czy mu się tylko tak zdawało, czy rzeczywiście nawet tutaj czuć już było wilgoć i stęchliznę?

Również klamka drzwi wydawała się wilgotna w dotyku. Nacisnął ją i nic.

Naturalnie zamknięte.

Chociaż nie, zaraz.

Przypominał sobie niejasno, że regulamin na oddziale ratunkowym nie jest tak restrykcyjny jak na zamkniętym.

Może te przekłete drzwi są po prostu za grube – albo on za słaby. Skrajnie wyczerpany oparł się z drzeniem o powierzchnię drzwi.

I omal nie wypadł na korytarz.

Co za głupek ze mnie.

Ciągnął drzwi do siebie, a one naturalnie otwierały się na zewnątrz. Żeby personel mógł je otworzyć także wtedy, gdyby jakiś pacjent zemdlął w pokoju pod drzwiami.

Na korytarzu nie było nikogo, a on tylko z trudem mógł się utrzymać na nogach, tak że mimo uchwytów na ścianach na wysokości wózka inwalidzkiego o mało nie upadł na twarde linoleum.

Nie chroniło go to jednak przed piorunami, które przy każdym kroku wybuchały za jego oczami. Działanie środków przeciwbólowych drastycznie zmalało. Jego głowa była jak garnek na ogniu, którego pokrywka wybrzusza się, bo bóle nie znajdują ujścia.

Ale choć były koszmarnie, to i tak nie mogły się równać z udrękami duchowymi, które odczuwał Till po zaginięciu Maksa i które wciąż jeszcze musiał znosić.

Maks!

Sama myśl o synu pomogła mu powstrzymać się od głośnego krzyku, a tym samym zaalarmowania personelu kliniki. Till ugryzł się w zdrową rękę, zdołał ograniczyć się do cichego jęku i odczekał, aż największe pioruny bólu zaczęły już tylko migotać jak cienie na jego

siatkówce. Potem znowu zaczął stawiać nogę za nogą.

Posuwał się wzdłuż małego bocznego korytarza, przy którym znajdował się jego pokój. Mijał kolejne zamknięte drzwi, w kierunku korytarza głównego, do którego jego korytarz dochodził prostopadle.

Przy jego końcu stało coś, co sprawiło, że serce Tilla zaczęło bić szybciej.

Stolik na kółkach.

Taki, jaki w szpitalu służy do rozwożenia jedzenia.

Z tym, że jego wąska półka na wysokości bioder była cała zastawiona książkami.

Tilla aż korciło, żeby zawołać: *Seda!*

Jego towarzyszka niedoli była jeszcze na oddziale i widocznie zaopatrywała pacjentów w książki z dowozem do odbiorcy.

Był mocno spocony, kiedy wreszcie dotarł do wózka, stojącego przy samym narożniku, gdzie łączyły się korytarze.

Stał zaledwie o pół metra od przymkniętych drzwi z numerem 217, pod którym na małej tabliczce napis głosił: „Maksymalna obsada 1 pacjent”.

Sedy nie było widać, Till przypuszczał, że weszła do jednoosobowego pokoju. Zastanawiał się, czy jest obserwowany, i szukał kamer na suficie, ale nie widział żadnej.

Za to jego wzrok padł na dwie postacie w najdalszym końcu korytarza. Stały przed windami zabezpieczonymi biometrycznie.

Z początku Till nie mógł zobaczyć, kto to jest. Kiedy mu się w końcu udało nieco lepiej zogniskować łzawiące oczy, najchętniej rzuciłby się pędem przed siebie.

W stronę człowieka, którego w myśli już setki razy torturował i zabijał.

W końcu jednak zdołał nie zmarnować od razu tej jedynej szansy, jaką w ogóle miał. Musiał niezmiernie wyteńczyć wolę, żeby nie zacząć chociaż krzyczeć dla dania upustu całej rozpacz, która się w nim nagromadziła.

Ale zachował milczenie i ani drgnął, toteż pierwszym, który się poruszył, był Kasov. Odwrócił się w stronę Tilla, tuż przed tym, nim to samo zrobił Tramnitz.

Jakby obaj przeczuwali, że ktoś ich obserwuje z ukrycia.

Co znowu? – spytał Tramnitz, zdezorientowany tym, że Kasov urwał w połowie zdania i odwrócił się.

– Sam nie wiem – odrzekł lekarz mało konkretnie. Tramnitz popatrzył w tę samą stronę korytarza co doktor, ale nic nie zauważył. Korytarz był pusty, jeśli nie liczyć wózka z książkami.

– Zdawało mi się, że kogoś widziałem.

– Sedę? – wyraził przypuszczenie Tramnitz i z pożądlivym uśmieszkiem sięgnął sobie między nogi.

Kasov pokręcił głową.

– Nie. Ta dziwka nie wyszła z pana pokoju. Miałem wrażenie, jakby ktoś wszedł do środka.

– Do mnie? – spytał poirytowany Tramnitz. Ten debil obiecał mu przecież, że będzie mógł używać tej zdziry bez przeszkód w swoim pokoju. – Myślałem, że wszyscy są na zebraniu.

– Bo są.

Kasov zwołał drugie zebranie ogólne na temat „Powódź i zalania”, po tym, jak ubiegłej nocy w skrzydle południowym omal nie pękła

rura kanalizacyjna. Wszyscy pracownicy, z wyjątkiem jednego pielęgniarza, który został w pokoju pielęgniarek na wypadek nagłego wezwania, zgromadzili się w tej chwili w holu. A większość pacjentów była już ulokowana w innych obiektach, przez co Tramnitz miał w gruncie rzeczy całe piętro dla siebie.

Nie licząc tego typka z pogruchotaną czaszką, ale ten zdaniem Kasova jeszcze długo nie będzie w stanie opuścić łóżka.

– Nie zatroszczył się pan o to, żeby nikt nam nie przeszkadzał i żeby nadzorujący opuszczał pokój pielęgniarek tylko w razie konieczności?

– Pewnie, że tak. Czy inaczej mógłbym tak swobodnie tu z panem spacerować? – odparł Kasov. – Ale dla pewności niech pan się z nią zabawia w łazience. Tam nikt nagle nie wejdzie.

Lekarz znowu się uśmiechnął, jak przystało na kogoś, kogo Tramnitz wzbogacił o dwa tysiące pięćset euro.

Pia we własnej osobie zaniosiła skorumpowanemu lekarzowi „dodatkowy zarobek” do domu. Oczywiście pani adwokat była przekonana, że płaci Kasowowi za ulgi dla więźnia, lepsze jedzenie i dłuższe spacery. Była wprawdzie bardzo tolerancyjna, ale jednak nie sprowadzałyby mu dziwek.

– Chce mi pan jeszcze coś powiedzieć? – podjął Tramnitz przerwana rozmowę.

– Że przez miesiąc będzie pan miał moje usługi gratis.

Tramnitz zmarszczył czoło.

– Jak mam to rozumieć?

– Zaopatrzę pana we wszystko, czego pan potrzebuje. Koks, kurwy, pornole.

– I nie będę musiał nic płacić?

– Nie.

– Tylko co? – spytał Tramnitz.

W czym tkwi haczyk?

– Niech pan zajrzy do swojej skrytki.

Kasov pokazał mu, gdzie w pokoju najlepiej może ukryć przed ciekawskimi swój pamiętnik.

– Coś tam panu włożyłem.

– Co? – spytał Tramnitz nieufnie.

– Sam pan zobaczy. Niech pan tego użyje.

– Do czego?

Kasov zniżył głos do szeptu, co dopiero wzbudziło podejrzliwość Tramnitza. Jak przypadkowy obserwator miałby uwierzyć, że te szepty to normalna rozmowa lekarza z pacjentem?

– Żeby rozwiązać dla mnie pewien problem.

Aha. Teraz przechodzimy do sedna sprawy.

– Czy ten problem ma jakieś nazwisko?

– Patrick Winter.

– Ten typ dwa pokoje dalej?

– Krążą słuchy, że specjalnie dał sobie rozbić głowę, żeby być bliżej pana – powiedział Kasov.

– Krążą też słuchy, że podsunął pan jego koledze z celi fałszywe protokoły procesu, z których wynika, że Winter zabił swojego syna.

– Po co miałbym to robić? – Kasov uśmiechnął się krzywo.

– Żeby go tak rozwścieczyć, żeby sprzątnął dla pana mordercę dziecka. Ale to pewnie nie wypaliło, więc teraz zwraca się pan do mnie, racja?

– Bez komentarza.

– To też jakaś odpowiedź. Rozumiem więc, co pan knuje, doktorze. Ale czego ten Patrick Winter chce ode mnie?

Uśmiezek Kasova znikł.

– Na pana miejscu nie traciłbym za wiele czasu na rozważanie tej kwestii. Niech pan po prostu rozwiąże ten problem w sposób, jaki panu najbardziej odpowiada.

Mam go wsadzić do inkubatora i nabić na sekator?

Tramnitz uśmiechnął się i potarł przez spodnie zeszywniały członek.

– Dobrze. Pomyślę o tym. Ale teraz muszę się najpierw zająć tą skośnooką zdzirą. Mam nadzieję, że Seda jest wytrzymała.

– Żadnych widocznych obrażeń! – upomniał go jeszcze Kasov, ale Tramnitz już się oddalił, jakby nie zrozumiał szeptu ordynatora.

Seda wybałuszyła oczy, stając z otwartymi ustami i wyrazem twarzy, który mówił ni mniej, ni więcej, tylko: „Co ty tu u diabła robisz?”

Till najchętniej zadałby jej to samo pytanie, gdyby jego uwagi za bardzo nie odwracały rozżarzone igły, które chciały przebić się od wewnątrz przez jego źrenice, odkąd zakradł się do tego pokoju.

– Zjeżdżaj stąd, ale już! – syknęła.

Till popełnił dwa błędy. Kiwnął głową i chciał się odwrócić ku drzwiom, przez które właśnie się wśliznął. Zakręciło mu się przy tym w głowie i stracił równowagę. Padając do przodu, oparł się na Sedzie, która rzuciła się w jego stronę; jej obojczyki wydawały się w dotyku tak niewiarygodnie cienkie, że bał się je złamać. Seda jednak zdołała doprowadzić go do łóżka, na którym usiadł.

– Musisz zaraz stąd wyjść! – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. Drżący głos nie pozostawiał wątpliwości, że jej strach był co najmniej równie wielki jak jego bóle.

Czego ona się tak bała? Dlaczego jej zaszczute spojrzenie wciąż wędrowało ku drzwiom?

– Nie mogę stąd wyjść – powiedział prawie bezgłośnie. Dopóki Tramnitz stoi jeszcze tam na zewnątrz.

Muszę się tu ukryć, zanim nie odejdzie. Teraz jeszcze nie jestem w stanie go przesłuchać. Muszę najpierw odzyskać siły i rozum, żeby...

Kiedy urwał ten niedokończony fragment myśli, czas jakby zastygł w miejscu.

Till zamrugał, a przynajmniej wyobraził to sobie, a potem rzeczywiście udało mu się poruszyć wargami. Zadał jedyne pytanie, jakie było konieczne, żeby rozwiać straszne podejrzenie, które mu właśnie przyszło do głowy:

– Czyj to pokój? – wyszeptał.

I dlaczego tu stoisz?

Z uszminkowanymi ustami i w na pół rozpiętej bluzce?

– Musisz stąd zaraz wyjść.

– Kto? – żądał Till odpowiedzi.

Seda wywróciła oczy w sposób, jaki u Tilla spowodowałby natychmiastowe omdlenie.

– Tramnitz, a teraz...

O Boże.

– ...wynoś się!

Uciekł prosto do jaskini tego psychopaty.

– A jeśli on widział mnie na korytarzu? – pomyślał, nie uświadamiając sobie, że wypowiedział to zdanie głośno, ale zupełnie niezrozumiale.

No to jestem w potrzasku.

Osiągnął cel, w którego osiągnięcie nie wierzył. Ale nie w porę.

Jeśli Tramnitz odkryje go jako intruza w swoim pokoju, to ani nie zdoła wkraść się w jego zaufanie, ani nie będzie mógł biciem wydobyć

z niego prawdy. Cholera, już od samego chodzenia omal nie zemdłał.

I co teraz?

Słyszał zbliżające się z zewnątrz kroki. Gumowe podeszwy skrzypiące na linoleum.

– Niech to diabli – zakłęła Seda, rozkazując mu zejść z łóżka i popychając na tę część od strony okna. Zejść z materaca. Till zacisnął zęby i bardziej się stoczył, niż wstał z łóżka. Przytrzymując się metalowej ramy, opuścił się na dół i najchętniej narobiłby wrzasku na cały oddział, jak zranione zwierzę.

Jego luźno związana na plecach nocna koszula rozchyliła się, kiedy tyłkiem dotknął podłogi.

– Schowaj się – usłyszał syk Sedy, więc podczołgał się do nocnego stolika z szafką tuż przy łóżku. Chłód ściany, o którą się oparł między łóżkiem a stolikiem, pełzł jak paralizująca trucizna w górę po kręgosłupie.

Znowu Till zaczął drżeć, a Seda szepnęła:

– Nie ruszaj się stąd!

W samą porę, bo niemal w tym samym momencie Tramnitz wszedł z hałasem do pokoju, mówiąc:

– Dlaczego jeszcze nie jesteś naga?

Wszystko, co Till słyszał od tej chwili, docierało do niego tak, jakby mu ktoś założył dźwiękochłonne nauszники.

Tramnitz kazał Sedzie iść do łazienki, której grube wyłożone tworzywem sztucznym drzwi chyba nie miały szczeliny u dołu. Przepuszczały tylko dźwięki szczególnie niskie albo nadzwyczajnie wysokie. A że oprócz bólu głowy Till czuł ucisk w uszach jak w głębinach morza, to dźwięki były jeszcze bardziej osłabione.

W rezultacie mógł się tylko domyślać, co odbywało się w łazience między Sedą a Tramnitzem. Wygląd Sedy, wulgarne i bezwstydne powitanie Tramnitza, jego pewność siebie, jakby niczego nie musiał się obawiać – było jasne, dlaczego pacjentka czekała na niego w jego pokoju. Po co tu przyszła.

Ale czy to możliwe, żeby Seda oddawała się temu potworowi?

Dobrowolnie?

Z reportażu o seksie w więzieniu Till wiedział, że miłość za pieniądze (a o cóż innego mogło tu chodzić?) jest dostępna w prawie wszystkich sferach państwowego aparatu egzekucji prawa. Pewnie więc i tu, w klinice Stein.

Czy to dlatego Skania ostrzegął go przed Sedą? Ponieważ nie uważał

prostytutki za osobę godną zaufania?

A jaka była w tym rola Kasova?

W żołądku Tilla odbywała się rewolucja.

Ironią losu było, że jego organizm pragnął właśnie znaleźć się w jedynym miejscu, do którego teraz nie mógł się dostać. Musiał pilnie do łazienki, żeby zwymiotować.

Muszę stąd wyjść.

Ale bał się, że jeśli teraz wstanie (*Bóg jeden wie, jak ja mam to zrobić*), to ulży sobie na podłogę.

Till spojrział w górę ku nocnemu stolikowi, przeklinając gładką powierzchnię bez krawędzi. Półka na tacy była za wysoko. Nie było się na czym podciągnąć do góry. Chyba że...

Szuflady!

Stolik na kółkach miał trzy szuflady, z których wyciągnął najniższą. Była pusta.

Potrzebował tylko czegoś, na czym można by się oprzeć. Niestety, okazało się, że szuflada się nie nadaje. Ledwie oparł na niej lewą rękę, a już wózek odjechał na bok. Co gorsza, omal się nie przewrócił. Na podłogę spadło czasopismo i dwie butelki z wodą, które na szczęście były z plastiku, więc prawie nie narobiły hałasu.

Mimo to Till wstrzymał oddech w pełnym strachu oczekiwaniu, że Tramnitz wypadnie z łazienki i odkryje go przycupniętego za jego łóżkiem.

Ale nie słyszał niczego oprócz niskiego, zwierzęcego pochrząkiwania.

I... czy mu się tylko zdawało, czy Seda właśnie pojękuje?

Till dosunął stół do ściany, żeby nie mógł odjechać, i spróbował znowu. Znowu się podparł, znowu spróbował podźwignąć się do góry.

Ale skutek był odwrotny od zamierzonego.

Najpierw usłyszał, że dno szuflady ustępuje pod naciskiem, a potem poczuł, że wepchnął drewniany wkład do środka.

Cholera!

Zagryzł wargi, wyciągnął lewą rękę, której na szczęście przy tym nie uszkodził, obejrzał wszystkie palce – i zobaczył to:

Papier.

Notatnik.

Brązową książeczkę z tasiemką, której skrytkę w podwójnym dnie szuflady właśnie odkrył wskutek swojej niezręczności.

Szczęście nie sprzyja pracowitym.

Tylko wariatom.

Till od razu wiedział, co to jest. Przeceniając własne siły, stał się fałszywym pacjentem. Rozbita czaszka pozwoliła mu zbliżyć się do bestii. A przypadek sprawił, że znalazł pamiętnik.

Skaleczył się krawędzią płyty wiórowej, otwierając jeszcze dalej podwójne dno, co jedną ręką trudno było zrobić. Nie dbał o krew na palcach.

Till wyciągnął pamiętnik i odczepił czarną tasiemkę, żeby go otworzyć.

Wyglądał inaczej, niż sobie wyobrażał. Był nowszy, bardziej gładki. Jakby mniej używany.

Rzeczywiście, zapisane strony nie stanowiły nawet dziesięciu procent całości, co stwierdził Till po otwarciu.

Jeśli Tramnitz dla każdej ofiary zakładał oddzielny pamiętnik, to trzymał w rękach ostatni tom tego sadysty, chorego psychopaty. Co potwierdzało pierwsze zaraz zdanie, napisane zgrabnym, pięknym charakterem pisma, pasującym do atrakcyjnego wyglądu Tramnitza.

Słowa napisane czarnym ołówkiem kopiowym zniszczyły w Tillu resztki wiary w istnienie dobrotliwego Boga.

Dzisiaj chłopaczek w inkubatorze zdradził mi swoje imię. Ledwo go mogłem zrozumieć, tyle krwi miał w ustach. Ale jestem prawie pewien, że powiedział o sobie Maks.

Krzyk.

Nie on go wydał. On o wiele głośniej wykrzyczałby swoją duchową udrękę niż Seda fizyczny ból w łazience.

Jego krzyk był skierowany do wewnątrz, jego udręka implodowała.

Ręce Tilla się trzęsły, łzy żalu i cierpienia spływały mu po twarzy.

Był u celu. Miał w rękach nie tylko dowód zbrodni Tramnitz, ale też, być może, szczegółowy opis ostatnich chwil jego syna. Coś, czego nigdy nie odda, zanim nie będzie miał pewności, co się stało z Maksem. I gdzie są jego zwłoki.

Czy musiał długo cierpieć?

Czy Tramnitz zabił go dla przyjemności i według planu?

Czy może w afekcie, bo w końcu po prostu miał już dosyć jego „kwękania”, jak tamten seryjny morderca, o którym kiedyś Till słyszał w Internecie?

Boże wielki!

Ricarda może uciekła by przed prawdą. Zatkanaby uszy, wyszła z pokoju, nie chcąc słyszeć ani wiedzieć, jak Maks zakończył swoje życie.

Ale on?

Till pokręcił głową, godząc się na bóle, które będzie to musiało wywołać. Potrzebował mieć najstraszniejszą ze wszystkich pewności, nawet gdyby zdławiła wszelką nadzieję.

Till musiał się pożegnać i dlatego nie mógł odłożyć pamiętnika z powrotem.

Nie mógł go jednak także tu czytać.

Jak długo Seda już nim się zajmuje?

Spojrzał w stronę łazienki i miał wrażenie, że czas, który przed chwilą stanął w miejscu, kiedy przeczytał imię swojego syna, teraz zaczął mknąć jak strzała.

Najpierw chciał odsunąć wózek i zamknąć szufladę, żeby Tramnitz nie zorientował się od razu, że czegoś mu brakuje, kiedy wróci do łóżka. Przy tej okazji wpadł mu w oko w szufladzie mały, metalicznie połyskujący przedmiot, który z pewnością nie powinien się znaleźć w pokoju psychopaty.

Nie zastanawiając się wiele, Till zabrał także żyletkę ukrytą w tajnej skrytce pod pamiętnikiem.

W następnej kolejności zdołał zrobić to, co jeszcze kilka sekund temu uważał za niemożliwe, bo znalezienie pamiętnika zmobilizowało go do czynu. Gniew na Tramnitza był tak potężny, że najchętniej wpadłby do łazienki i zaczął walić jego głową o umywalkę. Raz za razem, tak długo, aż białe zęby pływałyby w zupie z krwi i kości, a przez otwarty czerep rozłupanej czaszki byłoby widać szarą istotę mózgu.

Ale jego cudowny przypływ sił wystarczył tylko na to, żeby na czworakach popęłznąć z powrotem do drzwi. Nie zważając na zardzewiały młyn bólu w swojej głowie, podniósł się, żeby w końcu znowu wypaść razem z otwierającymi się drzwiami na korytarz.

Był pusty.

Ani żywej duszy.

Cóż za szczęście!

Zdrową ręką jeszcze mocniej ścisnął pamiętnik, między kartkami którego umieścił żyletkę.

Jeśli szczęście będzie mu nadal sprzyjać, to może nawet uda mu się dobrnąć do swojego pokoju, zanim padnie z wyczerpania i zemdlony udusi się we własnych wymiocinach.

Till nie dotarł nawet do narożnika.

Kiedy chciał ominąć wózek Sedy z książkami, usłyszał, jak za nim gwałtownie otwierają się drzwi i ktoś go woła, używając jego fałszywego nazwiska.

Patrick Winter? Co tu się dzieje?

Till wsunął sobie pamiętnik pod nocną koszulę i odwrócił się. Skrzyżował przy tym ramiona na brzuchu tak, żeby przytrzymać nimi pamiętnik.

– Ja... ja tylko zabłądziłem – powiedział szeptem, z bólu pochylając się do przodu.

– Widzę – odparł pielęgniarz i szybkim krokiem podszedł do niego. Był o głowę niższy od Tilla, miał ciemne włosy i uniesione lekko do góry, kobiece brwi, które nadawały mu przyjazny, ale stale zdumiony wyraz twarzy.

W dodatku mówił bez przerwy jak nakręcony:

– Ale dlaczego? Dlaczego nie leży pan w łóżku, gdzie pana miejsce? O, rany, rany, rany. Ja tu jestem sam na oddziale i powinienem siedzieć w pokoju pielęgniarek, wie pan, w razie gdyby ktoś nagle wzywał. Żeby nie to, że musiałem wyjść do toalety, to wcale bym pana nie zobaczył, panie Winter.

Podał mu rękę.

– Bardzo pana proszę, potrzebuję czegoś na bóle – powiedział Till zgodnie z prawdą.

– Wyobrażam sobie. W pana stanie też bym tego chciał. Do licha, dlaczego nie nacisnął pan guzika przy łóżku? Coś takiego może się źle skończyć. Raz miałem pacjenta, który w styczniu pomylił drzwi i wyszedł na dwór. Przy minus dwunastu stopniach, w środku nocy. Naturalnie nie tutaj, to było w diakonii świętego Jana, ale on nie miał na sobie więcej niż pan. Da pan jeszcze radę, czy mam iść po leżankę na kółkach?

Till nie zareagował. Zacisnął zęby i ze stoickim spokojem szedł dalej, krok za krokiem, w kierunku swojego pokoju.

– Pan poczeka, zaraz wrócę z zastrzykiem na spanie – obiecał pielęgniarz, gdy tylko Till znalazł się znowu w swoim łóżku. – Coś całkiem ekstra, że zapomni pan o bólu i przeniesie się pan do willi Playboya, czy gdzie tam chciałby pan się znaleźć, bo ten przybytek od śmierci Hugh Hefnera trochę jakby zszedł na psy.

Pielęgniarz nie przestawał mówić nawet na odchodnym, więc jego słowa stawały się coraz cichsze.

W przeciwieństwie do młota pneumatycznego w czaszce Tilla.

Till skorzystał z okazji, żeby ostatkiem sił włożyć pamiętnik razem z żyletką do szuflady nocnego stolika, w której spoczywała już wydrążona książka. Potem jego złana potem głowa opadła na poduszkę i zaczął dzwonić zębami.

Ostra reakcja wyczerpania przerodziła się w prawdziwy atak epilepsji, którego nie zażegnał od razu nawet zastrzyk, który mu w końcu zrobił pielęgniarz. Upłynęło po nim jeszcze niemało czasu, zanim Till przestał dygotać, uspokoiło się jego tętno i oddech. A w miarę jak z jego ciała znikał mróz, bestia bólu chowała pazury, którymi wczepiła się w jego mózg.

Till zacząłby płakać ze szczęścia, że istotnie odczuł poprawę, gdyby

nie to, że w tej samej chwili zasnął.

Kiedy znowu wrócił do świadomości, czuł się wprawdzie parszywie, ale już nie aż tak okropnie jak przy ostatnim przebudzeniu.

Wielkie nieba, cokolwiek to było, co dał mu ten pielęgniarz, to było dobre. Działanie tego środka jeszcze trwało.

O ile przedtem ból głowy zagłuszał wszelkie bodźce odbierane zmysłami, o tyle teraz Till znowu czuł pulsowanie w zranionej ręce, czuł własny nieświeży oddech i nawet to go cieszyło.

Nareszcie nie miał już wrażeń, że zmagając się z chorobą morską, musi jednocześnie stoczyć dwunastą rundę walki w klatce. Nie dowierzał jednak do końca, że jest tak spokojnie, więc po krótkim otwarciu powiek wolał trzymać je zamknięte. W pokoju panował przyjemny nastrój szarej godziny, tylko nocne światło rozświetlało wczesny poranek lub wieczór, bo nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny.

Kiedy po raz kolejny odważył się całkowicie otworzyć oczy, zobaczył książkę leżącą na jego nocnym stoliku.

Ulisses.

Jego umysł pracował powoli, ale jasno. Mgliście przeczuwał, co to musiało znaczyć, że nie leży ona już w szufladzie.

Natychmiast wyciągnął szufladę, szukając w niej pamiętnika. I trafił na pustkę.

Jednocześnie usłyszał głos. Dobiegający z prawej strony.

– Tego szukasz?

Till odwrócił się na bok tylko po to, żeby się przekonać, że to rzeczywiście Tramnitz, siedzący przy łóżku na krześle dla odwiedzających i uśmiechający się do niego przyjaźnie.

Z otwartym pamiętnikiem na kolanach.

Muszę ci powiedzieć, że to trochę nieuprzejme z twojej strony. Jak można wchodzić do mojego pokoju bez uprzedzenia, kiedy jestem zajęty? To znaczy, nie mam nic przeciw odwiedzinom, ale przecież nawet nas sobie jeszcze nie przedstawiono, prawda?

Till z trudem przełknął ślinę i zastanawiał się, jak to możliwe, żeby zło miało tak niewinny wygląd. Siedział przed nim młody człowiek o przyjaznym spojrzeniu, robiący wrażenie zrównoważonego, z sympatycznym uśmiechem na twarzy. Nic nie zdradzało jego czarnych myśli, nawet błysk w oku.

I jak tu ostrzec dzieci przed takim wybrykiem natury? Perwersyjny sadysta o dobrodusznym spojrzeniu, z poczciwymi bruzdami od uśmiechu. Nawet plaster po operacji na szyi wydawał się modnym dodatkiem do ubioru. Oprócz lekkiej szpitalnej bladości nic nie wskazywało na to, że jeszcze kilka dni temu życie Tramnitza było zagrożone.

– Kim jesteś? – spytał Tramnitz, pochylając się z zainteresowaniem do przodu. Przez szyby przedarł się stłumiony huk silników lądującego samolotu.

Till spojrział ku drzwiom, niezdecydowany, czy chce, żeby

pielęgniarka przyszedł mu z pomocą i uwolnił go od Tramnitza, czy lepiej nie, bo nigdy więcej nie nadarzy się lepsza sposobność dowiedzenia się prawdy. Rozdarty wewnętrznie między nigdy wcześniej nieodczuwaną tak silnie nienawiścią a obawą, że nie zdoła się pohamować i wszystko zepsuje, nie odezwał się ani słowem.

Morderca dzieci uśmiechnął się.

– Nie ma obawy. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Kasov dał nam trochę czasu. Więc jak się nazywasz?

– Patrick Winter.

– I jesteś...?

– Jestem... – Till pomyślał chwilę i posłuchał nagłej inspiracji: – Jestem fanem.

Tramnitz roześmiał się gardłowo.

– No tak, jasna sprawa.

– Nie, naprawdę. Dużo czytałem o tobie. Widziałem cię w telewizji. Chciałem cię poznać.

Jeśli istnieje życie pozagrobowe i duch Maksa mógł przysłuchiwać się tej rozmowie, to Till miał nadzieję, że jego syn umie też czytać w myślach i wie, z jakim trudem przyszło mu zdobyć się na to kłamstwo. I ile samozaparcia go kosztowało, żeby nie wyskoczyć z krzykiem z łóżka i nie rozwalić Tramnitzowi tej jego ładnej facjaty. A przynajmniej tego nie spróbować.

– Podziwiam cię. Twoje czyny. Chcę być taki jak ty.

– I uważasz, że ci w tym pomoże, jeśli dasz sobie połamać krzesło na łbie? – Tramnitz z chichotem odgarnął sobie kosmyk blond włosów z czoła.

– To była jedyna możliwość, żeby znaleźć się bliżej ciebie. Nie jesteśmy na tym samym oddziale. Ja nie gram w twojej lidze. Więc

musiałem dać się przenieść do ciebie na oddział ratunkowy.

– Ach tak, musiałeś.

– Tak. Tu możemy się poruszać swobodniej. Rozmawiać ze sobą. Tak jak teraz. Inaczej byłoby to przecież niemożliwe.

– Rozmawiać – powtórzył znowu Tramnitz. – Dziwna forma rozmowy, gwizdnąć drugiej osobie pamiętnik.

Till podniósł rękę w przeproszającym geście.

– On mi przypadkowo wpadł w ręce.

– Chcesz powiedzieć, że przypadkowo włamałeś się do mojej szafki?

– Potknąłem się, przysięgam. A potem przeczytałem pierwsze zdania. Ty, to jest fascynujące. Cały świat chce wiedzieć, co zrobiłeś z Maksem. Przykro mi, nie mogłem się oprzeć.

W ciszy, która teraz zapadła, Tramnitz wstał i podszedł do okna, gdzie nacisnął wyłącznik w ścianie. Z cichym szumem podniosła się do góry elektryczna osłona zewnętrzna i zrobiło się odrobinę jaśniej.

– Wiesz, co ja myślę? – spytał Tramnitz, spoglądając na poranną mgłę, snującą się między drzewami w parku kliniki. Najwyraźniej przestało padać, ale nisko zawieszony chmury miały w sobie z pewnością jeszcze dostatecznie dużo wody do uzupełnienia powodziowego poziomu.

– Myślę, że to, co mi opowiadasz, to jedna kupa gówna. – Odwrócił się do Tilla. – A wiesz, dlaczego tak myślę? Bo czuję to nosem. Twój strach. On śmierdzi gorzej niż sraczka rencisty w pękniętym pampersie. Ale nic się nie martw.

Tramnitz wrócił do krzesła dla odwiedzających, usiadł znowu i uśmiechnął się.

– Ja to lubię.

Obrzucił Tilla badawczym spojrzeniem i dodał:

– Ja kocham strach i jego woń. To jedna z bardzo niewielu rzeczy, które mnie rajcuja.

Till zacisnął lewą rękę w pięść.

– Przecież jesteś moim idolem – powiedział obłudnie, czując, że robi mu się niedobrze. – To jasne, że będąc tak blisko ciebie, jestem przejęty.

Tramnitz przekrzywił głowę. Lustrował go sceptycznie, z lekko szelmowskim uśmiechem.

– Czyli że mówisz prawdę?

– Tak.

Till zdołał kiwnąć głową, nie czując w niej bólu. Albo środki jeszcze działały, albo jego lęk przed Tramnitzem ścierał każde inne negatywne uczucie z tablicy jego świadomości.

– Hm. – Tramnitz z namysłem pocierał sobie brodę. – To by znaczyło, że Kasov łże.

Till wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co ci nagadał ordynator.

– On mówi, że jesteś symulantem. Że grasz tylko jakąś rolę. Że wcale nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

– To nieprawda.

– Dlaczego miałbym wierzyć raczej tobie, a nie lekarzowi? Włamując się do mnie, nie wypracowałeś sobie za dużego kredytu zaufania.

– Wiem. – Till próbował nadać swojemu spojrzeniu wyraz skruchy.

– Może ty wcale nie jesteś żadnym fanem, tylko szpiclem?

– Co? Nie, nie. Ja nie szpieguję.

– To z kim gadałeś w autobusie?

– Co takiego? – Till udał, że nie rozumie pytania Tramnitza.

– Kasov wyraźnie słyszał, jak gadasz w bibliobusie. Podobno powiedziałaś: „Nie potrzebuję więcej, żeby dowiedzieć się prawdy”.

– To jest...

– Też kłamstwo? Nie stałeś w autobusie i nie mówiłeś do siebie?

Nie. Telefonowałem.

– Więc jeśli to ty mówisz prawdę, to zaczynam się rzeczywiście powoli martwić o naszego drogiego doktora. Widać mózg u Kasova działa niewiele lepiej niż u jego pacjentów, jak sądzisz?

Till z trudem przełknął ślinę.

– On myśli, że chcesz mu się dobrać do tyłka.

– Co takiego?

– Że odkryłeś jego małą tajemnicę z kurwami, jego źródło dodatkowych dochodów. Chcesz go zakablować do profesora Sängera?

– Co takiego? Nie. Kasov mnie nie obchodzi.

– Cóż, on to widzi inaczej. Może zaczyna wpadać w paranoję, bądź co bądź ma dużo do stracenia. Swoje piękne podwójne zarobki.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Ach tak?

Im dłużej trwało to przesłuchanie, tym bardziej Tramnitz zdawał się nim delectować.

– No, tobie mogę przecież powiedzieć, jak jest, teraz, kiedy się tak dobrze poznaliśmy – roześmiał się. – Idzie o milionowe fundusze badawcze, którymi Unia Europejska obsywa firmy farmaceutyczne. Pod warunkiem żeby pigularze mogli dowieść, że ich drogie badania kliniczne nowych lekarstw mają jakiś sens. I tu na scenę wkracza nasz ordynator.

– Jak to?

– Kasov sprawia, że lekarstwa działają. On załatwia tym palantom

od farmacji dokładnie takie króliki doświadczalne, jakie im są potrzebne.

Ciekawe, gdzie znajduje takich, co dają się dobrowolnie zamknąć w domu wariatów jako pacjenci? Till miał to pytanie na końcu języka, w zdenerwowaniu nie dostrzegając zawartej w nim ironii. Tramnitz odpowiedział na nie wcześniej, niż Till zdołał je zadać.

– Kasov przemyca do kliniki prostytutki i wymyśla im odpowiednie historie choroby. Na ten przykład Seda, to ziółko, bierze piguły na chorobę dwubiegunową, której w rzeczywistości wcale nie ma. Jedyne, co z nią jest nie tak, to że robi się taka płaczliwa, kiedy się do niej ostro zabrać.

Tillowi zrobiło się gorąco i odrzucił kołdrę.

– Kasov przemyca zdrowych pacjentów dla nielegalnych testów z lekarstwami?

W gruncie rzeczy to genialna koncepcja. Po zakończeniu testów pacjenci zostają uwolnieni od objawów chorób, na które nigdy nie chorowali. A przemysł farmaceutyczny ma dowód, że fundusze przeznaczone na badania zostały wykorzystane sensownie.

– I przy okazji jeszcze każe im jeszcze dawać dupy, żeby maksymalizować swój zysk?

– Jesteś bardzo przekonujący – pochwalił Tramnitz. – Można naprawdę pomyśleć, że słyszysz o tych faktach po raz pierwszy.

– Skąd o tym wiesz?

– Moja adwokat reprezentowała Kasova w podobnej sprawie u jego poprzedniego pracodawcy.

– Niewiele sobie robi z tajemnicy adwokackiej?

– Nie przy seksie.

Dowiedziawszy się już tylu przedziwnych nowości, Till przyjął ten

komentarz bez większego wrażenia. O wiele bardziej frapowało go co innego.

- Po co mi to wszystko opowiadasz?
- Żeby się dowiedzieć, który z was dwóch robi mnie w balona.
- Nie ja, przysięgam. – Till położył rękę na sercu.
- Hm.

Tramnitz sięgnął do kieszeni swoich dresowych spodni i kiedy rozprostował palce, była w nich żyletka, którą Till znalazł w tajnej skrytce.

- To dał mi Kasov dla ciebie.
- Żeby co z tym zrobić?

Tramnitz wywrócił oczy do góry.

– Wprawdzie siedzimy w psychiatryku, ale mógłbyś nie przesadzać z zadawaniem idiotycznych pytań. Na pewno Kasov nie prosił mnie o to, żeby ci przystrzyc twoją bródkę.

Mimo woli Till chwycił się za brodę. Przełożył przy tym nogi przez krawędź łóżka, czego zaraz pożałował. Ruch wyzwolił strumień bólu, który wystrzelił mu między oczy.

– Słuchaj, jesteś w błędzie. Kasov jest w błędzie. Nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy i dlaczego ma na mnie oko. Ale ty nie musisz mi nic robić. Popatrz na mnie. Ja tu jestem tylko dlatego, że chcę być blisko ciebie.

Wstał i dawno już nie czuł się tak bezbronny jak teraz. Pólnagi, bosi, ubrany tylko w szpitalną koszulę.

– Hm – zastanawiał się Tramnitz, który również wstał z krzesła. – Nie wiem. Kasov mnie dotąd jeszcze nigdy nie oszwabił. A ty? Ty mnie podglądałeś, podsłuchiwałeś i okradłeś. Skąd mam mieć pewność, że mimo tego wszystkiego jesteś tym, za kogo się podajesz: Patrickiem

Winterem, moim największym fanem? – Tramnitz przybrał pozę myśliciela i stuknął się palcem w brodę. – A wiesz, mam pewien pomysł. Masz.

Podszedł do Tilla tak blisko, że można było poczuć jego cierpki szampon cytrynowy. Podstawił Tillowi swój pamiętnik pod nos.

Till zaczął się jąkać.

– Co, co ja mam z tym zrobić?

– Czytaj.

– Po co?

Tramnitz otworzył cienki tomik.

Przed oczami Tilla niewyraźnie zamajaczyły drobne odręcznie pisane litery na stronach bez linii.

– No, przecież każdy fan chce wiedzieć wszystko o swoim idolu, nie? Jeśli naprawdę tak mnie uwielbiasz, jak mówisz, to masz przed sobą nie lada gratkę autobiograficzną. Za to dla ludzi zdrowych, czyli takich, którzy słusznie czują do mnie odrazę, takie opisy mogą być nie do zniesienia.

Tramnitz stuknął palcem akapit, od którego Till miał zacząć, i wcisnął mu pamiętnik w obie ręce.

– Sam przecież powiedziałeś, że nie mogłeś się oprzeć historii Maksa Berkhoffa. To czytaj. Ciekaw jestem, co powiesz na opis ostatnich godzin, które miałem okazję spędzić z tym małym brzdącem.

PAMIĘTNIK, STR. 9

Było zimno, zimno i zimno. Przy takim zimnie szczychy zamarzają w luju, jak mawiał tato. I zapadał zmrok, więc nie mam pojęcia, co ten mały jeszcze robił na ulicy. Bądź co bądź, byliśmy w Buckow, a nie w jakiejś dzielnicy biedoty, gdzie rodzice się cieszą, kiedy wieczorem przy przeliczaniu brakuje jednego bachora.

Miałem więc łatwe zadanie, choć ten mały wcale nie był głupi.

- Jakie jest hasło? - spytał mnie z całą powagą. A więc jego nadopiekuńczy rodzice nauczyli go, co ma mówić, kiedy ktoś go przy płocie szkoły zapyta, czy chce u niego w domu

zobaczyć szczeniaki. Na szczęście jest uniwersalne hasło, które się nazywa rohypnol. Działa na wszystkie dzieci, a najlepiej wtedy, kiedy się to im wstrzyknie.

Till kiwnął głową, nie odrywając wzroku od lektury. Bał się, że Tramnitz już teraz pozna po nim odrazę.

– Jak ci się podoba styl? Napisałem od razu tak, żeby później można było to opublikować w wydaniu książkowym. Moja adwokat sprzedaje właśnie prawa.

To zboczone, pomyślał Till.

– To jest świetne – powiedział.

Tramnitz roześmiał się z samozadowoleniem.

– Dobra, darujmy sobie to bla bla, przejdźmy od razu do sedna.

Psychopata z całą powagą zacierał ręce. Miał foremne, silne dłonie, jakie powinien mieć masażysta.

– Przewróć stronę dalej, do drugiego akapitu.

– Tutaj? – Till pokazał odpowiednie miejsce w pamiętniku.

– Właśnie. Tu się zaczyna spisany z pamięci protokół naszej pierwszej rozmowy. Kiedy Maks budzi się po raz pierwszy.

– Gdzie ja jestem?

– W twoim nowym domu.

– Ja, ja się boję.

Mały psotnik nawet nie wiedział, jaką mi

radość sprawił tym zdaniem. Wprawdzie zasmarkany nos, trzęsąca się przy mówieniu jak pod uderzeniami mała klatka piersiowa i tak wyraźnie o tym świadczyły. Ale to jednak zawsze co innego, kiedy moi pacjenci wyznają to otwarcie.

- Co, co to takiego jest?

- Inkubator. Mój ojciec nazwał go Trixi. Do dzisiaj nie wiem dlaczego. Ja nie nadałem inkubatorowi żadnego imienia.

- A co to jest inkubator?

- On daje ci bezpieczeństwo, ciepło, spokój. Mogę cię w nim dobrze zaopatrywać.

- W co zaopatrywać?

Znowu Tramnitz przerwał Tillowi i tak niezbyt dobrze idącą mu lekturę.

- Nie jestem pewien, czy Maks już tu łkał tak głośno, że ledwo mogłem go zrozumieć, czy dopiero później, kiedy zaczęło się leczenie. Taki protokół z pamięci jest trudniejszy, niż myślałem.

Till musiał zacisnąć szczęki, żeby nie krzyczeć. Przełknął z trudem ślinę, mając nadzieję, że Tramnitz nie zauważy drżenia jego powiek. Tętnicy szyjnej pulsującej pod skórą.

Na rozkaz mordercy Till czytał dalej.

- Chcesz wyjść?

- Tak.

- Dobrze, nie ma problemu. Słyszateś już kiedyś o kangurowaniu?

- O kangurze?

- Tak, to od niego się wzięło. To termin z medycyny wcześniaków. To są całkiem szczególne dzieci. Potrzebują bardzo dużo troskliwości. Tak jak ty, mój maty.

- Pójdiesz ze mną do zoo?

- Ależ nie, głuptasie. Kangurowanie oznacza, że rodzice od czasu do czasu wyjmują niemowlę z inkubatora i przykładają sobie do nagich piersi. Żeby się poczuło jak maty kangurek w worku. To ciepło jest ważne dla matego.

Mówiąc to, przyciemniłem światło. Było niewiele jaśniej niż w kinie porno. Tak jak na neonatologii w klinice Virchowa. W sam raz, właściwy nastrój.

Powoli się rozebrałem, a kiedy byłem nagi, otworzyłem boczne otwory inkubatora, żeby związać ręce i nogi Maksa opaskami zaciskowymi do kabli.

- Spróbujemy? - spytałem go. Odpowiedź była niepotrzebna. Wszystkie dzieci lubią przytulanie. Przynajmniej w tym wieku. Dopiero później zaczynają się boczyć.

Z pewnością, niektóre są trochę niepewne i niezręczne, boją się w nowym otoczeniu. Nie są przyzwyczajone, żeby doświadczać tyle miłości naraz. Mają przecież rodziców, którzy je nawet po ciemku wypuszczają jeszcze na ulicę. Dlatego te opaski są potrzebne, żeby sobie same nie zrobiły krzywdy.

Wyjąłem Maksa z inkubatora, był dość ciężki jak na swój wiek, ale tak łagodnie pachniał szamponem dla niemowląt, którym go przedtem umyłem, kiedy jeszcze spał.

Szampon dla niemowląt i strach dają razem wspaniałą mieszankę zapachową, przynajmniej ja

tak uważam. Trzeba by napętniać nią flakony i sprzedawać u Rossmanna.

Pamiętam jeszcze, jak Maks drżał. Zimno na zewnątrz inkubatora zawsze powodowało szok.

Ale kiedyś w końcu przestał jęczeć, a jego przykurcz ustąpił. I gdy obaj leżeliśmy na leżaku obok inkubatora, jego ciało na moim, obaj nadzy, jak nas Pan Bóg stworzył, a krew pulsowała między moimi nogami, wtedy zacząłem śpiewać z radości:

„Był sobie raz ojciec, co czworo miał dzieci.
Lato, Jesień, Zimę i Wiosnę, co świeci”.

W tym miejscu tekst się kończył. Till kartkował pamiętnik dalej, ale następne strony były jeszcze niezapisane.

– I co ty na to?

Till podniósł wzrok. Spróbował zrobić nadludzki wysiłek, wyęzając wszystkie siły, zebrał się w sobie i rzekł:

– Cóż za przepiękny tekst, pełen poezji. Szkoda, że mnie przy tym nie było.

Trzynaście słów, którymi jeszcze raz napluł na nieznaną grób swojego syna.

Najchętniej zakryłby usta ręką albo zagryzł wargi do krwi, żeby nie

musiał tego wypowiadać. Tak jak Bez Ręki odkrawałyby sobie kawałek po kawałku język, który naraz wydał mu się obcym ciałem w ustach, aż nie mógłby już wydać żadnego dźwięku prócz niezrozumiałych krzyków bólu. Ale to było niepotrzebne. Till nie mógł się zaprzec samego siebie. Jego ciało powiedziało już prawdę. Trząś się, drżał, mrugał, a mimo to nie mógł zapobiec wypłynięciu tej jednej, pojedynczej łzy.

– No proszę – powiedział Tramnitz i ostrożnie sięgnął do jego twarzy, żeby wytrzeć mu łzę. – Przecież przeczuwałem.

Till opuścił pamiętnik. Płakał jeszcze gwałtowniej i miał świadomość:

Zawiodłem. Nie zdałem egzaminu.

– Kim jesteś naprawdę?

Wiedział też, że Tramnitz góruje nad nim fizycznie, mimo to zdarł prześcieradło z materaca i zarzucił zaskoczonemu mordercy na głowę. Okręcił je raz dookoła, potem jeszcze raz, jak linę na portowym pachołku na nabrzeżu, i przyciągnął jego głowę ku sobie w dół. Wtedy uderzył.

Prosto w upiornie wyglądającą pod zakryciem twarz Tramnitza. Usłyszał trzask, zapewne złamał mu nos.

Czy to krew zabarwiła prześcieradło na czerwono?

Bił dalej. Jeszcze gwałtowniej.

Ale...

Dlaczego on się nie broni?

Dlaczego śmieje się tak gromko pod przykryciem z każdym kolejnym ciosem, który inkasuje?

Till przestał.

Także dlatego, że jego prawa ręka, którą trzymał prześcieradło, była już w zasadzie nie do użytku. Opatrunek się poluzował i czuł ją tak, jakby mu Armin na nowo złamał palce. Przede wszystkim jednak Till zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu dalej bić Tramnitza.

Czuł to, a kiedy zerwał Tramnitzowi prześcieradło z głowy, także to zobaczył: Nie da się wybić zła z człowieka. Gęsta krew kapiała z nosa Tramnitza, barwiła jego usta, zęby, szyję na czerwono, ale temu szaleńcowi najwyraźniej zupełnie to nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie. Śmiał się dalej, kręcąc głową, jak ojciec rozbawiony niezdarnością syna.

– A więc Kasov miał jednak rację. Prowadzisz fałszywą grę.

Till odsunął się od niego i wstał z łóżka, mając u nagich stóp zakrwawione prześcieradło.

Tak. Prowadzę grę. Ale nie taką, jak myślisz.

– Nie nazywasz się Patrick Winter – stwierdził Tramnitz i pociągnął nosem. Wypluł krwawą flegmę, po czym spytał: – Kim jesteś naprawdę?

Teraz, skoro Till sam się zdemaskował brakiem panowania nad

sobą, nie było już sensu dalej kłamać.

– Till – zaskrzeczał. – Nazywam się Till Berkhoff.

Przerwa. Przez chwilę zdawało się, że morderca dzieci zaniemówił.

– Zaraz, to ty... jesteś...?

Trwało to jeszcze kolejną przerażającą sekundę, po której Tramnitz nie mógł się już powstrzymać.

– Mówisz, że jesteś ojcem Maksa?

Psychopata odrzucił głowę do tyłu, roześmiał się na całe gardło i usiadł na materacu. Bił się przy tym mocno po udach.

– Że też dane mi było tego dożyć. Och, jakie to piękne!

Jego śmiech brzmiał odrażająco serdecznie, czysta radość.

– Moje uznanie, muszę powiedzieć. I naprawdę specjalnie dałeś się tutaj zamknąć? Żeby mnie zabić?

Till pokręcił głową i wskutek wywołanego przez to bólu musiał się chwycić za skronie.

– Nie. Żeby dowiedzieć się prawdy.

Tramnitz chrząknął.

– Tak, to się trzyma kupy. O wiele bardziej niż ta twoja porębana historyjka, że jesteś moim fanem. To by przynajmniej tłumaczyło przekonująco, dlaczego się tu dałeś zamknąć i nawet dobrowolnie wzięłeś po łbie. Tylko ojciec może się chwycić takich rozpaczliwych sposobów.

– Gdzie jest Maks?

Till nie chciał dłużej owijać w bawełnę, o co mu chodzi, jednak Tramnitzowi było to obojętne. Widocznie wolał sam zadawać pytania niż na nie odpowiadać.

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego Kasov chce cię ukatrupić. Może ty po prostu chcesz tylko ratować skórę? No bo ledwie ci opowiedziałem, że

Kasov przemyca zdrowych pacjentów, a ty nagle też okazujesz się takim, co się tu dał przemycić?

Tramnitz wstał z materaca, spychając Tilla w kąt pokoju, po prostu przez samo to, że się do niego zbliżał.

– Mówię prawdę.

– Pięć minut temu też tak mówiłeś, a tymczasem to było kłamstwo.

– Muszę go zobaczyć. Pożegnać się – usłyszał Till własne słowa.

– To rozumiem. – Tramnitz kiwnął głową. Jego białe zęby lśniły w zalanej krwią twarzy. – No, naprawdę. Nawet bardzo dobrze to rozumiem. Tylko ten twój plan...

Dotknął nosa i przyglądał się czerwonym czubkom palców.

– Czyś ty się aby dobrze zastanowił, żeby przy pierwszej lepszej okazji brać się do bicia właściciela tajemnicy?

Nie, to był błąd. Brak kontroli nad impulsywnym działaniem.

– Obawiam się, że musisz trochę bardziej popracować nad swoją siłą perswazji. Wszystkie dalsze zapiski w pamiętniku znajdują się tutaj. – Puknął się palcem w głowę. – Mały szturchaniec w czoło chyba nie wystarczy, żebym się przed tobą jeszcze bardziej otworzył. Masz, popróbuj z tym.

Ku zdumieniu Tilla Tramnitz podał mu żyletkę, którą Till mu zwędził razem z pamiętnikiem z tajnej skrytki w jego pokoju.

– Na co mi to?

– No cóż, gdybym był tobą, a na szczęście nie jestem, to walnąłbym się jeszcze raz łokciem w twarz, a potem chwycił moją rękę i wsadził ostrze prosto pod paznokieć mojego palca wskazującego, mniej więcej tak.

Tramnitz rzeczywiście przeszedł od słów do czynów, chwytając z całej siły rękę Tilla.

– Podważ go.

– Co?

– Paznokiec. Dobrze zrozumiałeś. Najlepiej z boku, to idzie wolniej i jest o wiele bardziej bolesne.

Till czuł, jakby jego ręka była zabetonowana. Trzymając w niej żyłkę, nie mógł nią poruszyć ani o centymetr.

– Chłopie, nie certuj się tak – powiedział Tramnitz i zrobił coś niepojętego. Sam to wykonał.

Wepchnął sobie ostrze pod paznokiec, wsunął czubek głęboko w ciało, użył żyłki jak dźwigni.

– Boże wielki!

– O co chodzi? – udał zaskoczonego. – No proszę, i nawet wcale nie bolało.

Tramnitz pokazał ociekającym krwią palcem wyrwany paznokiec na podłodze.

– Chociaż nie, kłamię – uśmiechnął się. – Trochę szczypało. Tak zupełnie niewrażliwy to ja nie jestem. Moje odczuwanie bólu jest tylko skrajnie zredukowane.

Zdecydowanie można tak powiedzieć.

Till wybałuszał na niego oczy osłupiały, szukał naukowego wytłumaczenia, dlaczego ten szalenciec przy takich wymyślnych torturach nawet nie jęknął, a tu sam Tramnitz podał mu wyjaśnienie.

– To typowe dla ludzi z zaburzeniem osobowości typu borderline, jak kiedyś mój pierwszy psychiatra tłumaczył mamie. Później wyszło na jaw, że coś nie gra z moim wzgórzem w międzymózgowiu, ale ja cię na pewno nudzę medycznymi faktami.

Chwycił Tilla za brodę, trzymając ją krwawym łapskiem w mocnym uścisku tak samo jak przedtem jego rękę.

– Ważne jest tylko, żebyś wiedział jedno: potrzebuję naprawdę ekstremalnych bodźców, żeby w ogóle cokolwiek odczuwać.

Dlatego zamęczasz małe dzieci na śmierć?

– Nie tak, jak ty, panie Berkhoff. Ciebie wystarczy tylko lekko puknąć, a rozpadniesz się, prawda?

Mówiąc to, Tramnitz uderzył go pięścią w czoło i głowa Tilla eksplodowała.

Kiedy przyszedł do siebie, prawie życzył sobie, żeby Tramnitz jeszcze raz uderzył go w głowę. Najlepiej ciężkim młotem tak mocno, żeby się już więcej nie obudził. Żeby nigdy więcej nie musiał czuć tego bólu.

Jego intensywności nie dało się z niczym porównać, chyba z wyobrażeniem, że cały jego mózg jest jednym wielkim zaropiałym zębem, który oszalały dentysta chciał wyrwać obcęgami bez znieczulenia, przy czym ząb się jednak ułamał i teraz nerwy były odsłonięte i omywane myślami jak żrącym kwasem.

Gdzie jest Maks?

Co ta bestia z nim zrobiła?

Tramnitz nie wyszedł, wprost przeciwnie. Podobnie jak intensywność bólu, tak i jego obecność wydawała się jeszcze bardziej wzmożona. Co między innymi wynikało z tego, że najwyraźniej skorzystał z utraty przytomności przez Tilla, żeby w łazience obmyć twarz i ręce z krwi. Wydawał się teraz odświeżony i jakoś większy, silniejszy. Stojąc przed łóżkiem, na którym Till znowu leżał, nachylił się nad nim i zbliżał się coraz bardziej, aż prawie zetknęły się ich usta.

– Dobra, mały, przekonałeś mnie – szepnął. – Zostawię cię przy życiu.

– Dlaczego? – Till wypowiedział pierwszą myśl, jaka się pojawiła.

Żeby i mnie dręczyć, sam sobie odpowiedział.

To logiczne. *On delektuje się moją rozpaczą.*

– Bo mnie zaciekawileś.

Potem ten psychopata rzeczywiście to zrobił. Pocałował go w czoło. Na krótką chwilę wstrętowi udało się przyćmić ból głowy Tilla.

Czym cię zaciekawilem? Możliwością sprawdzenia, ile cierpienia może wytrzymać jeden człowiek?

Tramnitz wyprostował się z powrotem i odsunął o krok do tyłu, założywszy ręce z tyłu i zmarszczywszy czoło niczym myśliciel.

– Musimy się trochę pospieszyć, jestem tu już o wiele za długo. Za pięć minut wpięprzy się do mnie obchód, a wtedy muszę już być z powrotem w moim pokoju. Ale przyjmijmy tymczasowo, że tym razem wyjątkowo nie kłamałeś. Jesteś naprawdę Tillem Berkhoffem, ojcem Maksa. Tego małego miłego pędraka, który gra główną rolę w moim ostatnim pamiętniku.

Żołądek Tilla ścisnął się kurczowo.

– Ty rzeczywiście uszedłeś już kawał drogi. Niejedno wzięłeś na siebie, żeby do mnie trafić. Ale pytanie, które o wszystkim zdecyduje, pytanie, na które odpowiedź robi różnicę, brzmi: czy dociągniesz to do końca?

– Ja, ja... – Till zaczął znowu się jąkać i sam się za to nienawidził. – Ja nie rozumiem.

Czy to w ogóle było możliwe? Czy można było zrozumieć tok myślenia chorego mordercy?

Z pewnością nie wtedy, gdy ktoś ma w głowie młot pneumatyczny.

– Odbyłem coś w rodzaju, powiedzmy „rozmowy”, z doktorem Friederem.

Till musiał chwilę się zastanowić.

– Tym chirurgiem?

– Właśnie, z tym moczymordą. Poprosił mnie o przysługę. Mam się wypowiadać z moich grzechów. Nie jemu.

– Tylko komu?

– Prosił mnie, żebym powiedział rodzicom, co zrobiłem z ich zaginionymi dziećmi. I że tak powiem... miał bardziej przekonujące argumenty niż ty, żebym posłuchał jego prośby.

Tramnitz dotknął opatrunku po operacji na szyi, a Till spytał:

– Powiesz mi, co się stało z Maksem?

Co mu zrobiłeś? Gdzie znajdę jego zwłoki?

– Dobrowolnie?

– Nawet więcej. – Tramnitz znowu wykrzywił się w uśmiechu. – Zagrajmy w małą grę umysłową. Zakładam w tym momencie dla uproszczenia, że naprawdę jesteś Tillem Berkhoffem, ojcem małego Maksa. A ty z kolei zadajesz sobie następujące pytanie: Jak daleko jesteś gotów się posunąć? Co byś zrobił, gdybym ci tu i teraz zdradził, że istnieje malusieńka, maleńka szansa?

– Na co? – szepnął Till.

– A na cóż by innego, jeśli nie na to, że twój syn jest jeszcze przy życiu!

† ill otworzył usta – co nie miało sensu, bo w gruncie rzeczy nie był już zdolny do wydania jakiegokolwiek dźwięku, chyba że do skomlenia.

Przy życiu?

Takiego słowa nie było już w jego słownictwie. Nie w związku z jego synem ani nim samym.

Opierał się, próbował nie dopuścić zatrutej strzały nadziei zbyt głęboko w swoją świadomość, ale już się w niej zahaczyła.

On kłamie.

Naturalnie, że kłamie. On chce cię dręczyć.

– Jakim sposobem? Przecież Maks już od roku jest...

– Zaginiony? No przecież powiedziałem, że jest mało prawdopodobne, że jeszcze żyje. Ja już siedzę trochę czasu, więc nie wiem. Ale jest mikroskopijna szansa, że on wciąż dycha.

Tramnitz, który podszedł do okna i z poddasza miał widok na świat za murami kliniki, spytał ponownie:

– No więc, jak daleko posunąłbyś się, żeby się przekonać, czy mówię prawdę? Tylko zanim teraz coś powiesz, Tillu Berkhoffie, ojciec Maksa, coś ci poradzę: Nie okłamuj mnie!

Odwrócił się znowu ku niemu. Wszelki przyjazny wyraz zniknął z ładnej twarzy.

– Nie rób tego więcej. Bo jeśli zauważę, że mnie znowu robisz w konia, a wierz mi, że jestem dobry w czytaniu myśli, to koniec z naszą rozmową. Wtedy podniosę alarm i pokażę lekarzom, co zrobiłeś bez żadnego powodu z moją twarzą i paznokciem.

Till z trudem przełknął ślinę.

– Możesz sobie wyobrazić, co się wtedy stanie.

Rozdzielą nas.

– Przepadnie wszelka szansa na to, żebyś kiedykolwiek zdołał się znaleźć choćby w zasięgu woni mojego pierdu.

Na wieki.

Till nie wiedział, czy to by oznaczało dla niego wybawienie, czy raczej ostateczny koniec.

Czy prowadzenie tej rozmowy miało jakikolwiek sens? Czy Skania nie miał racji, że ten ledwie przemyślany plan od początku był straceńczą misją bez widoków na powodzenie?

– No więc? Co byś zrobił, żeby się dowiedzieć, co naprawdę stało się z twoim synem? – zapytał Tramnitz.

Jak daleko byłbyś gotów się posunąć?

– Wszystko – odpowiedział bez wahania Till. – Oddałbym za to własne życie.

– O, to nie będzie konieczne. Istnieje o wiele prostsza droga prowadząca do poznania prawdy.

– A kto mi da gwarancję, że mnie nie okłamiesz?

– Nikt. Przecież ja także nie wiem, czy mówisz prawdę, Tillu Berkhoffie, ojciec Maksa.

– No więc dobrze. Jaka to jest droga? Co muszę zrobić, żebyś mi

opowiedział, co się stało z moim synem?

– O nie, ja ci niczego nie będę opowiadać. Ja ci to pokażę.

– Co masz na myśli?

– Ja cię zaprowadzę prosto do twojego syna. Albo do tego, co z niego jeszcze zostało.

Krew Tilla pulsowała w jego żyłach pod zwiększonym ciśnieniem.

– A co ja muszę zrobić?

– No, jak to co? – Tramnitz skrzywił się w diabolicznym uśmiechu. –

Wyciągnij mnie stąd!

Skąd pan wiedział?

– Co?

– Że chciałam sprzedać mediom odwiedzinę u pana?

Ricarda czekała w samochodzie przed restauracją z burgerami, aż skończy się zmiana, na której pracował Gedeon, ten podobno jasnowidzący pracownik firmy.

Kiedy wyszedł na deszcz przez wyjście dla personelu, ledwo go rozpoznała, tak głęboko nasunął na twarz bejsbolówkę. Zmierzając do ulicy, Gedeon musiał minąć oświetlone jadłospisy okienek drive-in, przed którymi zatrzymywali się głodni kierowcy, żeby dokonywać wyboru wśród frytek, skrzydełek kurczaków, burgerów i innych zabójców serca i krążenia. Tu zastąpiła mu drogę Ricarda.

– Mógłbym pani teraz zacząć opowiadać o moich niewytłumaczalnych zdolnościach, ale prawda jest prozaiczna.

Gedeon, który pod kurtką przeciwdeszczową miał jeszcze pracowniczy mundurek, uśmiechnął się nieśmiało.

Nie wydawał się ani trochę zaskoczony, że widzi ją znowu tutaj

w strugach deszczu. Wskazał miejsca postojowe po prawej stronie.

– W dniu naszego spotkania parkował tam van z kolońską rejestracją. Na przedniej szybie miał nalepki pozwalające mu na wjazd na teren studia RTL i WDR. A więc samochód ekipy telewizyjnej.

Ricarda odgarnęła wilgotny kosmyk włosów z czoła. Deszcz bębnił w jej parasol.

– To nie tak, jak pan myśli. Ja nie mam parcia na szkło.

– Nie wie pani, co ja myślę – sprzeciwił się Gedeon i ruszył dalej. – A ja wprost przeciwnie. Ja umiem w pani czytać jak w otwartej księdze.

– Ach tak? – Ricarda poszła za nim, przy czym musiała uważać, żeby nie wdepnąć w jedną z licznych kałuż.

– Każdy człowiek z empatią i podstawową wiedzą z psychologii to potrafi.

– I co pan odczytuje, patrząc na mnie?

Gedeon obejrzał się przez ramię.

– Jest pani u kresu nie tylko pod względem emocjonalnym, ale i finansowym. Na poszukiwania Maksa wydała pani majątek. Prywatny detektyw, ogłoszenia o poszukiwaniu w Internecie. Teraz jeszcze jest pani zdana tylko na siebie, bo pani mąż odszedł.

To wszystko było w gazecie, pomyślała Ricarda, ale sprzeciwiła się.

– Mój mąż nie... odszedł.

– Nie? To gdzie jest w tej chwili? – spytał Gedeon z ciekawością, ale bez drwiny.

– Ja... – Urwała, żeby w końcu odpowiedzieć wymijająco. – Potrzebowałam dystansu. W tej chwili nie wiem, gdzie on się podziewa.

Gedeon zmierzył ją wzrokiem, podczas kiedy nogawki jego spodni nasiąkały deszczem. W tym momencie byli jedynymi osobami na podjeździe do giganta od fast foodów.

– A pani córka czeka u przyjaciółki?

– U przyjaciela – odpowiedziała Ricarda zgodnie z prawdą. – To też nie jest tak, jak pan myśli.

Doszli do wjazdu.

– Ja nie mam nowego partnera, to naprawdę tylko dobry przyjaciel.

– To brak teraz już dwóch osób w pani życiu – stwierdził Gedeon, pomijając milczeniem jej uwagę. – Męża i dziecka. Ale chce pani powrotu tylko jednego z nich, prawda?

– Do czego pan zmierza?

– Musi pani wreszcie odnaleźć swojego synka, bo inaczej ubezpieczenie nic nie zapłaci.

Trochę trwało, zanim do Ricardy dotarła potworność tej sugestii. Gedeon już znowu był o dwa kroki przed nią i musiała się pospieszyć, żeby do niego dołączyć.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Zawarła pani ubezpieczenie na życie. Ale bez zwłok odszkodowania nie wypłacą.

Ricarda roześmiała się. Miało to być drwiącym skwitowaniem absurdalności tego przypuszczenia, ale zabrzmiało tylko histerycznie.

– Nie. Pan się myli. Nie ma żadnego ubezpieczenia. Ja potrzebuję pieniędzy na dalsze poszukiwania. Na przykład na pana.

Machnął ręką.

– Nie wezmę od pani pieniędzy. Nie mogę pani pomóc.

Gedeon stanął pod wiatą opustoszałego przystanku autobusowego przy Clayallee i zdjął bejsbolówkę. Znowu uderzyło Ricardę, jak

niestosownie młodzieńczy był jego wygląd jak na kogoś, kto sam o sobie twierdził, że widział więcej na świecie niż większość innych ludzi.

– Nie może pan czy nie chce pan mi pomóc? – spytała, zamykając parasol.

Pod wiatą deszcz było słychać jak huraganowy ogień ziaren grochu.

Gedeon, który właśnie studiował rozkład jazdy, odpowiedział, nie odwracając się do niej:

– Z tego, co czuję, nic nie pasuje jedno do drugiego. Pani, pieniądze, pani mąż. Może być tak, jak pani mówi, pani Berkhoff. Ale ja nie mogę tego zweryfikować. Bo coś tu się nie zgadza.

– Co?

Rzucił okiem na zegarek, potem zwrócił się znowu ku niej:

– Chodzi nie tylko o panią, pani męża czy pani syna. Jest jeszcze jedna osoba.

Ricarda z miejsca poczuła duszności. Tak jakby deszcz pozbawił powietrze tlenu i musiała zrobić dwa wdechy dla napełnienia płuc, kiedy dotąd wystarczał jeden.

– Ma pan na myśli porywacza? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Może. Kiedy przyniosła mi pani ostatnim razem zdjęcie Maksa, widziałem chorego człowieka w jego pobliżu.

– Chodzi panu o tę chorą bestię, która go ma w swojej mocy?

– Nie umiem tego powiedzieć. Ale miałem wrażenie, że ten człowiek już niedługo zaprowadzi panią do Maksa.

Gedeon odwrócił się w bok i popatrzył w górę ulicy, najwyraźniej chcąc się przekonać, czy jedzie już następny autobus, i rzeczywiście, w oddali dwa snopy światła przebijały się przez wodną mgłę.

Ricarda chwyciła go za ramię.

– Czy Maks jeszcze żyje?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, to było za krótko.

Pokazała ogólnie kierunek, w którym zostawiła samochód, a w nim torebkę.

– Dzisiaj też mam to zdjęcie przy sobie. I inne przedmioty, którymi bawił się Maks. Klocki Lego i...

Gedeon zdołał jednocześnie włożyć bejsbolówkę i pokręcić przy tym głową.

– Nie dzisiaj. Nie jestem teraz w nastroju. Proszę, mam za sobą męczącą zmianę.

Nadjeżdżający autobus było teraz także słychać; z groźnym pomrukiem kolos z dieslem zbliżał się, żeby uprowadzić rozmówcę Ricardy.

– A ostatnim razem? – spytała pośpiesznie Ricarda. – Czy widział pan jeszcze coś innego?

– Nie widziałem. Raczej czułem wężem.

– Co?

– Krew. Wystrzał. Nie umiem tego opisać inaczej, ale kiedy widziałem to zdjęcie, to miałem wrażenie, jakby kula przebijała czyjąś głowę.

On poczuł wężem wystrzał?

– Czyją głowę?

Autobus zahamował, rozbryzgując wodę z kałuży przy krawężniku, ale ani Ricarda, ani Gedeon nie dbali o to.

– Nie wiem. Tylko... – Spojrzał jej prosto w oczy. – Zobaczy pani znowu swojego syna.

Jej serce na chwilę zamarło.

– Czy on jeszcze żyje? – zapytała już po raz trzeci.

– Trudno powiedzieć. Przy tak wielu trupach. ktoś tam na dole pozostanie przy życiu. W tej piwnicy. Ale nie wszyscy. Naprawdę nie wiem, czy pani syn będzie jedną z tych osób.

Autobus otworzył hydrauliczne drzwi i przechylił się nieco do krawężnika dla ułatwienia wsiadania. Gedeon odsunął się od Ricardy.

– A kiedy już znajdę Maksa? – spytała, daremnie próbując przytrzymać go za rękę. – Co wtedy się stanie?

Nerwowo przejechał ręką po włosach.

– Wtedy widzę panią przed sobą zupełnie wyraźnie. Płacze pani. Za zamkniętymi drzwiami.

– Gdzie? I dlaczego drzwi są zamknięte? Gdzie ja się znajduję?

Wyrzucała z siebie te pytania, kiedy on już wsiadał. Powoli Gedeon ostatni raz odwrócił się do niej. Jego słowa prawie całkowicie pochłonął deszcz, ale mimo to dotarły do ośrodka strachu w mózgu Ricardy.

– W więzieniu – rzucił.

Drzwi zamknęły się i autobus odjechał, gdy tymczasem złowróżbna przepowiednia ostatecznie pozbawiła tchu Ricardę, która została na przystanku.

Ze niby... co ja mam zrobić?

– Już ty mnie dobrze zrozumiałeś – powiedział Tramnitz. – Nasza umowa będzie całkiem prosta: Jeśli mnie stąd wyciągniesz, to zaprowadzę cię do Maksa. A im bardziej się pospieszysz, tym większa szansa, że twój chłopak będzie jeszcze ciepły.

Słowa mordercy wywołały trzęsienie ziemi.

Till miał nagle wrażenie, jakby cały pokój się zakołysał, i chciał się uchwycić metalowej ramy łóżka, żeby się nie przewrócić, choć naturalnie wiedział, że te ruchowe zjawiska to tylko jego urojenie. Ale rozmowa z psychopatą też była iście surrealistyczna.

Czy on naprawdę był właśnie w trakcie zawierania umowy z mordercą?

Ilekcroć zastanawiał się kiedyś nad pierwszym spotkaniem z Tramnitzem, jego myśli miały konsystencję sennego majaczenia w gorączce. Obrazy bez związku, na które nakładały się emocje o sile niemożliwej do kontrolowania. Ale nawet gdyby miał możliwość przygotowania się na to spotkanie ze spokojem i chłodną analizą, to

nie przewidziałby choćby w przybliżeniu takiego obrotu sprawy.

– To absurd – wydyszał.

– Dlaczego?

– Bo, bo... – Było tyle powodów, że Till nie wiedział, od czego zacząć.

Wreszcie zaczął od tego, co nawet dla psychopaty musiało być jasne: – Jesteśmy uwięzieni na oddziale pod specjalnym nadzorem. Jak miałbym to zorganizować?

Tramnitz wysunął do przodu dolną wargę i wzruszył ramionami.

– Jakoś ci się udało tutaj przemyścić. Sam nie dałbyś rady. Ludzie, którzy ci pomogli, mają najwyraźniej znajomości. Przekonaj ich, żeby wykorzystali je dla mnie, a ja cię zaprowadzę do Maksa.

Till słyszał każde słowo z osobna.

Przemyścić. Nie sam. Pomogli. Znajomości.

Rozumiał ich znaczenie. Te słowa były jak pinezki, którymi do tablicy jego rozumu była przytwierdzona wyobrażona kartka. A na niej znajdowały się jedyne słowa Tramnitza, które w końcu pozostały w jego świadomości. Jedna ich część się liczyła: „...a ja cię zaprowadzę do Maksa”.

Z tego właśnie powodu był tutaj. To dlatego wziął na siebie to wszystko. Te zastrzyki, bicie, bóle, strach. Dlaczego miałyby akurat teraz posłuchać głosu rozsądku, skoro dotąd szedł tylko za głosem rozpacz?

– Dobrze – powiedział więc dziwnie bezdźwięcznie.

Miał wrażenie, jakby głos wcale nie należał do jego ciała.

Gorzej, jakby jego rozum był oddzielony od ciała i jakby obserwował samego siebie, jak umawia się z mordercą dzieci w najbardziej daremnej ze wszystkich nadziei, że będzie mógł jeszcze raz wziąć swoje dziecko w ramiona.

– Spróbuję – wyszeptał i podszedł do nocnego stolika. Drżącymi rękami chwycił grube tomisko, otworzył *Ulissesa* pośrodku.

Zrobiło mu się zimno, a temperatura w pokoju wydała się jeszcze niższa, kiedy spojrzał na Tramnitza.

– Gdzie to jest? – spytał go.

– Co gdzie jest?

– Moja komórka.

– Twoja komórka? – Tramnitz wydawał się zaskoczony.

– Tak, musiałeś ją znaleźć w książce. – Till stuknął w wydrążone dzieło, którego okładkę zamknął z powrotem.

Najpierw zdawało mu się, że na oczy Tramnitza nasuwa się ciemna chmura niezrozumienia, ale potem usłyszał jego śmiech.

Morderca podszedł do zawieszzonego na ścianie telewizora, wspiął się na palce, żeby sięgnąć do górnej krawędzi, i wyciągnął przedmiot, który musiał być zaklinowany między ekranem i ścianą.

– O tym mówisz?

A o czym innym?

Till z ulgą zacisnął palce na telefonie, który Tramnitz mu oddał. Plastikowa obudowa wydawała się inna w dotyku, bardziej nieforemna i toporna, jakby telefon się zmienił.

– Schowałeś to?

– Myślałem, że nie chcesz, żeby to u ciebie znaleźli.

– Dlaczego nie zatrzymałeś sobie?

– Bo ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie wiem, do kogo mógłbym zadzwonić, żeby nas stąd wyciągnął.

– Ja też nie – powiedział Till.

– Hm, to by było niedobrze. – Tramnitz podszedł znowu blisko do Tilla, położył łagodnie rękę na jego ramieniu i ścisnął, mówiąc cicho,

ale dobitnie: – Czy naprawdę chcesz żyć ze świadomością, że twój syn musiał umrzeć tylko dlatego, że nie byłeś dostatecznie przekonujący?

Cofnął rękę, ale Till miał wrażenie, jakby jego palce wypaliły przez nocną koszulę piętno na jego skórze.

– Dzwon! Wykorzystaj swoją szansę!

Jaką? Jak, do diabła, mam tego dokonać?

Tillowi wydawało się, jakby telefon w jego ręce topniał, tak bardzo pociły mu się palce.

– Pójdę już – powiedział Tramnitz. – Za długo mnie nie ma.

Till odczekał, aż psychopata wyjdzie z jego pokoju, a potem powziął rozpaczliwą decyzję i nacisnął klawisz szybkiego wyboru z numerem jeden.

Skania.

Odezwał się sygnał wywołania.

Sześć razy. Siedem razy, i to przy trzeciej próbie.

Till odczekał co najmniej trzydzieści sygnałów, zanim wreszcie brak połączenia skwitował sygnał zajętości.

Co u diabła...

– Skania, gdzie ty się podziewasz?

I dlaczego twoja poczta głosowa jest wyłączona?

Till chciał mu wyłożyć kawę na ławę. Że naprawdę istnieje pamiętnik, a Tramnitz się tylko przechwala, że zna kryjówkę, w której może znajdują się nawet nie zwłoki, ale jeszcze żywy Maks. I że jedyną możliwością poznania całej prawdy jest upozorowanie ucieczki sprawcy z kliniki i śledzenie go z ukrycia.

Skoro Skanii udało się go tu przemycić, to tym bardziej powinien mieć możliwość zorganizowania takiej obserwacji. A więc ucieczki, która w rzeczywistości byłaby tajnym śledztwem.

Oczywiście, Till wiedział, jak zareaguje jego szwagier na ten pomysł. I jak mała jest szansa, żeby zdołał choćby wypowiedzieć się do końca, gdyby mu się wreszcie udało połączyć ze Skanią.

„Teraz to już ci chyba kompletnie odwaliło?”

Już sama tylko konieczność oficjalnego przyznania się, że szwagier w ogóle przemycił Tilla do kliniki Stein jako fałszywego pacjenta, wykluczała realizację takiego planu. Z pewnością w odpowiedzi nie usłyszy nic więcej jak: „Zabieram cię stamtąd, ty chyba już ostatecznie postradałeś rozum”. Zwłaszcza że termin dwudziestu czterech godzin, jaki Skania mu wyznaczył, upłynął już jakiś czas temu i Till nie wiedział, co aktualnie jego szwagier w związku z tym organizuje.

Ale chwilowo Till nie miał nawet okazji, żeby dać się zwymyślać i usłyszeć odprawę, bo Skania wciąż nie odbierał telefonu.

Spróbował więc użyć drugiego zapisanego w pamięci numeru, i tu sprawa była jeszcze bardziej tajemnicza.

Nie, to niemożliwe.

Nie ma takiego numeru. Prosimy zwrócić się do informacji.

To nie mogła być prawda.

Znał numer Ricardy na pamięć. Wprowadził go cyfra po cyfrze, ale rezultat był ten sam.

Nie ma takiego numeru?

Jego żona miała ten prosty numer, którego główną część stanowiła jej data urodzenia, od ponad dwudziestu lat. Zachowywała go od pierwszej umowy przy każdej kolejnej zmianie operatora lub telefonu. Był dla niej czymś w rodzaju amuletu na szczęście. Zupełnie wykluczone, żeby z niego dobrowolnie zrezygnowała.

A jednak.

Nie ma takiego numeru.

Till wpatrywał się jak zbaraniały w nokię w swojej dłoni i znowu miał wrażenie, że jest inna w dotyku; wtedy zaświtała mu pewna myśl...

No oczywiście. Tramnitz musiał coś przestawić!

Nie wiedział co, ale tylko to miało jakiś sens.

Ten typ chce ci zamącić w głowie, wytrącić z równowagi, chce widzieć, jak cierpisz. On roznieca płonne nadzieje i zastawia na ciebie psychologiczne pułapki, żebyś w nie wpadał, rozpaczliwie próbując dowiedzieć się prawdy.

Till chciał właśnie spróbować połączyć się z trzecim zapisanym w pamięci numerem, choć już bez jakiegokolwiek nadziei, że dodzwoni się do swojego notariusza, kiedy usłyszał głos, który pod każdym względem oznaczał zagrożenie.

Był o wiele za blisko.

I nie dobiegał z telefonu.

Należał do profesor Sängler, która weszła do pokoju i zadając podejrzliwe pytanie: „A co pan tam robi?”, przyłapała go in flagranti na telefonowaniu.

W ięc naprawdę nazywa się pan Till Berkhoff?

Siedzieli we dwoje przy okrągłym stoliku jadalnym w pokoju pielęgniarek na oddziale ratunkowym, kiedy profesor Sänger poprosiła personel o pozostawienie jej sam na sam z pacjentem.

Szefowa kliniki przyprowadziła tu Tilla po tym, jak omal nie doszło do szarpaniny w jego pokoju.

Till za żadną cenę nie chciał oddać telefonu, nawet pod groźbą kaftana bezpieczeństwa, a Sänger chciała uniknąć uspokajania pacjenta siłą, zapewne wobec jego żalosnego stanu fizycznego.

W końcu ustalili, że Till odda telefon, kiedy Sänger go zaprowadzi do telefonu stacjonarnego i pozwoli z niego zadzwonić.

Tylko z tego powodu poszedł za nią posłusznie, choć zboląły, do pokoju pielęgniarek, chyba jedyne pomieszczenia na oddziale, które wydawało się nieco mniej sterylne niż pokoje zabiegowe czy pokoje chorych. W opinii Sänger było to zapewne odpowiednie miejsce na poufną rozmowę. Ale Till nie miał głowy do środków budujących zaufanie i odmówił filiżanki kawy, a także kawałka ciasta, którym chciała go poczęstować szefowa kliniki. Jedyne, czego chciał, to była słuchawka stojąca w stacji dokującej tuż przed nim na stoliku. Ale

zanim Sanger mu ja dała, chciała najpierw, co zrozumiała, usłyszeć odpowiedź na kilka pytań.

– Tak. Nie jestem Patrickiem Winterem. To tylko kamuflaż. Nie jestem więc teŹ matematykiem od ubezpieczeń, tylko strażakiem.

Jeśli szefowa kliniki była zaskoczona, to nie dała tego po sobie poznać. Zapewne ukrywała zdumienie za profesjonalną maskę psychiatri, którą sobie przyswoiła do skomplikowanych rozmów z pacjentami.

– Po co przybrał pan inne nazwisko?

Starając się unikać jej wzroku, przyglądał się urządzeniu pokoju pielęgniarek. Personel zadał sobie widoczny trud, Źeby nieco ożywić sztywną atmosferę szpitala bujnym ogrodem pełnym roślin. Na parapecie duŹego okna stało tyle palm i kaktusów, Źe prawie nie było widać krat za nimi.

– Nie tylko inne nazwisko – odpowiedział wreszcie na pytanie Sanger. – Przyjąłem kompletną toŹsamość Patricka Wintera.

– Po co?

– Proszę, wyjaśnię pani wszystko, kiedy porozmawiam z moją żoną.

O ile przedtem próbował najpierw dzwonić do Skanii, to teraz zrozumiał, Źe przyjął niewłaściwą kolejność.

Przede wszystkim to Ricarda musiała się dowiedzieć, co odkrył. I Źe jeszcze jest szansa. Jeśli zdoła sprawić, Źeby udzieliła jej się iskra nadziei, to jego żona jak lwica będzie walczyć razem z nim o dojsćie do prawdy. Nie wspominając o tym, Źe jako matka miała prawo pierwsza dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczyło Maksa, i to z jego ust.

Sanger stłumiła westchnienie.

– Jeśli nie jest pan Patrickiem Winterem, to nie mamy danych

kontaktowych pana żony w naszej dokumentacji.

– Ja znam jej numer na pamięć. Bardzo panią proszę! Niech pani spróbuje!

Till podał jej cyfry.

Ku jego zdumieniu rzeczywiście to zrobiła. Sięgnęła po telefon i wystukała numer. Till słyszał, jak sygnał odzywa się cztery razy, a potem na chwilę serce w nim zamarło, bo połączenie rzeczywiście zostało nawiązane.

Przecież wiedziałem. Tramnitz musiał grzebać przy komórce.

Przez telefon stacjonarny kliniki udało się dodzwonić do Ricardy.

– Halo? Tu profesor Sänger z kliniki Stein, dzień dobry. Siedzi przede mną pani mąż. Chce z panią mówić. Tak, tak, wiem. Przepraszam.

Za co ona przeprasza?

Kiedy jeszcze dziwił się przeprosinom szefowej kliniki, ona podała mu słuchawkę.

Till chrząknął. Przełykając, czuł coś gorzkiego.

– Halo?

Cisza.

Till zamknął oczy. Żeby nie widzieć Sänger, pokoju pielęgniarek i całej kliniki. Skoncentrował się na najważniejszej rozmowie telefonicznej w swoim życiu.

– Halo, skarbie, to ja.

– Wiem.

Głos Ricardy brzmiał lękliwie, co było zrozumiałe wobec faktu, że właśnie połączyła ją z mężem szefowa zakładu dla nerwowo chorych.

– Nic się nie martw, wszystko dobrze, ze mną wszystko w porządku.

Znowu cisza. Zdawało się, że Ricardzie odebrało głos, i to też było

zrozumiały.

– Ja, ja nie wiem, od czego zacząć. Wiem, że to, co ci teraz powiem, zabrzmie po wariacku. Ja też prawie nie mogę w to uwierzyć. Szczerze mówiąc, ja tylko po prostu chciałbym w to wierzyć.

– Nie rozumiem...

– Wiem, ja też nie – przerwał żonie, której głos brzmiał ochryple. – Nie mam pojęcia, jak to ogólnie ująć, więc powiem wprost: udało mi się. Nawiązałem kontakt z Tramnitzem.

– Tramnitzem? Tym mordercą?

– No właśnie. Tak jak ci obiecałem. A on mówi... – Till zacisnął powieki jeszcze mocniej, ale nie mógł przeszkodzić pojedynczym łzom, które mimo wszystko znalazły sobie ujście i płynęły mu po policzkach.

– On mówi, że nasz syn może jeszcze żyć.

Ricarda westchnęła.

– Błagam...

– Wiem, co myślisz. To nieprawdopodobne... ale...

– Dlaczego?

Wypowiedziała tylko to jedno słowo, ale to wystarczyło, żeby zbić Tilla z tropu. Otworzył oczy i zamrugął.

Nie chodziło o to, co ona powiedziała. Tylko jak to zrobiła.

Dlaczego?

Tak zimno. Agresywnie. Prawie z nienawiścią.

– Co proszę?

– Dlaczego to robisz? – spytała z tym samym chłodem w głosie.

Till zaczął się jękać.

– Ja, ja chcę mieć pewność, skarbie. Przecież o tym rozmawialiśmy. Ty też tego chciałaś.

Chciałaś nawet, żebym mu zadał cierpienie.

Kolejne westchnienie, tym razem mniej udęczone. Bardziej poirytowane. Gniewne.

– Posłuchaj. Ja już to powiedziałam pani profesor Säger. Nie zniosę tego dłużej. Przestań!

– Mam przestać?

– Tak. Zostaw mnie w spokoju. Zostaw nas w spokoju. I nigdy, nigdy więcej nie dzwoń do mnie, Patrick.

Potem stała się rzecz najstraszniejsza. Przerwała połączenie. Nastąpił krótki trzask, co dla Tilla było równoznaczne z odgłosem zamykających się drzwi więzienia. Ricarda przerwała z nim połączenie z jakiegoś powodu, którego nie rozumiał, tak samo jak tego, dlaczego powiedziała do niego „Patrick”.

Dlaczego nazwała mnie moim fałszywym imieniem?

– Czy chciałby mi pan coś powiedzieć?

Till podniósł wzrok. Na chwilę zapomniał, że nie jest sam i że kobieta, którą wskutek łez widział jak przez mgłę, żąda dowodów na poparcie jego twierdzeń. Dowodów, których nie mógł przedstawić.

– Ja jestem Till Berkhoff – powiedział z uporem, jak małe dziecko, które na pytanie „dlaczego” odpowiada „dlatego”.

– Pana żona temu zaprzecza – skostatowała sucho Säger. – Powiedziała mi, że nazywa się pan Patrick Winter.

„I nigdy, nigdy więcej nie dzwoń do mnie, Patrick”.

– To moje fałszywe nazwisko. Proszę posłuchać. Ja, ja nie wiem, co tu się dzieje. Ale jestem zdrowy. Dałem się tu przywieźć, tylko udając chorego.

– Po co miałby pan to robić?

– Bo chciałem się zbliżyć do mordercy mojego syna.

– A jak się nazywa pana syn?

– Cóż to znowu za głupie pytanie. Maks. Nie czyta pani gazet? Maks został uprowadzony rok temu.

– Maks Berkhoff?

– No właśnie. Dlaczego mówi pani o tym tak, jakbym opowiadał o latających talerzach? Wie pani przecież, dlaczego Guido Tramnitz tu siedzi.

– Jest tu leczony – poprawiła go, jakby to była jakaś różnica. Zamknięty to zamknięty, a mordercy dzieci nie da się wyleczyć.

– On zamordował nie tylko tych dwoje dzieci, do których morderstwa się przyznał. On uprowadził, torturował i zamordował także mojego syna.

Czy na pewno?

– Ale on milczy.

– A pan chce mieć pewność?

– No jasne. Który ojciec by tego nie pragnął?

„I nigdy, nigdy więcej nie dzwoń do mnie, Patrick”.

– Czyli dał się tu pan przemycić, pozorując chorobę?

– Kiedy usłyszałem, że Tramnitz prowadzi pamiętnik, zrodził się ten pomysł, tak było. I wie pani co? On go naprawdę prowadzi. Mogę dowieść, że on ma Maksa na sumieniu.

– Z pomocą pamiętnika?

– No właśnie. Musi pani przeszukać jego pokój. W jego nocnym stoliku jest tajna skrytka.

A raczej była. Ja ją zniszczyłem.

– Tajna skrytka?

Znowu w jej głosie odezwał się ten ton, który sprawiał, że pytanie Sängera zabrzmiało tak, jakby rozmawiała z małym dzieckiem albo

kimś mającym urojenia.

O Boże, to, co mówię, rzeczywiście brzmi jak mowa wariata.

– W porządku, wiem, że pani mi nie wierzy. Mogę to zrozumieć. Też bym nie wierzył na pani miejscu. Ale mój szwagier może zaświadczyć. Jest policjantem. To on mi załatwił tożsamość Patricka Wintera i mnie tu przemycił.

Sänger zrobiła głęboki oddech jak ktoś, kto chce się sam uspokoić.

– Jak on się nazywa?

– Oliver Skania.

– Czy jego numer też zna pan na pamięć?

Till musiał zaprzeczyć.

– Ale on pracuje w Rewirze 44. Niech pani zatelefonuje do komisariatu w Tempelhof, numer jest w każdym wykazie online. Niech pani zapyta o Olivera Skanię.

Sänger pokręciła głową, ale powiedziała:

– Niech pan to lepiej zrobi sam. – Podała mu słuchawkę po raz drugi i ostatni. Tym razem nastawiła ją na tryb głośnomówiący.

Halo, mówi Till Berkhoff. Chciałbym rozmawiać z Oliverem Skanią.

– W jakiej sprawie?

– Prywatnej. Komisarz Skania jest moim szwagrem.

– Chwileczkę.

Rzeczowy kobiecy głos w centrali zastąpiła zwyczajowa muzyka umilająca czas oczekiwania, aż wreszcie odezwał się starszy mężczyzna, w którego głosie brzmiało zniecierpliwienie. Nie przedstawiając się, przeszedł od razu do rzeczy.

– Halo? Chce pan mówić z komisarzem Skanią?

– Tak.

– On tu już nie pracuje.

Och.

A niech to szlag. Czyżby wyleciał za to, że mi pomógł?

– Słucham, że co?

Dopiero słysząc to pytanie, Till zorientował się, że pewnie musiał wypowiedzieć swoją obawę na głos.

– W czym Skania panu pomógł?

– Nieważne – powiedział Till, złoszcząc się na swój długi język.

Logiczne, że policjant teraz nabierze podejrzeń i zacznie zadawać

dalsze pytania, jak na przykład:

– Jak pan mówił? Że jak się pan nazywa?

– Patrick... eee... Till Berkhoff. Proszę pana, ja muszę pilnie rozmawiać z moim szwagrem. Czy zostawił swój numer?

– Oliver jest pana szwagrem?

– Tak.

– I nic pan nie wie?

Głos policjanta zabrzmiał jeszcze bardziej podejrzliwie. W tle słychać było dzwonki innych telefonów. Głosy, klekot klawiatury. Urozmaicony podkład dźwiękowy dużego biura.

– Czego nie wiem?

– Niech mi pan da lekarza – zażądał policjant.

– Co proszę?

– W czasie rozmowy sprawdziłem, z jakiego numeru pan tu dzwoni. Jest pan w klinice psychiatrycznej. Czy w pobliżu jest jakiś lekarz?

Till spojrzał na Sänger, która wzięła od niego słuchawkę, wyłączyła tryb głośnomówiący i przedstawiła się policjantowi jako szefowa kliniki Stein.

– Przepraszam, jeśli panu przeszkadziliśmy. Ta rozmowa była konieczna ze względów terapeutycznych, zadzwonię do pana później i wyjaśnię wszystko dokładnie.

Konieczna?

Ze względów terapeutycznych?

Till rozejrzał się w pokoju pielęgniarek. Jego wzrok wędrował po prywatnych przedmiotach personelu – brzuchatej filizance do kawy, pocztówkach na lodówce, pantoflach na zmianę pod kaloryferem – i zatrzymał się na roślinach pod okratowanymi oknami. I naraz był w nim już tylko strach.

Strach, że zostanie tu zamknięty na zawsze. Że nigdy nie dowie się prawdy o Maksie.

Spojrzał znowu na profesor Säger, która rozmawiając teraz przez telefon, położyła sobie dłoń na karku.

O Boże, ona mi nie wierzy. Ona mnie rzeczywiście uważa za Patricka Wintera.

– Wszystko jasne, rozumiem. To się więcej nie powtórzy.

Profesor Säger zakończyła rozmowę i podniosła się.

– Chwileczkę, musi mnie pani wysłuchać – powiedział Till, także wstając.

– Naturalnie. Wysłucham. Jutro będziemy mieli długie posiedzenie, jeśli pozwoli na to pańskie zdrowie.

– Nie. Nie jutro. – Uderzył pięścią w stół. – Teraz! Nie rozumie pani. To, to jest...

– Spisek? – wyjęła mu z ust to słowo, które jeszcze bardziej zmniejszyło jego wiarygodność.

– Ja nie wiem, co tu się dzieje. Musimy skontaktować się z moim szwagrem, on pani wszystko wyjaśni.

– No, po tym, co usłyszałam właśnie od tego policjanta, to raczej nie sądzę.

Till znowu spojrzał ku kratom, potem z powrotem na lekarkę.

– A co on powiedział? – zapytał.

– Chce pan naprawdę to wiedzieć?

– Naturalnie.

– Oliver Skania nie żyje.

Gardło Tilla wyszło w jednej chwili, jakby połknął rozżarzony pręt.

– Nie żyje? – wychrypiał.

– Tak. Został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu, kiedy nie

przyszedł na służbę. Wszystko wskazuje na to, że odebrał sobie życie.

Nie dali mu środków uspokajających. Nie potrzeba było zastrzyku ani kaftana, nawet pielęgniarz nie musiał go prowadzić do pokoju chorych. Till był spokojny. Na zewnątrz. Bo wewnątrz miał chęć rozwalić wszystko w pokoju pielęgniarek w drobny mak. Wyrwać lodówkę z mocowania i przewrócić, cisnąć tablicą z poprzypinanymi do niej idiotycznymi widokówkami z urlopów w drugi kąt pokoju. Chciał wziąć jedną z roślin, najlepiej ten kaktus z długimi kolcami, przejechać nim profesor Sängner po jej fałszywie zatroskanej twarzy, a potem z wraskiem wypaść na korytarz, gdzie na pewno czekał już na niego Simon albo inny pielęgniarz. Powstrzymało go bynajmniej nie jakieś właściwe mu opanowanie, rozsądek czy zrozumienie bezsensowności takiego zachowania, tylko po prostu bezdenne wyczerpanie.

Było mu niedobrze, w głowie mu dudniło jak człowiekowi, który umiera z pragnienia. Oczy mu łzawiły, każdy krok w drodze powrotnej do pokoju, którą pokonywał podtrzymywany przez profesor Sängner, był dla niego nieskończenie wielkim wysiłkiem.

Nawet jego myśli płynęły jak gęsty śluz i w zasadzie krążyły tylko wokół jednego jedyne pytania:

Co tu się dzieje?

Ricarda się go zaparła. *Skania... nie żyje?*

To wszystko nie miało sensu. Przecież nie dalej jak wczoraj dzwonił do niego. A poza tym on nie był z tych, co odbierają sobie życie.

Chociaż z drugiej strony, czy takich można w ogóle po czymś poznać?

Czy nie jest tak, że każdy człowiek w pewnym momencie pęka? Zapiera się siebie, robi sobie krzywdę, uszkadza?

Daje się zamknąć w domu wariatów?

Jedyne, co było ponad wszelką wątpliwość rzeczywiste, to jego położenie: sam się wmanewrował do więzienia, z którego nie było ucieczki. I w którym dla personelu wydawał się tym bardziej szalony, z im większym uporem obstawał przy prawdzie.

Wynik był jednoznaczny: Till znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Nie rozumiał tylko dlaczego.

Jaki plan krył się za tym spiskiem? Kto mógł mieć jakiś interes w tym, żeby spalić za nim wszystkie mosty i zamknąć go tu na zawsze?

Kiedy szukał odpowiedzi, narzuciło mu się nagle pytanie, które go prawie pozbawiło rozumu: czy Tramnitz mógł powiedzieć prawdę? Może gdzieś tam Maks rzeczywiście jeszcze był przy życiu, płakał, oddychał, cierpiał?

I kto oprócz Tramnitza jeszcze o tym wie?

Może ci ludzie, którzy się go wyparli, ignorowali i zostawili w tym piekle, do którego trafił z własnego wyboru?

Kiedy profesor Sängler odstawiła go z powrotem do łóżka, wziął dobrowolnie środek przeciwbólowy i nasenny i zapadł się w czarną dziurę bez snów, z której wielokrotnie podrywał się z przerażeniem.

Tak często, że miał wrażenie, iż prawie nie zmrużył oka, a tymczasem minęło już południe następnego dnia, kiedy zapaliło się światło u sufitu i do pokoju weszły dwie osoby.

– Seda? – spytał Till, czując suchość w gardle. Najpierw zobaczył wózek biblioteczny. Oczy miał sklezione ze snu, jakby miał ciężkie zapalenie spojówek. Dlatego też nie zauważył drugiej osoby, która teraz zamiast Sedy udzieliła odpowiedzi, zamykając drzwi pokoju.

– Nie mamy wiele czasu.

Till uniósł się na łóżku i znalazł potwierdzenie swojego przypuszczenia. Seda przyszła w towarzystwie Simona.

– Czego chcecie? – spytał głosem obcym dla niego samego. Może resztki środka nasennego były przyczyną, że czuł, jakby język spuchł mu do podwójnych rozmiarów. Ale może po prostu tylko musiał pilnie się czegoś napić.

Jakby czytając w jego myślach, Simon powiedział:

– Przyniosłem panu wody.

Mówiąc te słowa, czarnoskóry pielęgniarz podniósł do góry pięciolitrowy baniak.

Przecież wystarczyłaby jedna butelka, zdziwił się Till.

Potem zobaczył, jak Simon nerwowo spogląda na zegarek i wreszcie sytuacja ostatecznie stała się surrealistyczna, kiedy Seda powiedziała szeptem:

– Potrzebuję twojej pomocy.

Ja śnię. Jeszcze się nie obudziłem.

Ale Till wcale nie był tego pewien, bo jego zmysły były dziwnie wyostrzone, co w jego śnie się nie zdarzało. Słyszał skrzypienie kółek, kiedy Seda przysunęła wózek biblioteczny jeszcze trochę bliżej do łóżka Tilla. Czuł jej dyskretne perfumy kwiatowe. Widział czerwone

żyłki na białkach jej ciemnych, smutnych oczu.

– Ja mam pomóc?

Gdyby Till nie obawiał się nowego wybuchu bólu głowy, który tlił się właśnie z małą intensywnością, parsknąłby śmiechem. Trudno o większy absurd. Oto leżał tutaj, zamknięty i ranny, niezdolny sam się wyzwolić ze swojego położenia, a ta filigranowa kobieta o bladej, prawie porcelanowo kruchej twarzy akurat jego prosi o pomoc.

– Proszę, czas ucieka – zabrał znowu głos Simon. – Za kilka godzin zaczyna się przenoszenie, więc dlatego...

– Chwileczkę. – Till oderwał wzrok od Sedy i popatrzył na Simona. – Jakie znowu przenoszenie?

Pielęgniarz pokazał okno, które wydawało się zasłonięte, a tymczasem to ponura pogoda na zewnątrz sprawiała, że wzrok nie mógł go przeniknąć.

– Przez ten potop pękło kilka rur wodociągowych, co pogorszyło zaopatrzenie oddziału ratunkowego.

A więc to dlatego ten baniak.

– Jeszcze próbujemy się ratować naszymi zapasami. Ale nie można brać prysznic, a spłuczki da się uruchomić tylko jeden raz, a potem trzeba je dopełniać ręcznie. Stan nie do przyjęcia, toteż musimy rozdzielić pacjentów na inne szpitale.

– To gdzie mnie wyślą? – spytał Till, kiedy Seda wzięła bezużytecznego już Jamesa Joyce’a z nocnego stolika, żeby go odłożyć na wózek biblioteczny.

– Pana? – spytał Simon. – Nigdzie. Pana stan nie jest tak krytyczny, żebyśmy nie mogli leczyć pana na oddziale III. W zasadzie potrzebuje pan tylko łóżka i środków przeciwbólowych. A zanim da się znowu korzystać z pryszniców, musi panu wystarczyć, że się pan trochę

ochłapie.

– Ale Tramnitz?

Till zamknął na chwilę oczy. Nie chciał słyszeć odpowiedzi.

– Zostanie przeniesiony, no właśnie.

Nie, nie. To nie może... Nie może się stać.

– Ale dlaczego? – zaprotestował. – On czuje się świetnie.

W przeciwieństwie do mnie.

– Nawet miałem z nim dłuższą rozmowę.

– Właśnie dlatego tu jestem, Patrick – powiedziała Seda i to, że nazwała go fałszywym imieniem jeszcze wzmogło jego rozpacz.

– Nie nazywaj mnie tak.

Odsunęła kruczoczarny kosmyk włosów za ucho i powiedziała:

– Dobrze, jak chcesz. Ale możemy mówić otwarcie. Wreszcie zebrałam się na odwagę i powiedziałam prawdę Simonowi. Powiedziałam mu, że ty też byłeś w pokoju, kiedy byłam u Tramnitza.

– I co?

Seda przełknęła ślinę.

– Czy zaświadczyłbyś o tym?

– Że pracujesz tu jako prostytutka?

– Tak. I nie tylko to... – Spojrzała zawstydzona na podłogę. – Miałam nadzieję, że możesz potwierdzić, że nie robię tego dobrowolnie.

Seda wyglądała naraz na zupełnie zagubioną, jakby nie tylko jej ubranie, ale cały pokój nabrał większych rozmiarów. Jej mysioszary sweter ze wzorem w warkocze wisiał na niej jak peleryna, a przy silnym czarnym pielęgniarzu wydawała się słabowitą laleczką, dla której już mówienie jest olbrzymim wysiłkiem.

Till miał nagle wrażenie, jakby ją znał dużo dłużej niż tylko przez tych kilka dni od przywiezienia do zakładu, kiedy przecież zamienił

z nią tylko kilka słów. Ogarnęło go głębokie współczucie i powiedział łagodnie:

– Ja wiem, co Kasov z tobą robi.

Seda kiwnęła głową, gdy Simon głośno wciągnął powietrze. Jego kości policzkowe wyraźnie zarysowały się pod skórą, kiedy z gniewem zacisnął zęby.

– Ty jesteś zupełnie zdrowa, Sedo. Kasov cię tu przemycił, żebyś wzięła udział w teście leków, za który każe sobie słono płacić.

Spojrzał na Simona, którego mina stężała.

– Przypuszczam, że i dla kliniki jest z tego jakiś pieniądz, więc mu niejedno uchodzi płazem, nie? Po prostu nie zauważają, że grozi pacjentom, zamyka ich razem z groźnymi brutalami albo zmusza cię do prostytucji dla własnych korzyści.

– To wszystko opowiedział panu Tramnitz? – spytał Simon.

– Tak. On jest ważnym świadkiem. Nie powinniście dać mu wyjechać. Pod żadnym pozorem.

– Mamy związane ręce. Jego adwokat domaga się przeniesienia z powodu „warunków nie do przyjęcia” i rzeczywiście ma prawo po swojej stronie. Zwłaszcza że Tramnitz z jakiegoś powodu odniósł obrażenia głowy i palców, czy pan przypadkiem nie może nam tego wyjaśnić?

Ostatnich słów Simona Till wcale nie słuchał. Za bardzo był zaprzątnięty własnymi myślami.

Boże jedyny.

Nie dość, że był tu zamknięty, to teraz groziło mu jeszcze, że zniknie jedyna przyczyna jego aktualnie już przymusowego pobytu tutaj. A gdyby Tramnitz kiedykolwiek miał tu wrócić, to będzie umieszczony na oddziale pod specjalnym nadzorem i niedostępny dla niego.

Simon westchnął.

– Właśnie u niego byliśmy. Seda przedstawiła mu wprost swoje zarzuty wobec Kasova, ale Tramnitz nie chciał ich potwierdzić, jak należało się spodziewać. Tylko się śmiał.

Cholera!

Till odrzucił kołdrę i chciał wstać z łóżka, choć nie wiedział właściwie po co. Rzeczywiście czuł się trochę lepiej.

Nie był już tak wyczerpany i wycieńczony jak poprzedniego wieczoru, a bóle były do zniesienia, ale z całą pewnością nie był w stanie zapobiec przeniesieniu Tramnitza.

– Niech pan nie wstaje – zwrócił się do niego Simon. – I niech pan zostawi sobie część wody. Jak nie da się inaczej, będzie pan musiał sam splukać nią toaletę. Ale bez obawy, niedługo ktoś do pana przyjdzie i zabierze pana z powrotem na oddział. Potem, może jutro rano, prosiłbym pana o powtórzenie zeznań jeszcze raz przed profesor Sängem. Halo? Panie Winter, czy pan to robi?

Till, który i te słowa odebrał jak w transie, chciał właśnie na nowo zaprotestować i wrzasnąć „Nie jestem żaden Patrick Winter!”, kiedy jego wzrok padł na wózek biblioteczny przy łóżku.

Seda odstawiła Jamesa Joyce’a z powrotem na miejsce, między dwa albumy w dużym formacie. Przy tym, jakby przez nieuwagę, jeden z tych dwóch tomów trochę się przesunął do przodu.

Till zamrugał.

Tom ten, w formacie zbliżonym do A4, był jedyną książką, która była do niego zwrócona nie grzbietem, tylko kartkami. I tylko dlatego mógł zauważyć, że między stronami tego dzieła przypominającego atlas znajduje się inna książka. Wąziutki tomik. Brązowy. Z czarną tasiemką do zamykania pamiętnika.

Till popatrzył na Sedę, dostrzegł w jej ciemnych oczach wiedzę i aprobatę, i gdy kiwnęła głową, spytał cicho:

– Czy na ten czas, kiedy jeszcze tu będę, mogę coś wypożyczyć?

Co tu się wyprawia? – Zdjęcie twarzy Kasova mogłoby być dobrą ilustracją w podręczniku, w rozdziale *Wczesne stadium wścieklizny*. Oczy wystąpiły mu z orbit, a mówiąc, toczył pianę z ust. Jego głos był jeszcze bardziej skrzypiący niż zwykle. – Co to wszystko, do ciężkiej cholery, ma znaczyć?

Tramnitz oderwał się od okna i westchnął teatralnie.

– Tak, ten brak wody może się dać we znaki, ale mnie przecież niedługo przenoszą.

Tak naprawdę spodziewał się nie Kasova, tylko Friedera, który jako lekarz prowadzący odpowiadał za przenoszenie pacjentów, kiedy tylko załatwione będą wszystkie formalności związane z przeprowadzką i przygotowane środki transportu.

– Ty sobie nie rób ze mnie jaj! – Kasov przeszedł w zdenerwowaniu na „ty” i dalej pieniał się z wściekłości. Tramnitz nie byłby zdziwiony, gdyby z uszu tej ptasiej twarzy poszedł czerwony dym.

– Wiesz, że mówię o Patricku Winterze. Miałeś się nim zająć. Dałem ci czas, żeby nikt nie przeszkadzał. A ty tak z niego korzystasz, że

dajesz mu się pobić?

Tramnitz sięgnął do lekko spuchniętego nosa, który razem z podbitym okiem pozostał mu po śmiechu wartej napaści Wintera. Potem obejrzał zawinięty już tymczasem palec. Plaster na łożysku paznokcia powodował swędzenie i to uczucie jakoś tak dziwnie mu się podobało.

– On jest trochę porywczy. I definitywnie ma hyzia. Na sto procent. Twierdzi teraz, że jest Tillem Berkhoffem. Ojcem Maksa.

– Mam to gdzieś. Gadaj lepiej, o czym konferowałeś z Simonem.

– Simonem?

– Tym czarnym wielkoludem. Widziałem go przedtem, jak wparował do ciebie razem z Sedą. Czego chciał?

Tramnitz udał, że musi się intensywnie zastanowić, zanim sobie przypomniał.

– Simon przyniósł mi wodę, a Seda chciała zabrać wypożyczone książki.

– Mówiłem, żebyś nie robił sobie jaj ze mnie. Czego oni chcieli?

– Zeznania.

Kasow zmarszczył brwi, co dało ten brzydki efekt wizualny, że jego nos się wydłużył i jeszcze bardziej przypominał dziób wrony.

– Jakiego zeznania?

– Nie byłoby cię tutaj, gdybyś się tego nie domyślał. Seda cię zakapowała. I ma świadka.

– Kogo?

– No kogóż by innego? On się ukrył w moim pokoju, kiedy ja dogadzałem tej dziwce.

Ordynator odruchowo sięgnął do szyi i próbował zamaskować niepokój pewnością w głosie.

– To niczego nie dowodzi.

– To nie. Ale niestety Winter podsłuchał naszą rozmowę.

Tramnitz cieszył się z tego nagłego pomysłu, który przyszedł mu do głowy. Naturalnie nie zdradziłby Kasowowi, że to on sam jest tym Judaszem, który wygadał Winterowi wszystko o machlojkach lekarza. Była o wiele lepsza możliwość, żeby go zaniepokoić.

– Jaką rozmowę?

Kasov połknął haczyk i Tramnitz musiał się hamować, żeby nie uśmiechnąć się złośliwie. Och, jak on lubił igrać ze strachem ludzi, a już najbardziej, kiedy chodziło o takiego dupka jak Kasov. *Chociaż...* Właściwie, to jeszcze bardziej lubił strach u miłych ludzi. Sięgał często o wiele głębiej.

– Na korytarzu. Tam, gdzie mi oferowałeś, że nie będę musiał płacić za kurwy i koks, jeśli z twojego polecenia załatwię Wintera.

– Jak, gdzie... to przecież zupełnie niemożliwe.

– Ja też nie mam pojęcia, gdzie on stał. Ale fakt jest faktem: on wszystko słyszał. Sam mi to powiedział. Później zakradł się do mojego pokoju i przyłapał mnie in flagranti z Sedą.

– Cholera. – Kasov zacisnął zęby.

– Dla ciebie tak. Dla mnie to zabawne – ej, co ty wyprawiasz?

Ordynator okrążył łóżko Tramnitza i zaczął gwałtownie otwierać szuflady nocnego stolika. Jedną po drugiej.

– O co znowu biega?

– Gdzie ona jest? – spytał Kasov i wywalił zawartość najniższej szuflady na łóżko. Ale także w tajnej skrytce nie znalazł tego, czego szukał.

– Co gdzie jest?

Zdarł poszwę z kołdry i zaczął ją wytrząsać, potem obmacał

poduszki, a wreszcie zajął się prześcieradłem.

– Odbiło ci? – spytał Tramnitz, ale kiedy lekarz odsunął suwak zamka błyskawicznego pokrowca na materacu, wiedział już, czego szuka. Bo właśnie tam, na podorędziu przy wezłowie, schował żyletkę.

– Myślałeś może, że cię stąd wypuszczę uzbrojonego? – spytał Kasov z triumfem, trzymając srebrzyste ostrze między kciukiem a palcem wskazującym.

Cholera.

– Poza tym ja, w przeciwieństwie do ciebie, wiem, jak się nią posłużyć. – Schował żyletkę do kieszeni fartucha na piersi i odwrócił się na pięcie.

Co on, do diabła, ma na myśli?

Tramnitz nie znał czegoś takiego jak złe przeczucia, tylko irytujące myśli, które powodowały lekkie, prawie niedostrzegalne swędzenie. Tak jak teraz.

– Co chcesz zrobić?! – zawołał Tramnitz za odchodzącym lekarzem.

– A cóżby innego? Idę do Wintera.

Cholera. To w ogóle nie pasuje do mojego planu.

– Po co?

Swędzenie się nasiliło.

Kasov zbliżył kartę z chipem do zamka drzwi.

W trakcie przygotowań do ewakuacji swoboda poruszania się w obrębie oddziału ratunkowego została mocno ograniczona, a drzwi można było otwierać już tylko od zewnątrz. Od środka był teraz konieczny klucz cyfrowy.

Wychodząc, Kasov nie spuszczał Tramnitza z oka dopóty, dopóki dokładnie nie zamknął drzwi za sobą. Przedtem jeszcze udzielił mu

odpowiedzi:

– Żeby załatwić to, co ty spartoliłeś.

Charakter pisma pasował do autora. Bez zawijasów, ale nie pedantyczny, sportowo zamaszysty. Wyraźny odcisk pozostawiony przez długopis na kremowym papierze świadczył o dynamicznej, pewnej siebie osobie. I ten charakter pisma wprowadzał w błąd, podobnie jak jego właściciel.

Gdyby Till nie znał prawdy, pomyślałby, że bezbłędne linijki pochodzą od młodego, wykształconego, inteligentnego człowieka, jakiegoś początkującego lekarza, inżyniera albo prawnika. Człowieka sukcesu w społeczeństwie. Nie zaś od sadystycznego seryjnego mordercy, który z upodobaniem torturował małe dzieci w inkubatorze własnej roboty.

Założę się, że do nikogo się nie dodzwoniłeś i nic nie wskórałeś, czytał Till w pamiętniku Tramnitza. Przekartkował go do ostatnich zapisanych stron, żeby zacząć od najświeższych notatek. Których jeszcze nie znał.

Rzeczywiście Tramnitzowi w tym krótkim czasie od wczoraj udało się jakimś sposobem napisać nowe okropności i przeszmurować mu

do pokoju przez Sedę. Żeby nie dać się znowu przyłapać in flagranti przez Sängera, Till zamknął się w łazience i usiadł na opuszczonej klapie sedesu z pamiętnikiem rozłożonym na kolanach.

Twoje telefony trafiły w pustkę. Twój znajomi albo wyparli się ciebie, albo już nie ma z nimi kontaktu. I teraz bezsilnie szukasz wyjścia po omacku i zastanawiasz się.. Dlaczego? Co się stało?

Wiesz co, Tillu, ojciec Maksa, prawie mi cię żal. Bo odpowiedź na to pytanie jest tak jasna, tak jednoznaczna, ale nie ja będę ci objaśniał twoje życie. Bo kiedy zrozumiesz, wszystko będzie jeszcze o wiele gorsze. To znaczy, dla ciebie.

Prawda, której szukasz, nie przyniesie ci ulgi. To będzie raczej jak diagnoza raka, bez której żyłoby się tak samo długo, tylko bez dręczącej wiedzy o powoli zakradającej się do naszego organizmu śmierci.

Ale nie chcę być taki, w końcu i tak nic z tego nie mam, że cierpisz. Miałbym z tego

dobłą zabawę tylko wtedy, gdybym mógł ci się przypatrywać przy cierpieniu, ale od teraz oddzieli nas wiele drzwi pod specjalnym nadzorem, a może nawet parę kilometrów w linii prostej, jeśli naprawdę mnie przeniosą.

A ja nie jestem gadułą. Nie mam ochoty każdemu podtykać mojej wiedzy pod nos. Wolę, żebyś sam znalazł odpowiedzi, których szukasz. W tym celu jednak, i to moja pierwsza rada dla ciebie, powinieneś najpierw zadać sobie właściwe pytania.

Nie: Gdzie jest Maks i co mu zrobili?

Tylko: Kto mógłby mieć interes w tym, żeby Maks się nie odnalazł?

W tym miejscu Till po raz pierwszy podniósł wzrok i przypatrzył się płytkom w łazience, jakby w szarych fugach na podłodze mógł znaleźć wyjaśnienie, dlaczego te słowa bardziej go wzburzyły niż poprzednie strony, na których ta bestia opisywała swoje spotkanie z Maksem.

Może dlatego, że były... prawdziwe? Dziwne, że nie przychodziło mu na myśl inne słowo, ale rzeczywiście miał wrażenie, że w słowach Tramnitza zawarta jest jakaś trudna do udowodnienia prawda. Zwłaszcza w wyznaniu, do którego przeszedł teraz.

Wszystko w życiu jest kwestią motywacji. Ja zabijam, bo tylko ekstremalne bodźce pozwalają mi w ogóle jeszcze poczuć, że jestem przy życiu. Kocham tzy, nie tylko w oczach ofiar, ale też w oczach ich rodzin. Dlatego przyznałem się do tych czynów. Bo chciałem poczuć ból rodziców, kiedy pełni nienawiści patrzyli na mnie na sali sądowej. O ile, rzecz jasna, byli jeszcze przy życiu, bo Miriam, mamę Laury, już przecież wyeliminowałem. Ale byłem przyjemnie poruszony, widząc, jak wstrząśnięci i zrozpaczeni byli pozostali krewni, kiedy prokurator szczegółowo opisywał moje działania. Ojcowie, matki, rodzeństwo... wszyscy chcieli mnie zabić, a w ich oczach tlił się szalony, niemal obłąkańczy ból, gdy dotarło do nich, że wnioszek o uznanie mnie za niepoczytalnego przeszedł i że zostanę zamknięty na zawsze, poza ich zasięgiem.

No cóż, ty się do mnie przebiteś, Tillu,

ojcze Maksa. Ale czy mogłem się spodziewać, że się tu spotkamy?

Dlaczego miałbym sobie zostawić twój ból i twoją rozpacz na później, na tak nieprawdopodobne spotkanie na oddziale ratunkowym kliniki Stein?

Dlaczego nie chciałem się przyznać?

Till zadrzał. Całe jego ciało pokryła gęsia skórka. Na skutek pytania wszystkich pytań.

Jakiego Till rzeczywiście jeszcze nigdy sobie nie zadał, choć przecież było tak oczywiste.

Dlaczego Tramnitz się nie przyznał?

Wszystko w życiu jest kwestią motywacji.

Till znowu podniósł wzrok. O ile w ostatnich dniach płakał, przeważnie z bólu, czasem też pod wpływem myśli o synu, to teraz oczy miał suche, przynajmniej w tej chwili. Nawet mruganie bolało. Jego powieki szorowały jak tarka po wyschniętych tęczówkach.

Dlaczego nie chciałem się przyznać?

Till wstał, zmoczył twarz wodą, przetarł oczy i napił się, ale nie

poczuł się lepiej. Nadal miał pragnienie i bolały go oczy, jakby chciały mu zasygnalizować, że powinien przerwać czytanie pamiętnika.

Ale Till naturalnie musiał je kontynuować, bo pojął, jak Tramnitz za pomocą niewielu słów zdołał do głębi nim wstrząsnąć.

Ten zbrodniarz wiedział, jak wkładać palce w rany swoich ofiar. Jak wielu psychopatów umiał czytać w dręczonych przez siebie ludziach jak w otwartej księdze. I rozumiał nadzieje, pragnienia i lęki swoich przeciwników być może lepiej niż psychoterapeuta, do którego mogliby się ewentualnie udać po pomoc.

Byłem taki ślepy, pomyślał Till i usiadł z powrotem. *Taki zaślepiony*.

Przez cały czas był pewien, że Tramnitz działał sam. Co odpowiedział Skania na pytanie, jaką mają pewność?

„Dotąd nasze przypuszczenia były pewne na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ale od godziny mamy pewność stuprocentową”.

Ani przez chwilę nie zaświtało Tillowi, że mogliby być jacyś współnicy.

I choć zaczęło w nim kiełkować nieokreślone, zupełnie absurdalne, bezsensowne, śmieszne, idiotyczne, a jednak nasuwające się samo z siebie podejrzenie, kto mógłby to być, to jednak wyparł wszelką myśl o tej osobie i czytał dalej, także w nadziei, że ostatnie linijki pamiętnika zaprzeczą jego straszному przypuszczeniu.

Dlaczego nie chciałem się przyznać?

Jeśli nie umiesz udzielić żadnej sensownej odpowiedzi na to pytanie, to wróć do punktu wyjścia moich rozważań:

Kto nie ma żadnego interesu w tym, żeby

Maks kiedykolwiek się odnalazł?

Ricarda.

Myśl przeszła przez jego głowę i Till uderzył się dłonią w usta, jakby mógł ją w ten sposób odepchnąć od siebie czy choćby tylko złagodzić.

Ona się mnie wyparła. Nazywa mnie moim fałszywym nazwiskiem, którego mogła się dowiedzieć tylko od Skanii. Który podobno popełnił samobójstwo!

Jego nozdrza wypełnił słodko-gorzki zapach, zapach własnego potu, żywionego lękiem, bólem i rozpaczą, a teraz doszła jeszcze ta zdrada, mimo że Till nie potrafił sobie wyobrazić żadnego powodu, najmniejszego uzasadnienia dla takiej potworności.

Fakt, były między nami napięcia. Za bardzo rozpuszczałem Maksa. Ona chciała mieć drugie dziecko.

Nawet w gazetach o tym pisali. W zestawieniu z wiedzą o jego porywczym, gwałtownym charakterze była to wybuchowa mieszanka informacyjna, którą pasły się brukowce: „Jaki związek wytrzyma coś takiego?” – zapytywał pewien tygodnik na stronie trzeciej. A potem dalej: „Czyżby małżeństwo rozpadło się jeszcze przed zaginięciem Maksa?”

Dziennikarka z rozkoszą wałkowała detale przyciągające żadną sensacji publikę: że Ricarda chciała mieć drugie dziecko, żeby Maks nie był jedynakiem. Że ojciec był nadmiernie skoncentrowany na swoim synu. Że pozwalał mu na wszystko. I że w ogóle jest do niego bardzo podobny.

Zbyt podobny?

Till wypuścił pamiętnik z rąk i ukrył w nich twarz.

Czy ona nienawidziła Maksa, bo przypominał jej mnie?

Im intensywniej myślał Till o swojej żonie, tym bardziej bladł jej obraz.

Tak, ona chciała mieć drugie dziecko. Tak, kłóciliśmy się. Ale czy ona naprawdę aż tak bardzo się mnie brzydziła, że zabrała mi Maksa, żeby mnie wpędzić w obłąd?

– Nie! – wychrypiał głośno i słowo to rozbrzmiało osobliwie głuchym echem w małej łazience pełnej o wiele zbyt jasnego światła, które z każdą chwilą wydawało się jaśniejsze. Robiło mu się coraz goręcej. Powoli zaczynał się czuć jak w saunie, którą ktoś nastawił na maksymalną temperaturę, żeby wszystko wewnątrz się zagotowało.

– To jakiś obłąd!

I nonsens. Ricarda nie jest zbrodniarką. A tym bardziej supergeniuszem, który ze zbrodniczą przenikliwością mógłby przewidzieć, że mąż będzie miał plan zostania pacjentem na niby.

A może Skania mnie do tego popchnął?

Till pokręcił głową w odpowiedzi na to zadane sobie pytanie.

Nie, jego szwagier odradzał mu to gwałtownie. Aż do ostatniej chwili.

A może była to interwencja paradoksalna? Tablica „Wstęp wzbroniony”, która naprowadziła na ten pomysł?

Ale jak to możliwe, że Skania nie żył? Nie wydawał się skłonny do depresji, raczej przeciwnie. Ktoś mający myśli samobójcze nie jest przecież w stanie przemycić fałszywego pacjenta do więzienia psychiatrycznego. *Chociaż, kto wie?*

Naturalnie, nigdy nie można zajrzeć do cudzej głowy, ale nie, *Skania nie zostawiłby mnie tu w zakładzie na pastwę losu!*

To wszystko w ogóle przestawało pasować do obrazu, z którego i tak

już niewiele więcej kształtów dałoby się wyczytać niż z bazgrołów rocznego dziecka. Till mógł sobie jeszcze od biedy wyobrazić w najbardziej obłądnych koszmarach sennych Ricardę jako zamieszaną w spisek. Ale jako porywaczkę własnego syna?

Która później pozbyłaby się jeszcze świadka w osobie Skanii? Własnego brata? A do tego zdołałaby upozorować jego samobójstwo? *Nie.* To było nie do pomyślenia.

I bez sensu. O wiele zbyt ryzykowne. Żaden początkujący sprawca nie zdołałby dokonać takiej zbrodni.

Maks, on, Skania.

Za dużo ofiar. Za dużo możliwości popełnienia błędu.

Tillowi przyszło do głowy, że wystarczyłoby mu zrobić test DNA, żeby dowieść, że nie jest Patrickiem Winterem. Wcześniej czy później uwierzą w jego zapewnienia.

A może jednak nie?

Inna straszna myśl zaplątała się w sieci jego hipotez.

A jeśli krąg spiskowców nie kończy się na klinice? Jeśli są tu dalsi wspólnicy?

I zastanawiał się dalej: *A co, jeśli spisek w ogóle ma swoje źródło w klinice Stein?*

Jeśli ten, kto naprawdę pociąga za sznurki, kto ma wpływ na procedurę przyjmowania przywiezionych, na przydział pokoi, opcje leczenia i kontakt z pacjentem, w rzeczywistości należy do personelu?

Kasov!

To było naturalnie pierwsze nazwisko, jakie mu przyszło na myśl. Ten lekarz groził mu od początku. Psychicznie i fizycznie. Otwarcie wyznał mu nienawiść i sprawił, że tylko z najwyższym trudem przeżył swoją pierwszą noc.

Till usiadł znowu, wyczerpany swoimi domysłami, które kręciły się w kółko i nie prowadziły do niczego. Pamiętnik drżał w jego rękach.

„Wpadasz w paranoję” – zdiagnozował samego siebie.

A potem przeczytał ostatni akapit, jaki napisał dla niego Tramnitz. Przeczytał go między innymi po to, żeby oderwać się od własnych obłąkanych rozmyślań.

Muszę w tym miejscu niestety powiedzieć, że nie byłem z tobą całkiem fair, Tillu, ojciec Maksa. Wszystko to są właściwe pytania. Na pewno. Ale przez samo tylko zastanawianie się nigdy nie wpadniesz na właściwe odpowiedzi. To podłe, wiem. Ale po prostu nie mogę być inny, niż jestem.

Co tam, naprawię to. Nasza umowa jest jeszcze aktualna.. Jeśli mnie stąd wyciągniesz, to zaprowadzę cię do prawdy. I do ciała Maksa. Tyle że bez gwarancji, że będzie jeszcze ciepłe.

Więc pospiesz się. Moje przeniesienie jest zapowiedziane na dzisiaj na 19.30. Czekam na ciebie dziesięć minut wcześniej, żebyśmy mogli w spokoju omówić szczegóły.

Till oderwał wzrok od terakoty w łazience i spojrzął odruchowo na przegub ręki, na którym rzecz jasna nie było zegarka, bo został mu odebrany przy przyjmowaniu do zakładu. Nie miał pojęcia, która godzina.

Pomijając już to, że i tak nie mógłby się teraz swobodnie poruszać po klinice, mogło już być dawno po czasie, w którym mógłby jeszcze posłuchać szalonego wezwania Tramnitza. Jego wzrok padł na dopisek.

PS. Aha, i jeszcze jedno. Drobnostka, żebyś wiedział, jak szczerze rozmawiałem z Maksem i jak bardzo mi w końcu zaufał.. hasło brzmi „kostka lodu,,.

Jeszcze nie dotarło do niego znaczenie tego zdania, kiedy przestraszył go odgłos przy drzwiach. Był cichy, niewiele głośniejszy niż przewracanie kartki, i gdyby w tej chwili nie wstrzymał właśnie

oddechu, to usłyszałyby go za późno.

Zamek w drzwiach obracał się. A dokładniej, gałka, którą można było zamknąć łazienkę od środka – prowizorycznie, ma się rozumieć, bo od zewnątrz naturalnie w każdej chwili można było otworzyć zamknięcie wkrętakiem albo monetą.

Ruch był powolny i dobrze nasmarowana blokada niczym wskazówka zegara przekręcała się bez skrzywienia i zgrzytania. Intruz chciał za wszelką cenę uniknąć zbyt wczesnego zwrócenia uwagi, co zmuszało Tilla do podjęcia ważkiej decyzji: Czy ma wstać, czyniąc większy hałas niż domniemany napastnik (no bo kto, jak nie napastnik, starałby się tak skrycie do niego wedrzeć?), czy też ma dalej siedzieć w oczekiwaniu, aż drzwi się przynajmniej uchylą, ryzykując w ten sposób, że potencjalny przeciwnik uzyska za dużą przewagę? Jakiegokolwiek miałyby zamiary.

Till zrobił to, co nasuwało się samo, na co jednak nie wpadł od razu w pierwszej sekundzie przestrachu – pewnie dlatego, że rozważania wywołane treścią pamiętnika Tramnitza spowolniły jego logiczne myślenie. Zachował się normalnie.

Spuścił wodę, której ostatnia porcja była jeszcze w zbiorniku spłuczki. Naturalnie, nie tracąc przy tym z oka zamka w drzwiach. Zbliżył się przy tym do drzwi, które, co poznał teraz po futrynie, musiały się otwierać na zewnątrz. Naturalnie.

Ta okoliczność uniemożliwiała Tillowi jakąkolwiek próbę zabarykadowania się wewnątrz. Ale zarazem otwierała przed nim inną szansę: mianowicie ucieczki do przodu. I to w najdosłowniejszym sensie.

Spłuczka umilkła. Jak należało się spodziewać, nagła cisza była znakiem dla napastnika, że musi się spieszyć. Rygiel obracał się

szybciej i już po chwili stało się: drzwi drgnęły. Zaraz zostaną otwarte, ale Till na to nie czekał. Ze wszystkich sił rzucił się do przodu. Całym ciężarem wypchnął drzwi na zewnątrz. I z pełnym impetem uderzył intruza wzmocnionym aluminium skrzydłem drzwi.

Till usłyszał chrupot, jakby pękał kawałek drewna, po czym nastąpił zduszony okrzyk, a później stracił równowagę. Przez rozwarte z impetem drzwi zatoczył się przed siebie i potknął o klęczącego na podłodze Kasova, który, jak miał nadzieję, oberwał w głowę i musiał mieć rozbity nos.

– Czego ode mnie chcesz?! – krzyknął Till do lekarza, kopiąc go w żołądek, co spowodowało, że tamten przewrócił się na bok.

– Załatwię cię! – wykrztusił Kasov, chociaż w tej chwili bynajmniej się na to nie zanosilo. Till był wprawdzie ranny, miał zabandażowaną głowę i rękę, a dzięki skutecznym środkom przeciwbólowym w krwiobiegu miał tylko ograniczoną zdolność poruszania się, do tego był boso i w szpitalnej koszuli. Ale chwilowo stał nad wrogiem, gotów go jeszcze raz walnąć pięścią, choćby miał sobie przy tym znowu połamać palce.

– Czego chcesz? Rozumiem, że tłuczysz szmal, handlując żywym towarem i fałszując badania kliniczne, ale czego chcesz ode mnie? Co ja ci zrobiłem?

Wcale nie miał zamiaru pluć na psychiatrę, ale dostał dosłownie piany na ustach z wściekłości.

– Czego ja chcę? – wydyszał Kasov. – Cholera, chcę, żebyś z tym skończył!

– Z czym?

– Nie udawaj, symulancie. Ostrzegałem cię. Ile razy jeszcze będziesz prowadził tę grę?

Kasov chciał się podnieść, ale Till dał mu w sposób niedwuznaczny do zrozumienia, że ma dalej leżeć na podłodze.

– Jaką znowu grę? – spytał go.

– O, ty dobry jesteś. Założę się, że można cię podłączyć do wykrywacza kłamstw, a wskazówka nawet nie drgnie.

– Nie wiem, o czym mówisz!

– Człowieku, skończ z tą grą!

– Z jaką znowu grą?! – wrzasnął Till jeszcze głośniej. Miał już po uszy tych zagadek, piętrzących się przed nim coraz wyżej i groźących pogrzebaniem go, kiedy wreszcie zawali się na niego wieża nierozwiązanych pytań. Ona już się chwieje.

– Ach, dobrze, naturalnie. Dla ciebie to przecież nie jest gra. Więc inaczej sformułuję moje pytanie: Ile razy jeszcze dasz się tu przywieźć?

Bum.

Wydawało się, jakby Till i Kasov zamienili się rolami. Jakby to lekarz walnął go drzwiami w łeb; a przecież to było tylko pytanie, choć o podobnym impecie.

Ile razy mam jeszcze...

– Co?

Kątem oka Till spostrzegł, że ręka Kasova sięga do kieszeni na piersiach w fartuchu.

– Ja już tu kiedyś raz byłem? – spytał osłupiały.

– Nie. – Kasov pokręcił głową. – Nie raz. Wiele razy.

– Ale... ale to nie ma sensu.

– Nie, nie ma. I dlatego muszę cię wreszcie zmusić do milczenia, skoro nikt inny dotąd tego nie zrobił.

Till wychwycił błysk. Światło zaślniło na metalowej skuwce

długopisu – a może na pęsecie? Że jest to żyletka, którą Kasow z niespodziewaną szybkością wydobył z kieszeni, Till uświadomił sobie dopiero wtedy, kiedy ostrze omal nie przejechało mu przez lewe oko, lekarz bowiem jak konik polny zerwał się z podłogi.

W ostatnim momencie Till zrobił unik głową. Usłyszał chrupnięcie w szyjnym kręgosłupie, poczuł klucie w czaszce i stracił równowagę.

A niech to szlag. Teraz tylko nie upaść, tylko nie upaść. Na podłodze będziesz łatwym łupem.

Ale nie był już w stanie sterować swoimi ruchami. I dlatego nie było zasługą jego obronnych odruchów, tylko czystym przypadkiem, że padając, podrzucił prawą nogę do góry i kopnął Kasova między nogi.

Ten padł razem z nim na podłogę, ale nie zerwał się z niej natychmiast, tylko wił się, dysząc na linoleum i tocząc pianę z ust.

Ręka, w której jeszcze przed chwilą trzymał żyletkę, przyciskała się teraz do jego krocza. Ostrze leżało zaledwie o kilka centymetrów od dużego palca u nogi Tilla. Ten ostatni miał wielką ochotę przyłożyć ją do gardła człowieka, który mu właśnie otwarcie powiedział w oczy, że chce go zabić. Ale ani nie miał predyspozycji po temu, ani czasu.

Ważniejsze, o wiele ważniejsze było uzyskanie wreszcie odpowiedzi. Przy czym na razie sprawą drugorzędną było, co Kasov miał na myśli, mówiąc, że Till był już tu wiele razy.

I dlaczego jego żona wyparła się siebie i jego. I czy oni wszyscy rzeczywiście prowadzili fałszywą grę.

Liczyła się tylko jedna jedyna odpowiedź na pytanie, które go tu w ogóle przywiodło:

Gdzie jest Maks? Co się z nim stało?

A tymczasem Till nabrał pewności, że o wiele szybciej znajdzie rozwiązanie zagadki na zewnątrz niż zamknięty tu w zakładzie, gdzie

najwidoczniej czyhają na niego niebezpieczeństwa, jakich nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie pojąć.

Ale może chory mózg to potrafi?

Na przykład Tramnitza?

Till zdawał sobie sprawę, że szukanie wyjścia z tej kliniki u boku mordercy jest szalonym pomysłem. Ale całe to przedsięwzięcie było takie od samego początku i bądź co bądź przynajmniej kierunek w tym planie był słuszny: Wyjść stąd. Znaleźć się daleko od Kasova, od Armina, od terapii nowotworowej, której nie potrzebował – wyjść na wolność.

Ku prawdzie?

Prawda, której szukasz, nie przyniesie ci ulgi.

Wszystko jedno, on musi się stąd wydostać. Jak najszybciej.

Z tych wszystkich względów zadowolili się walnięciem w i tak złamany nos Kasova i pozbawieniem go w ten sposób przytomności.

Potem pod wpływem nagłej inspiracji rozebrał lekarza do bielizny i włożył jego spodnie, koszulę i fartuch. O ile ciuchy były za duże i za długie jednocześnie, to zdrowotne obuwie pasowało jak ulał.

Z żyletką w ręku, którą podniósł z linoleum poplamionego krwią Kasova, obrócił się ku drzwiom.

Szarpnął za klamkę i przeszył go strach, kiedy stwierdził, że wyjście jest zamknięte.

Widocznie zmienili przepisy bezpieczeństwa!

Gorączkowo rozglądał się za jakimś czytelnikiem, ale nie widział

żadnego elektronicznego urządzenia na futrynie ani ścianie. *Chwała Bogu.*

Nigdy w życiu nie odgadłby właściwego kodu, zanim Kasov oprzytomnieje. Pewnie nawet trzema błędnymi próbami uruchomiłby alarm.

Lekarz za nim cicho jęknął, ale dalej się nie ruszał. Till obmacał fartuch, znalazł komórkę, której nie mógł odblokować, nie znając PIN-u, ale to było nieistotne wobec tego, że w kieszeni spodni lekarza była biała karta bez napisów do otwierania zamka.

Wyglądała jak elektroniczny klucz do pokoju w hotelu, miała wielkość wizytówki, była tylko trochę grubsza, z twardego plastiku.

I co teraz?

Po czole Tilla spod opatrunku spływał pot.

Gdzie przyłożyć tę kartę?

Nie było przecież żadnego czytnika, wyświetlacza ani szpary.

Kasov znowu jęknął, nawet lekko zakasłał, i to popchnęło Tilla, żeby po prostu spróbować wszystkiego. Najpierw przy samej klamce, potem przy zamku i już przy tej próbie rozległo się ciche klik.

Drzwi otworzyły się, ale wtedy rozległ się alarm. Nie bardzo głośny, ale denerwujący. Pisk jak z budzika. *A może z...*

Komórki?

Till wyciągnął źródło hałasu z kieszeni kitla, i ledwie nacisnął wyświetlacz smartfonu Kasova, dźwięk ucichł.

To tylko nieodebrane połączenie! Till omal się nie roześmiał.

Potem odczytał aktualny czas na wyświetlaczu i rzadki moment ulgi ustąpił miejsca świadomości, że jest już za późno.

Godzina 19.43.

Tramnitz został już przeniesiony. A wraz z nim ostatnie żdźbło

ratunku, którego uczepił się Till w absurdalnej nadziei, że znajdzie wspólnie z nim nie tylko wyjście z kliniki, ale i pewność co do losu swojego syna.

Korytarze były puste, pewnie ewakuacja oddziału ratunkowego była już zakończona. A dopóki Kasov się nie pozbiera i nie podniesie alarmu, to jeszcze przez chwilę będzie spokój. W tym momencie jedynym odgłosem, jaki dawał się słyszeć, było skrzypienie gumowych podeszew Tilla na wykładzinie korytarza. Nawet deszcz nie bił już w górne okienka. Jeszcze tylko w nieregularnych odstępach czasu odzywało się zwierzęce wycie wiatru przez szczeliny drzwi od windy.

Droga do jednoosobowego pokoju Tramnitza wydała się Tillowi o wiele krótsza niż ostatnim razem. Ale teraz bóle głowy nie były już tak silne i czuł się bardziej wypoczęty, mimo starcia z ordynatorem.

Jedynie, co go ciągnęło w dół jak ołowiany ciężar, to była myśl, że wszystkie wysiłki były daremne.

Kiedy dotarł do połączenia korytarzy, spojrział w prawo ku windom, gdzie ostatnio widział Tramnitza w rozmowie z Kasovem. Pospieszył w lewo, w kierunku pokoju pielęgniarek. Pamiętał, że drzwi do pokoju Tramnitza to pierwsze drzwi po lewej stronie. Tym razem nie było przed nimi wózka z książkami. Również Seda dawno zniknęła razem z Simonem.

Till czuł się samotny i opuszczony i przez chwilę naszła go myśl, że

może zapomnieli o nim i zostawili go samego na tym oddziale, z którego nawet mając w kieszeni kartę otwierającą drzwi, nie znajdzie żadnego wyjścia. Nikt po niego nie przyjdzie, a jego jedynym partnerem do rozmowy pozostanie ów lekarz, który z niezgłębionych powodów nastawał na jego życie.

Till otrząsnął się jak zmoczony pies i rzeczywiście ta czarna myśl straciła trochę ze swego fatalnego działania.

Odetchnął głęboko i otworzył drzwi pojedynki Tramnitza.

Po chwili miał chęć wymiotować ze wstydu i wstrętu do siebie.

† o ty jeszcze tu jesteś?

Tyle rzeczy nie zgadzało się w tym zdaniu i towarzyszących mu emocjach, które owładnęły Tillem. Już samo poufale „ty” było niestosowne, choć z drugiej strony Till nie wyobrażał sobie, że mógłby zwracać się per „pan” do mordercy swojego syna. Ale nie mieściło mu się też w głowie, że ucieszy się z jego obecności.

A jednak sprawiło mu ulgę, że sprawy najwyraźniej się opóźniły i że Tramnitza jeszcze nie przenieśli.

– Widać jesteś w czepku urodzony. – Psychopata, któremu wczoraj chyba jednak nie złamał nosa, bo był on tylko lekko spuchnięty skrzywił się w uśmiechu. Nie licząc opatrunku na szyi i lekkiej bladości, Tramnitz wydawał się rzeński i w formie. Nawet podbite oko prawie nie mąciło obrazu. Zdjął szpitalny strój i miał na sobie zapewne ciuchy, w których go tu przywieziono, obcisłą czarną koszulę podkreślającą muskulaturę i niebieskie designerskie dżinsy. Na nogach miał skórzane trzewiki z cholewką, ale bez sznurówek, robione na stare, ale noszone pewnie niewiele więcej niż dwa razy. Właśnie wkładał przeciwdeszczową kurtkę z neoprenu z futrzanym kołnierzem, w której wyglądał, jakby przygotowywał się do sesji

zdjęciowej do katalogu mody, a nie do transportu do kliniki dla chorych umyślowo seryjnych morderców.

– Czyli dotarła do ciebie jeszcze moja wiadomość.

Tramnitz popatrzył w okno, które było tak ciemne jak bulaj okrętu podwodnego w głębinie.

– Chyba były problemy z pompą, ale teraz most jest przejezdny. Może się zacząć w każdej chwili. Moja karetka już czeka.

Wyciągnął do Tilla rękę z zawiązanym palcem wskazującym i w pierwszej chwili Till pomyślał, że bestia rzeczywiście chce się z nim pożegnać, ale potem uświadomił sobie, że Tramnitz żąda czegoś innego.

– Proszę mój pamiętnik.

– Tak, jasne. – Till z niechęcią wręczył mu notesik, który oczywiście zabrał ze sobą.

– A więc udało ci się wyjść cało ze spotkania z Kasovem – stwierdził rzeczowo Tramnitz i wydawał się niezainteresowany dalszymi szczegółami. – Nieźle. Ale ten dupek to nie jest poważny przeciwnik. Jest o wiele za przewidywalny, nie sądzisz?

Zaskoczony Till obserwował, jak Tramnitz umieszcza między pierwszymi kartkami jakąś kopertę i wkłada pamiętnik do nocnego stolika. Poruszał się z takim spokojem, jakby miał nieskończenie dużo czasu.

– Co my tu robimy? – ponaglał Till. – Lada chwila Kasov podniesie alarm. A po ciebie zaraz przyjdą.

– No to co? – Tramnitz uśmiechnął się.

– Jak to co? Napisałeś mi, że mam do ciebie przyjść, żebyśmy omówili szczegóły.

– Właśnie. Szczegóły planu, który jak mam nadzieję przygotowałeś,

drogi Tillu, ojciec Maksa.

– Ja? – Pod Tillem ugięły się kolana. Najchętniej usiadłby na łożku, które Tramnitz zdążył jeszcze porządnie zasłać.

– Czy nie taki był stan rzeczy, kiedy się ostatnim razem rozstaliśmy? Wykonasz parę telefonów, wykorzystasz swoje znajomości i wyciągniesz nas stąd?

– Wiesz, że nic z tego nie wyszło. Nawet mi o tym napisałeś.

Tramnitz chwycił się za czoło z rozbawioną miną.

– Ach tak, prawda. Gdzie ja mam głowę. No, to w takim razie wszystkie twoje starania były na próżno. Bo nie mam zielonego pojęcia, jak miałbym to zorganizować, żeby mnie wsadzili razem z tobą do jednej karetki, z której potem byśmy wyskoczyli przy pełnej prędkości.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł jakiś człowiek.

– Coś mi wypadło, trzeba zaraz... – powiedział, ale nie dokończył zdania, spostrzegłszy, że Tramnitz nie jest sam w pokoju.

– Co tu się dzieje? – spytał i jeśli Till się nie mylił, w jego oczach zamigotał przeblask rozpoznania, tak jak i jemu się wydało, że go skądś zna. Był pod narkozą, kiedy chirurg go operował, ale znał tę twarz z prasy i telewizji. Ostatnio widział tego człowieka mającego upodobanie do różowych koszulek polo w reportażu o nagłej operacji Tramnitza. A teraz przypomniał też sobie jego nazwisko: Hartmut Frieder, samodzielny chirurg, który w razie potrzeby praktykował też w klinice Stein.

– Czego pan tu szuka? – spytał Frieder, z jedną ręką na klamce, sięgając drugą do kieszeni spodni po komórkę. – I dlaczego ma pan na sobie fartuch doktora Kasova?

Pokazał identyfikator z nazwiskiem, którego Till w zdenerwowaniu

jeszcze nie odpiął.

– Proszę posłuchać, zaraz to wszystko wyjaśnię – odezwał się Till pospiesznie, nie mając zielonego pojęcia, jak ma to zrobić.

Czy miał powiedzieć prawdę?

„Nazywam się Till Berkhoff, jestem ojcem chłopca, którego ta bestia uprowadziła i zapewne zamordowała, a ja dałem się tu umieścić, udając chorego. Fartuch sobie wypożyczyłem, żeby nie biegać tu w nocnej koszuli, a musiałem uciekać przed ordynatorem, którego zresztą powaliłem, bo chciał mnie zabić”.

Nawet obdarzony największą fantazją słuchacz miałby duże problemy, żeby w to uwierzyć. Jeszcze do tego pacjentowi z psychiatrii. A nawet gdyby, to co by to dało?

Jego celem było wydostanie się stąd. Razem z Tramnitzem, żeby ten mógł go zaprowadzić do Maksa. Jak to ujął przed chwilą tak trafnie ten psychopata?

„...nie mam zielonego pojęcia, jak miałbym to zorganizować, żeby mnie wsadzili razem z tobą do jednej karetki...”

Till czuł, że ze zdenerwowania kapie mu z nosa, co nie było niczym dziwnym wobec obrażeń głowy, których doznał. Może nawet krwawił? Szukał chustki do nosa, ale w ubraniu Kasova jej nie znalazł.

– Niech pan trzyma ręce na widoku – poprosił Frieder. – Pytam po raz ostatni: Co pan tu robi?

– No, powiedz mu. – Tramnitz roześmiał się. Stał przed łóżkiem i obserwował spotkanie tamtych dwóch z nieskrywaną ciekawością gapia patrzącego na wypadek na autostradzie.

– I powiedz mu, kim naprawdę jesteś – zachęcił go.

Jestem człowiekiem w rozpacz, pomyślał Till, a jego ręka objęła przedmiot, który wyciągnął z fartucha, szukając chustki do nosa.

– Jestem jego zakładnikiem – oznajmił, rzucając Tramnitzowi żyłkę, a potem stanął przed nim zwrócony do niego plecami, zanim Frieder zdołał zrobić choćby jeden krok.

– No proszę. Dobry plan – usłyszał Tramnitza, który z uśmiechem skorzystał z okazji i założył Tillowi chwyt policyjny, żeby przystawić mu żyłkę do tętnicy szyjnej.

† ramnitz wykręcił mu ramię do tyłu o wiele gwałtowniej, niż to było konieczne, a przecież Till jako dobrowolny zakładnik nie miał zamiaru się bronić. Ale ten sadysta zdawał się mieć dobrą zabawę, kiedy go tak trzymał pod pełną kontrolą. Till bał się ruszyć, bo groziło to wywichnięciem barku. Także ostrze na szyi naciskało skórę tak mocno, jakby Tramnitz naprawdę chciał ją przeciąć.

A może on chce to zrobić?

– Dobra, Frieder – usłyszał jego głos. – Mam nadzieję, że porządnie dałeś sobie w szyję, bo przed tym, co nas teraz czeka, łyk na wzmocnienie nie zaszkodzi.

– Co to za wygłupy? – spytał lekarz ze zdumiewającą pewnością siebie jak na kogoś, kto ma przed sobą uzbrojonego mordercę, który już nieraz dowiódł, że zabijanie jest dla niego w dosłownym sensie tego słowa dziecinną igraszką. A choć chirurg sam nie był bezpośrednio zagrożony śmiercią, to na pewno wiedział z zawodowej praktyki, jak niebezpieczne są rany cięte – o czym bardzo szybko on sam także może się przekonać, jeśli Tramnitz zechce zmienić ofiarę.

– W windzie czeka dwóch pielęgniarzy z paralizatorami i gazem pieprzowym. Daleko pan nie zajdzie, Tramnitz.

Tilla zastanowiło, dlaczego w takim razie nie towarzyszyli Friederowi do pokoju, ale naturalnie chirurg mógł się nie liczyć z takim obrotem sprawy, a przede wszystkim z tym, że jego pacjent będzie uzbrojony.

Tramnitz na chwilę odsunął żyłkę od szyi Tilla i wskazał nią komórkę Friedera.

– Niech pan zatelefonuje do tych swoich owczarków i powie im, że mają spadać.

– Jak nie, to pan go zabije? – Frieder pokazał Tilla, który tymczasem wspinał się na palcach, żeby złagodzić ból w stawie barkowym.

– Ehe, dam mu się wykrwawić. A że ja mam całkiem dobry bieżnik na butach, to się nie pośliznę, ale pan na tych swoich głupich żeglarskich łapciach wyłoży się w czerwonej zupie na pysk. I zanim zdąży pan powiedzieć: „Proszę dżin z tonikiem”, otworzę panu tętnice udowe.

Tramnitz mówił teraz szybciej, z większym podnieceniem, najwyraźniej fabryka jego perwersyjnych fantazji pracowała na pełnych obrotach.

– Tak, a potem zagram w gumy, używając pana flaków, czemu pan będzie się przyglądał. I co pan na to?

Frieder przełknął ślinę. Wszelka pewność siebie znikła z jego nalanej twarzy sytego mieszcza. Teraz wyglądał jak zbity pies, który najchętniej wpełzłby pod ławkę.

Sięgnął po swoją komórkę. Nacisnął jeden klawisz i powiedział:

– Chciałbym zjechać windą sam z Tramnitzem.

Przerwa. Frieder przewrócił oczami i podniósł głos.

– Wiem, że to jest sprzeczne z regulaminem, ale... – westchnął – ... ale on wziął zakładnika. Nie, nie mnie. W każdym razie nie

bezpośrednio. To jeden pacjent. Chyba Patrick Winter.

Tramnitz kręcił głową, może też posyłał surowe spojrzenia w stronę Friedera, czego Till nie mógł widzieć, w każdym razie samą swoją mową ciała zdołał skłonić chirurga do uprzytomnienia rozmówcy, że sytuacja jest nagląca.

– Tramnitz jest uzbrojony. On zabije pacjenta i mnie też, jeśli się nie wycofacie.

– Powiedz im, że teraz wychodzimy – warknął Tramnitz. – Nie chcę widzieć żadnego z nich. Ani przy windzie, ani na dole przy karetcie. Inaczej zacznie się jatka, o której będą mówić jeszcze za dwadzieścia lat.

Frieder wykonał polecenie, podczas gdy psychopata popychał Tilla w kierunku wyjścia. Lekarz zakończył rozmowę i nie czekając na kolejne ponaglenie, otworzył swoją kartą drzwi pokoju chorych i wyszedł na korytarz.

– Tylko bez głupich sztuczek – szepnął Tramnitz groźnie, popychając Tilla przed sobą, chociaż ten przecież i tak nie miał innego wyboru, jak wyjść z nim z pokoju, jeśli nie chciał mieć uszkodzonego stawu łokciowego albo barkowego.

Na zewnątrz Tramnitz odwrócił go w kierunku wind.

Pusto.

Korytarz był rzeczywiście opustoszały. Żadnego personelu przy windach. Żadnych uzbrojonych posiłków. Nikogo, kto chciałby przyjść zakładnikom z pomocą.

– No, jazda, jazda, nie będziemy tu sterczeć cały dzień.

Ruszyli naprzód.

– Nic z tego nie będzie – powiedział Frieder, kiedy otworzyły się drzwi windy. Widocznie czekała już na ich piętrze.

– Ależ będzie. Przecież mamy twoje oczy i twoje karty z chipem.

Tramnitz kazał Friederowi podstawić twarz przed kamerę obok panelu z guzikami pięt, żeby skaner tęczówki mógł potwierdzić uprawnienie dostępu.

Dziwne uczucie naszło Tilla, każąc mu na moment zapomnieć o bólu w wykręconej ręce.

Co ja takiego przeoczyłem?

– Gdzie stoi karetki? – spytał Tramnitz.

– Właśnie o tym mówię – odparł chirurg. – Oni pana obezwładnią, ledwie otworzą się drzwi windy. Karetki stoi na podjeździe. Żeby się do niej dostać, musimy się znaleźć na półpiętrze, a tam mało widać. Doskonała okazja, żeby wyeliminować pana od tyłu.

Tramnitz uśmiechnął się, co Till mógł dostrzec kątem oka w lustrzanych chromowanych ściankach windy, której drzwi się tymczasem zamknęły.

– Dlatego nie skorzystamy z karetki – powiedział.

– Tylko z czego?

– Na którym poziomie podziemnego parkingu stoi twoje porsche, Frieder?

Abonent nieznany?

Pia niechętnie odbierała telefony od osób, których nie miała zapisanych w kontaktach. Nie chciała ryzykować uwikłania w rozmowę z jakimś upierdliwym interesantem, który o tej nietypowej porze szukał porady prawnej i okreźną drogą zdobył numer jej komórki. Na przykład od innego jej klienta, który bez pozwolenia dał ten numer znajomemu.

Teraz jednak już od godziny czekała w samochodzie na parkingu przy Im Saatwinkel. Nie był to najbliższy parking za mostem do Spandau, ten byłby za bardzo na widoku, ale nie był też daleko. Niecałe dwie minuty od bramy kliniki, więc Pia dziwiła się, dlaczego to trwa tak długo.

– Halo? – spytała w nadziei usłyszenia nareszcie jego głosu.

Guido nie powiedział jej, jakie ma zamiary, i w głębi duszy nie była nieszczęśliwa z tego powodu, że nie jest wtajemniczona w całość jego planów. Przy ostatniej rozmowie telefonicznej nie chciał jej zdradzić nic więcej, powiedział tylko: „Bądź o dwudziestej na parkingu przy

polach namiotowych”. Żeby nie robić z niej współniczki przestępstwa. To było miłe z jego strony, ale niepotrzebne. Kochała go już tak bardzo, że gdyby miała do wyboru Tramnitza i prawo wykonywania zawodu adwokata, to zawsze w końcu wybrałaby jego. Zresztą gdyby jej luby jakoś zdołał prysnąć z zakładu, to i tak nie było realnej możliwości, żeby oboje mogli bez przeszkód i na wolności cieszyć się swoją miłością. *Przynajmniej nie w Niemczech.*

Z tego punktu widzenia było jej więc wszystko jedno, czy popełni przestępstwo, czy nie.

Miłość nie wie, co to prawo.

Uśmiechnęła się zatopiona w myślach.

Guido był jednym z niewielu, którzy to rozumieli. Może jedynym. Jej rodzina w każdym razie tego nie pojmowała. A już najmniej jej wkurzająca siostra, która jeszcze w czasie studiów Pii wciąż snuła domysły, że ta chce zostać obrończynią w sprawach karnych tylko ze względu na swój kompleks pomagania. Bo lubi się poświęcać. Ale mogła tak mówić tylko dlatego, że nie znała Guidona. Oczywiście, miał swoje wady. Ale też nigdy nie miał przy sobie dorównującej mu, silnej kobiety, która byłaby dość mądra i inteligentna, żeby go zrozumieć. I która byłaby w stanie go zmienić mocą miłości, odczuwaną, odkąd ujrziała go po raz pierwszy w pokoju przesłuchań na policji.

– Hej, skarbie – usłyszała jego głos i kamień spadł jej z serca.

– Gdzie jesteście?

– Odwróć się.

Zrobiła, o co prosił, i uśmiechnęła się.

Światło reflektorów przebijało się przez las, rozjaśniając najpierw korony paru klonów, które rosły przy wjeździe na parking. Potem sportowy wóz wyłonił się zza zakrętu i wjechał na parking.

– Jesteś, skarbie. Czekamy tu już na ciebie.

Pia z uśmiechem pogładziła się po brzuchu, który w tej fazie nie mógł się jeszcze zaokrąglić, i wysiadła z samochodu.

Był to mercedes limuzyna, raczej rzucający się w oczy, ale i tak mniej niż łososiowe, niskie porsche panamera.

– Masz to, o co cię prosiłem?

Zamiast odpowiedzieć, sięgnęła do kieszeni krótkiego futra z norek i wyciągnęła małokalibrowy pistolet.

Czarna rękojeść miała oleisty połysk w stożku światła reflektorów, ku któremu z dumą wyciągnęła broń. Był to depozyt pewnego handlarza narkotyków, którego z powodzeniem wybroniła w zeszłym roku. Tylko w filmach sprawcy wyrzucają do jeziora broń użytą do przestępstwa. W prawdziwym życiu nie ma dla niej bezpieczniejszego schronienia przed ciekawskim okiem policji niż sejf adwokata.

– Jesteś nieoceniona, moja kochana.

Posłała mu całusa przez telefon i powiedziała:

– Musisz to tylko załadować, nie wiem, jak to się robi. Ale zostało jeszcze kilka...

Nie zdołała powiedzieć więcej.

Pia miała jeszcze na twarzy swój uśmiech zakochanej kobiety, kiedy zderzak panamery zgruchotał jej piszczele. Potwór z silnikiem o mocy 550 koni uderzył w nią jak śmiercionośna strzała, wyrzucając ją w górę z wysokich obcasów i ciskając tyłem na jej samochód, z którego się zaraz się stoczyła, żeby z kilkakrotnie złamanym kręgosłupem znieruchomieć w kałuży.

Jeszcze oddychała. Czowała smak krwi, ale nie czuła już niczego poniżej szóstego kręgu szyjnego. Za to jej słuch był jeszcze sprawny.

Nasze dziecko, to była jej ostatnia myśl.

A ostatnim dźwiękiem, jaki dotarł do jej umierającego umysłu, był pisk opon porsche cofającego się do kolejnego uderzenia.

Cholera, co pan zrobił?

Frieder szarpał zamknięte tylne drzwi. Tramnitz zmusił go w podziemnym garażu do zajęcia miejsca na tylnej kanapie i uruchomił blokadę dziecięcą w drzwiach. W czasie tej krótkiej jazdy nikt ich nawet nie kontrolował. Były tylko dwa elektroniczne szlabany, które Tramnitz pokonał za pomocą karty Friedera.

– Proszę mnie wypuścić!

– Ależ bardzo chętnie – roześmiał się Tramnitz, nacisnął guzik w podłokietniku i Frieder prawie wypadł przez nagle otwierające się drzwi.

– Ty też – rozkazał Tillowi, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w lusterko wsteczne po stronie pasażera, w którym widział zwinięty ludzki łachman, który leżał na parkingu jak rozpruty worek z ciuchlandu.

– Wsiadka! – rozkazał Tramnitz na nowo. Tym razem przysunął Tillowi żyletkę pod oczy, którą w czasie jazdy uchwycił między palce zaciśniętej pięści, gotów przejechać ostrzem po twarzy każdemu, kto

by chwycił za kierownicę albo próbował innych głupich numerów.

Kiedy Till nie reagował, Tramnitz wysiadł, okrążył sportowy wóz i otworzył szarpnięciem drzwi, żeby go za fartuch wyciągnąć na asfalt. Wiatr szarpał mu kołnierz i nogawki i Till poczuł zapach ziemi, liści i jeziora, od strony którego nadchodziły porywy wiatru.

– No już, jazda, jazda, nie przyjechaliśmy tu na piknik.

Tramnitz popchnął go do mercedesa nieznajomej, do której ten szalenciej najpierw telefonował, żeby ją potem zamordować w trakcie rozmowy.

– Dlaczego pan to zrobił? – pytał Frieder, który przykucnął przy zabitej, żeby bezsensownie badać jej tętno.

Tramnitz schylił się i podniósł pistolet, który ta kobieta jeszcze przed chwilą trzymała w rękach.

W pierwszym odruchu Till zezłościł się z powodu zmarnowanej okazji, ale potem zdał sobie sprawę, że broń w jego rękach byłaby bezużyteczna. Tramnitz był niewrażliwy na ból i nawet postrzał w udo nie zmusiłby go do mówienia. A zabijać go nie chciał.

Nie wcześniej, aż doprowadzi mnie do prawdy.

Ale Frieder powinien dać drapaka, zamiast zajmować się zamordowaną, pomyślał jeszcze Till, kiedy Tramnitz otworzył drzwi kierowcy w mercedesie, którym przyjechała tamta kobieta.

– No dalej, na co czekacie?

Kierując pistolet na zmianę to na Tilla, to na lekarza, drugą ręką nakazał obu podejść.

– Wsiadać, ale z życiem.

Chirurg podniósł się, nie mogąc oderwać przerażonego wzroku od trupa. Szedł tyłem krok za krokiem jak w transie, nie spuszczać kobiety z oka. Odwrócił się dopiero tuż przed mercedesem.

– Dlaczego? – wyszeptał ze łzami w oczach.

Miał na czole zaczerwienienie w miejscu, gdzie uderzył czołem o przednie oparcie. Till był wprawdzie przypięty pasami, ale przez to bolała go szyja, bo pasy sportowego samochodu przy zderzeniu werżnęły mu się w ciało.

– Wsiadaj, to ci opowiem.

Kiedy Till zajął już miejsce obok kierowcy, Frieder jeszcze się ociągał, ale skierowana na niego broń nie zostawiła mu w końcu wyboru, więc znowu opadł na tylne siedzenie, także tym razem nie zapinając pasów.

– Takie draństwo – mamrotał – takie cholerne draństwo.

Ukrył twarz w dłoniach. Trudno było orzec, co w tej chwili było najgłośniejsze: nagłe zawycie silnika, lament chirurga czy szczekliwy śmiech Tramnitza, kiedy włączył bieg i wcisnął pedał gazu. Mercedes wyrwał się do przodu, ale potem Tramnitz nadepnął hamulec, jakby o czymś jeszcze zapomniał.

Co ja przeoczyłem?, zastanawiał się znowu Till, wpatrzony w leżącą teraz przed nim kobietę, oświetloną reflektorami mercedesa niczym jakieś dzieło sztuki plenerowej, wytwór chorej wyobraźni.

Tramnitz odwrócił się do Friedera.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego załatwiłem moją adwokat?

– Tak.

– Dlatego że już jej nie potrzebuję – roześmiał się – i że diabelnie mnie wkurwiała. – Psychopata zrobił zamyśloną minę. – Jak się tak zastanowić, to i jedno, i drugie odnosi się też do ciebie – usłyszał Till jego słowa.

Tramnitz kiwnął głową, jakby dla potwierdzenia własnych myśli, i strzelił siedzącemu na tylnym siedzeniu chirurgowi w brzuch.

Ze co takiego zrobił?

– No, uciekł. Dał dyla. Zwiął.

– To jest... Jak mogło do tego dojść?

Sänger okręciła się wokół własnej osi w opustoszałym pokoju Tramnitza, jakby w tym małym pomieszczeniu mógł być jeszcze jakiś kąt, do którego Simon nie zajrzał.

– Miałem po niego przyjść i zaprowadzić go do karetki, ale kiedy tu przyszedłem... – Pielęgniarka nie skończyła zdania.

– Uruchomił pan alarm? – spytała Sänger.

Cała krew odpłynęła jej z głowy. *Tramnitz uciekł!* Najniebezpieczniejszy psychopata z jej zakładu ulotnił się jak kamfora.

– Oczywiście – odparł Simon, który wyglądał na skruszonego, choć przecież wszystko chyba zrobił jak należy. Na każdym oddziale kliniki Stein były ukryte przyciski alarmowe – jeden był tuż obok gaśnic na korytarzu – które w nagłym wypadku wystarczyło tylko przycisnąć, żeby przez stałe złącze powiadomiona została policja. – Minutę temu,

jeszcze zanim do pani zadzwoniłem.

– Dobrze – powiedziała Sängner.

Nie miną trzy kolejne minuty, a pod bramą stanie pół tuzina radiowozów i dziedziniec wypełnią rozbłyśki ich niebieskich migających świateł,

Ale gdzie go mają szukać?

Sängner podeszła do okna i spojrzała na pusty park, smagany przez wiatr i deszcz. W świetle latarni widziała tylko wilgotną łąkę i nawiane liście. Wszędzie na alejkach leżały połamane przez wiatr gałęzie.

– Może ten skurczybyk jest jeszcze tutaj. Jak miałby bez pomocy z zewnątrz pokonać bariery bezpieczeństwa?

W widocznym na ciemnej szybie odbiciu twarzy pielęgniarza, któremu ufała bardziej niż komukolwiek innemu w tej klinice, zwróciła znowu jej uwagę mina pełna skruchy.

– O co chodzi?

– Przykro mi, ale to nie wszystkie złe wiadomości.

– Co?

– Kasov!

Odwróciła się raptownie.

– Czy ta ucieczka to może jego robota?

Simon westchnął.

– Raczej nie. Kasov leży ciężko ranny w pokoju Wintera. Widać został obezwładniony i Tramnitz z Winterem uciekli razem. Ale to też jeszcze nie wszystko.

Boże wielki. Dwóch pacjentów jednego dnia?

Mniej się martwiła o drwiny prasy, która ją jutro przekreśli przez maszynkę do mięsa, a bardziej o bezpieczeństwo mieszkańców

miasta.

Simon chrząknął.

– Tylko niech mi pan teraz nie mówi, że jeszcze kogoś brakuje.

– Nie mogę się dodzwonić do doktora Friedera. Za to na nocnym stoliku tutaj znalazłem to.

– Pamiętnik?

To Winter jednak miał rację?

Sänger wyrwała Simonowi tomik z ręki i otworzyła tasiemkę. Przy otwieraniu pamiętnika w jej ręce wpadł list. Zaadresowany do niej.

Pani profesor Sanger (o ile jej jeszcze nie wywalili!)

Droga pani Sanger, droga ciekawska osobo, mająca chęć wsadzić nos w prywatne zapiski innego człowieka: oto intymny, pełen humoru obraz z życia Guidona Tramnitza. Może pani to nazwać pamiętnikiem.

Sänger wręcz słyszała bezczelny narcystyczny zaśpiew tego drania.

Jak pani widzi, moja relacja liczy kilkadziesiąt stron. Zobrazowałem z dużą dozą staranności przede wszystkim los małego, dzielnego Maksa, ze szczególnym uwzględnieniem jego ostatnich doświadczeń

w inkubatorze. Jeśli się pani teraz spieszy, a nie dziwiłbym się temu wobec faktu, że moja przewaga z każdą sekundą rośnie wykładniczo, udzielę pani rady, żeby na razie pominąć delikatne części. (Może pani przecież później delektować się nimi, zasiadłszy przed kominkiem z kieliszkiem wina, żeby sobie z przyjemnością poczytać).

Ja na pani miejscu po prostu odwróciłbym teraz ten list na drugą stronę, jeśli chce pani się dowiedzieć, gdzie akurat bawię.

Kartka w ręku szefowej kliniki drżała przy odwracaniu tak mocno, że trudno jej było przeczytać akapity napisane na odwrocie. Kiedy jej się to w końcu jednak udało i skończyła czytać – kiedy pojęła, jaką potworność Tramnitz tu drobiazgowo zaplanował i wykonał – list upadł na ziemię, a profesor Sängler nie mogła inaczej, jak tylko wykrzyknąć ze wszystkich sił swój gniew i rozpacz Simonowi w twarz.

W tym samym czasie z pewnej odległości dały się słyszeć syreny zaalarmowanej policji.

Till przelazł do tyłu z apteczką pierwszej pomocy, którą znalazł w schowku, i przycisnął chirurgowi najmocniej jak mógł tamujący krwawienie materiał opatrunkowy do rany postrzałowej, ale krwawienie nie ustało.

Za dużo tego, po prostu za dużo.

Gaza i wata i wszystko, co jeszcze mógł znaleźć, ociekało krwią jak mokra gąbka. Także jego opatrunek na palcach był już nią nasycony.

W samochodzie czuć było zapach krwi, potu i strachu i Till nie mógł nie pomyśleć, że taki musi być zapach śmierci, choć ona przecież właściwie w dobrym humorze i wyświeżona natryskiem siedziała za kierownicą mercedesa.

– Ratunku...

Chirurg jęczał, zawodził, chrząkał i dyszał, znowu błagając o pomoc. Na jego czole perlily się krople potu tak wielkie jak grad. Jego prawa noga wykonywała niekontrolowane ruchy, a gałki oczne pod zamkniętymi powiekami drgały jak pod prądem.

– Zatrzymaj się! – zawołał Till, ale Tramnitz raczej jeszcze dodał

gazu. Jechali w kierunku Spandau albo Charlottenburga, jeśli Till się nie mylił, ale w tej chwili to było zupełnie bez znaczenia, bo na pewno nie jechali tam, gdzie Frieder miałby jeszcze szansę na przeżycie.

– On musi jechać do szpitala.

– Nie mógł tego wcześniej powiedzieć? – szydził Tramnitz. – Przecież właśnie stamtąd jedziemy.

– On umrze.

– Mam nadzieję. – Tramnitz mrugnął do niego w lusterku wstecznym. – A ty na pewno też nie masz nic przeciw temu.

Dlaczego?

Kiedy Till starał się nie dać zasnąć lekarzowi, znowu naszło go to pytanie: co właściwie umknęło jego uwadze?

Co ja przeoczyłem?

Wyjrzał przez boczne okno. Przemykały obok ciemne przydrożne drzewa, potężne pnie sterczały ku niebu jak wykrzykniki.

Ty! Coś! Przeoczyłeś!

Wykrzykniki nie spieszyły się. Przesuwały się statecznie, bo Tramnitz przestrzegał ograniczenia prędkości, zapewne po to, żeby nie zwracać uwagi. Mimo to podróż, która do Tilla docierała tylko jak we śnie, zdumiewająco szybko dobiegła końca. Mimo że Frieder przez cały czas na zmianę jęczał, rzeził, zawodził i żebrał o ratunek, podczas gdy jego wilgotny uścisk stawał się coraz zimniejszy i słabszy.

Zatrzymali się w małej alei wolnostojących domków jednorodzinnych, a Till, kiedy po raz pierwszy przyjrzał się nowemu otoczeniu w świetle staroświeckich latarni ulicznych, miał wrażenie, jakby już kiedyś widział to miejsce.

Czuł się, jakby czytał początek książki, która najpierw wydawała mu się znana, ale potem z każdą stroną nabierał coraz więcej wątpliwości,

czy rzeczywiście kiedyś już ją czytał.

Gdzie ja jestem?

Większość domów pochodziła z początków ubiegłego stulecia, były to imponujące stare budynki o wysokich piętach i potężnych dachach krytych karpiówką.

Jednak dom, przed którym zatrzymał się Tramnitz, odróżniał się od reszty dość jednolitego zespołu. Był to nowoczesny świeższej daty budynek o dużych oknach od frontu i płaskim dachu nad piętrem z pracownią. Nigdzie nie paliło się światło, nawet numer domu nie był oświetlony.

– Otwórz bramę do ogrodu! – rozkazał Tramnitz, celując z broni w czoło Tilla.

Till zrobił ruch obronny prawą ręką i musiał w tym celu przestać przyciskać i tak bezużyteczny opatrunek Friedera.

– Zabierz ten pistolet. Przecież ci nie ucieknę.

Tramnitz zarechotał.

– No pewnie, przecież chcesz do Maksa.

Na dźwięk tego imienia Frieder zaczął znowu jęczeć. Wyciągnął do Tilla rękę, jakby chciał go błagać, żeby go nie zostawiał samego w samochodzie z tym szaleńcem.

Till przycisnął ręce lekarza z powrotem do jego brzucha.

– Zaraz wrócę, bez obawy.

Wysiadł i otworzył bramę do ogrodu z kutego żelaza, która była tylko przymknięta. To dziwne, że dom, który wyglądał na niezamieszkały i był nieoświetlony, nie był przynajmniej zabezpieczony alarmem przed dostępem nieproszonych gości.

Co ja przeoczyłem?

Tramnitz wjechał z bulgotaniem silnika w wysypany żwirem

podjazd i zatrzymał się pod wiatą przylegającą do zejścia do piwnicy. Automatyczne czujniki ruchu włączyły dwa zewnętrzne światła, dzięki czemu było przynajmniej cokolwiek widać.

Tramnitz wysiadł.

– Czy on jest tutaj? – spytał Till.

Było mu niedobrze. Nie ze względu na krew na rękach ani na umierającego na tylnym siedzeniu, czy zabitą kobietę na parkingu, którą wspólnie przejechali.

Było mu niedobrze, bo wiedział, że tylko chwile dzieli go od ostatecznej pewności.

– Czy Maks jest w tym domu?

Nic nie jest gorsze od niepewności.

Poza prawdą...

– Cóż, oto jest pytanie, nieprawdaż?

Tramnitz zamknął drzwi samochodu, za to otworzyły się nagle tylne i Frieder wypadł z nich jak mokry pakunek.

– O, patrzcie państwo, jak miło. On chce iść z nami.

Rzeczywiście chirurg na krótką chwilę zdołał się podnieść z czworaków. Potykając się, ruszył naprzód, w kierunku Tramnitza i schodów do piwnicy.

Morderca odsunął się na bok i kopnął Friedera, który zleciał po zewnętrznych schodach prowadzących do piwnicznych drzwi. Till był pewien, że był to ostateczny wyrok śmierci na chirurga, który na pewno skręcił sobie kark, ale Frieder zdołał w porę uchwycić się rękami poręczy, zanim jego głowa uderzyła w kamienną podłogę. Mimo to nie mógł się już teraz podnieść.

Till przypomniał sobie w tej strasznej sytuacji psa, którego kiedyś miał i który po narkozie u weterynarza przez godzinę próbował się

podnieść w pomieszczeniu wybudzeń, przy czym jego łapy wciąż się rozjeżdżały na wszystkie strony na gładkiej, antyseptycznej podłodze. Podobnie bezradne były budzące litość daremne starania Friedera.

– Zostaw go w spokoju! – zawołał przerażony Till, ale Tramnitz, który szedł za lekarzem, chwycił go za kołnierz i wciągnął przez otwarte drzwi do piwnicy. Znowu czujniki ruchu przy wejściu włączyły światło, tym razem na korytarzu. I znowu drzwi były tylko przymknięte.

Co ja przeoczyłem?

– Niech leży – rozkazał Tramnitz. – Niech leży! – syknął po raz drugi z wściekłością, kiedy Till chciał podejść do rannego chirurga, który teraz bez ruchu leżał na jasnej wykładzinie dywanowej, niezwykle porządnej jak na piwniczny korytarz.

Tramnitz zamknął drzwi zewnętrzne i poszedł przodem korytarzem w kierunku schodów prowadzących zapewne na parter domu.

– Prosimy w nasze niskie progi! – zawołał do Tilla, odwracając się.

Tillowowi zakręciło się w nosie od zapachu wilgotnego kurzu i starych książek. Choć tu, w środku, było o kilka stopni cieplej niż na dworze, to idąc za Tramnitzem, z każdym krokiem czuł większe dreszcze.

Czy ja tego chcę? Czy chcę mieć pewność?

Jeszcze kilka dni temu oddałby za nią wszystko. Nie, on oddał za nią wszystko. Swoją wolność, swoje samostanowienie.

Swój rozum?

Wzrastało w nim niejasne przeczucie, że droga, którą ten psychopata wytyczył przed nim i którą on właśnie szedł za pełnymi grozy drogowskazami, doprowadzi go do wiedzy gorszej niż wszystko, co umiał sobie wyobrazić.

– Gdzie my jesteśmy? – Głos Tilla ginął w pootwieranych

wbudowanych szafach, w których dawniej były pewnie przechowywane buty, palta zimowe i bielizna. Ale teraz stały puste. Zimne.

Martwe.

– Wszystko po kolei.

Tramnitz zniżył głowę, przechodząc przez drzwi po prawej stronie korytarza.

– Najpierw zobacz, co ja tu przygotowałem dla ciebie.

Wiercenie w nosie stało się silniejsze, a do tego Till poczuł jeszcze woń chemikaliów. Coś żrącego podrażniło jego nabłonek węchowy i musiał zmarszczyć nos.

Mimo całego oporu wewnętrznego, jaki stawiało jego ciało, i nóg ciężkich jak z ołowiu, Till dalej szedł za Tramnitzem. Nie zauważył stopnia za drzwiami i potknął się, wchodząc do pomieszczenia, które przypominało sypialnię, zapewne dla gości zamożnych właścicieli tego domu, który na pewno nie mógł należeć do psychopaty.

Przecież majątek Tramnitza na pewno już dawno był zajęty i sprzedany. A może jednak nie?

Na dwuosobowym łóżku leżała jasnoniebieska narzuta, a gruba warstwa kurzu pokrywająca także parapety zasłoniętych okien sutereny świadczyła o tym, że dawno nikt tu nie sprzątał.

– Tędy – usłyszał wołanie Tramnitza z pomieszczenia obok. Sypialnia dla gości była połączona przez zasuwane drzwi z innym pomieszczeniem tej mieszkalnej sutereny.

– No chodź tu, odważ się! Podejdź bliżej!

Till zamknął oczy, ale nie miał jak zagłuszyć wewnętrznego głosu, który go wprost błagał, żeby tego nie robił.

Zawróć! Nie idź dalej! Nie patrz na to!

Ale oczywiście poszedł za wabiącym głosem mordercy. Syrenim śpiewem diabła.

Wciąż jeszcze mając zamknięte oczy, postąpił krok naprzód. Musiał teraz stać w drzwiach między obu pokojami. Nie widząc nic, jak dawniej na Boże Narodzenie, kiedy rodzice mu mówili, żeby jeszcze zaczekał z otwarciem oczu na dany przez nich znak.

Tyle że tu na dole nie było choinki, a pod nią prezentów, tylko cierpienie, udręka i...

– O Boże!

Till, który nie mógł dłużej wytrzymać z zamkniętymi oczami, wybałuszył je na aparat stojący pośrodku pomieszczenia, w którym poza tym nie było niczego innego. Brakowało nawet wykładziny dywanowej, która poza tym pomieszczeniem pokrywała wszystkie podłogi w tej piwnicy. Za to pośrodku pokoju stał solidny, prostokątny metalowy stół. Na nim zaś królował piekielny przyrząd, który w rzeczywistości wyglądał jeszcze bardziej odrażająco niż na zdjęciu w gazecie.

Drewniana skrzynia z okienkami z boku przypominała żelazne płuco.

Till widział kiedyś w muzeum historii medycyny takie przedpotopowe komory ciśnieniowe; dawniej umieszczano w nich ludzi, którzy nie mogli samodzielnie oddychać.

Tyle że w przypadku żelaznego płuca głowa pacjenta znajdowała się na zewnątrz, a ta skrzynia tutaj była zamknięta ze wszystkich stron.

– Co to jest? – spytał bezdźwięcznym głosem.

– Mój ojciec zawsze nazywał to Trixi, nie mam pojęcia dlaczego. Ja nie mam nazwy dla mojego inkubatora.

Till podszedł bliżej, wyciągnął rękę w kierunku brązowego prasowanego drewna. W dłuższej ścianie zwróconej w jego kierunku wymacał dwa okrągłe otwory, nieco większe niż rakiątka do ping-ponga. Były oszklone, tak samo jak wieko skrzyni, której wezglowie miało szklane okienko.

– Maks? – spytał Till z trwogą. Nie widział, czy wewnątrz aparatury coś się poruszyło. Była dostatecznie duża, żeby pomieścić sześćo-, nie, teraz już siedmioletniego chłopca. Wszystkie szyby były z mlecznego szkła, prawie nieprzezroczyste. *Chociaż...*

Nie, to nie było szkło mleczne. *To była...*

Para wodna!

One są zaparowane!

Till podszedł jeszcze bliżej.

Od środka!

Nachylił się nad zamkniętym wiekiem. Widział wyraźnie, że leży pod nim jakieś ciało.

– Czy to... – Spojrzał na Tramnitza, który stał obok niego, obserwując go z rozbawieniem.

Do oczu napłynęły mu łzy.

– Czy to mój syn?

– Nie poznajesz go?

– Ja... ja go nie widzę. Szyby są tak zaparowane.

Czy to jest dobry znak? Czy nie? To przecież znaczy, że on oddycha.

A może jednak nie?

Tramnitz poklepał go pocziwie po ramieniu.

– No, dalej. Przyjrzyj się dokładniej.

– Ale jak... jak to możliwe?

Till zmarszczył nos i przetarł rękawem fartucha z zewnątrz szybkę,

co naturalnie było bez sensu, bo para wodna była skroplona na wewnętrznej powierzchni.

To niemożliwe, żeby Maks przez cały rok tkwił w tej skrzynce. Przez rok, niezauważony w tym domu?

– Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia? – spytał stojący obok Tramnitz.

Spojrzał na niego.

– Nie wiesz, gdzie jesteś?

Till pokręcił głową, jak uczeń przy tablicy, który nie umie rozwiązać postawionego przed nim zadania.

– I co naprawdę się stało? Wtedy, rok temu z Maksem?

– Nie! – wyszeptał, czując, jak od wewnątrz zżera go strach.

– W porządku – powiedział Tramnitz. – To trochę ci pomogę ruszyć głową.

66

Rok wcześniej

Retrospekcja

MAKS

Kostka lodu, pomyślał Maks, mocno trzymając model z klocków Lego.

Wyszedł z domu na trzaskający mróz, doskonale pasujący do tego hasła, które uzgodnili z tatą.

Ćwiczyli to wciąż na wędrówkach w lesie, przy jeździe samochodem lub w czasie oczekiwania na autobus.

– Co zrobisz, kiedy ktoś obcy ci powie, żebyś z nim poszedł?

– Zapytam go o hasło.

– A jakie jest nasze hasło?

– Kostka lodu – mruknął Maks i zszedł ostrożnie trzy stopnie w dół do ogródka przed domem. Uważając, żeby się model z klocków Lego nie zepsuł albo coś się w nim nie przesunęło, zanim zobaczy go Anna. Anna, która zawsze tak ładnie pachniała i tak miło go ścisnęła.

– Hej, mały!

Spojrzał w prawo na człowieka stojącego pod starą latarnią.

– Tak?

– Wiesz, gdzie jest dom numer 65?

Maks nie miał ochoty zatrzymywać się w drodze do Anny, a poza tym z każdą chwilą robiło się coraz zimniej.

– Jakie jest hasło? – wyrwało mu się.

– Co?

Mężczyzna spojrział na niego, jakby Maks przemówił w tajnym języku, który wymyślił ze swoim najlepszym przyjacielem Antonem.

– Nieważne – powiedział Maks po chwili i postanowił pomóc tamtemu. – Dom numer 65?

W końcu tamten przecież nie chciał, żeby z nim dokądś poszedł. A zasada podawania hasła raczej nie dotyczyła pocztowego kuriera w mundurze, który próbował ciągnąć po śniegu dwukołowy wózek obciążony paczkami.

– Dzięki, kolego – pożegnał się kurier, kiedy Maks pokazał mu drogę. Pomylił się nie tylko co do numeru domu, ale i nazwy ulicy. Miała być Skowronkowa, a nie Słowikowa.

Ale w tej okolicy nazwy są tak podobne do siebie, że trudno się połapać.

Maks poczekał, aż kierowca wsiądzie znowu do żółtej furgonetki i odjedzie. Miał więc czas ułożyć sobie słowa na powitanie Anny.

Jeśli miał być szczery, to nieźle obleciał go tchórz. Anna była taka piękna, a on taki mały. Czy będzie się śmiać, kiedy po prostu ni stąd, nim zowąd zadzwoni do jej drzwi? Czy ona w ogóle lubi Gwiezdne Wojny? Naturalnie. Anna była świetną dziewczyną. Ona po prostu musi kochać Gwiezdne Wojny.

Maks był tak zamyślony, że kiedy wreszcie zaczął przechodzić przez ulicę, nie zauważył sportowego samochodu, który gnał ku niemu o wiele

za szybko.

O nie, zdążył jeszcze pomyśleć. Mój „Sokół Millennium”.

I już kosmiczny statek z klocków Lego wyleciał w powietrze i wylądował roztrzaskany na śniegu.

Tak samo jak jego małe ciało, zanurzone w jednej sekundzie w morzu bólu, którego fale zamknęły się nad nim tak głośno i tak gwałtownie, że stracił przytomność.

Dopiero po paru godzinach ocknął się znowu i widział tylko oczy. Całą resztę twarzy mężczyzny zakrywała zielona maska. Nie od razu pojął, że twardy podkład, do którego był przypięty, to stół operacyjny.

Wtedy, rok temu, Maks myślał, że obudził się w piekle. Zawleczony tam na tortury przez złego potwora z Halloween. Nigdy by mu nie przyszło na myśl, że właściwe piekło nastąpi dopiero rok później i że jego wrota dopiero dziś się przed nim otworzą.

Tu i teraz, w piwnicy tego dziwnego domu, do którego ten człowiek go przywiózł dopiero dzisiaj rano. Ten sam człowiek, który go potracił, nastawił jego złamaną nogę i wykurował go tylko po to, żeby go na koniec jednak zabić.

Tu, w tej ciasnej drewnianej skrzyni, w której leżał ze związanymi nogami i nad którą naraz nachyliła się jakaś postać. Zapewne mężczyzna. Wyglądał inaczej niż ten, który go dotąd pilnował. Był szczuplejszy, może młodszy. Ale nie mógł tego powiedzieć na pewno. Jego twarzy Maks nie mógł poznać, bo przeklęte szyby tej skrzyni były tak zaparowane.

– Tato?! – zawołał Maks z nadzieją, choć zużył ją prawie całą przez te wszystkie miesiące izolacji.

67

TILL

Maks?

Till zapukał w szyby „inkubatora”. Był pewien, że jego syn go zawołał, choć tu na zewnątrz słyhać było niewiele więcej niż głuchoe mamrotanie. Tak dobrze była odizolowana ta piekielna maszyna.

– Otwierać! – krzyknął na Tramnitz, w którego gadanie trudno mu było uwierzyć.

Wypadek i ucieczka kierowcy? Tramnitz nie był wcale porywaczem?

To dlaczego Maks leżał tu w tej piwnicy? W tym „inkubatorze”?

Co ja przeoczyłem?

– Otwierać. Ale to już!

Tramnitz westchnął.

– Och, niestety nie mogę. Nie mam klucza.

Till zamrugał zdezorientowany.

– Jak to nie?

– Ja tego nie zbudowałem.

Ośłupiały Till był tak wytrącony z równowagi, że zaczął się jąkać.

– Ale, ale... to kto w takim razie?

Till obmacywał złącza skrzyni. Nigdzie nie było żadnej dźwigni, pokrętła ani zawiasu, które można byłoby poruszyć. Ani przy okrągłych szybkach z boku, które zapewne były przewidziane na ręce, ani przy wieku ze szklaną końcówką. Jego troskę wzbudził kolejny problem.

– Czy tam w ogóle dochodzi powietrze?

– Tak, dopóki otwarty jest ten zawór.

Tramnitz pokazał metalowy trzpień z boku, wielkości mniej więcej skuwki od długopisu.

– Ale kiedy się go wkręci...

Tramnitz wywalił język i wydał z siebie odgłos charkotania, a kiedy już skończył parodiować duszącego się, zachichotał cicho.

– Kto ma klucz, jeśli to nie należy do ciebie? – spytał raz jeszcze Till.

– Zaraz, naturalnie że należy do mnie. To wczesny prototyp, który miałem w garażu przy Kanale Teltowskim. Ale mocowania przy otworach i zawór są nowe. Nie ja to zrobiłem.

– Tylko kto?! – wrzasnął Till. – Kto, jeśli nie ty?!

Za nimi rozległ się jakiś dźwięk, a potem do pomieszczenia w zgiętej pozycji, potykając się, wtoczył się Frieder i z jękiem osunął się w przejściu.

Tramnitzowi zaświeciły się oczy jak nastolatkowi, któremu przyjaciółka obiecała pierwszy seks.

– Proszę, jakie wyczucie czasu. O wilku mowa.

Krew.

Była na tułowiu chirurga, jego twarzy i włosach, na wykładzinie i wszystkim, czego tylko się dotknął.

Till czuł jej smak, zapach i obecność na własnej skórze, na opatrunku głowy i palców, na rękach. Szumiała mu też w uszach jak dziki rwący strumień.

– Co pan właśnie powiedział? – zachrypiał. Gardło miał jak zasznurowane.

Prawda, której szukasz, nie przyniesie ci ulgi.

– Człowieku, Tillu, ojciec Maksa. Czy ty ciągle nie umiesz dodać dwa do dwóch? – Tramnitz szukał jego wzroku. – Dlaczego nasza ucieczka tak zdumiewająco łatwo poszła? Dlaczego nikt nie zagroził nam drogi?

Dlaczego tu były otwarte drzwi?

– Mieliliśmy pomoc.

Psychopata wskazał chirurga, który usiadł w kucki przy drzwiach, oparty o ścianę oddzielającą pomieszczenia.

– Czy mogę przedstawić? Oto mastermind naszej ucieczki. Doktor Wermut, eee, Hartmut Frieder. Niezbyt anonimowy alkoholik, który już raz z powodu pijaństwa przy pracy ze skalpelem omal nie stracił wszystkiego. I który w zeszłym roku swoim porsche dziabnął też drogiego Maksa.

– Niech pan stuli pysk – wydyszał Frieder, przyciskając zakrwawione ręce do rany postrzałowej.

– Tak przecież było. – Tramnitz podszedł do Friedera i kopnął jego wyciągniętą nogę. – Pijany jak bela śmigał przez strefę z ograniczeniem do trzydziestu. Mogę sobie wyobrazić, co ci przyszło do tego zapijaczonemu łba, kiedy stałeś na śniegu przy ciężko rannym dziecku, a klocki Lego były rozsiane wszędzie: „Cholera, jak to się wyda, to jestem ostatecznie załatwiony. Stracę wszystko: pracę, poważanie, wolność. Wszystko!”

– To był pan?

Till oderwał się od inkubatora, postąpił krok w kierunku człowieka, któremu jeszcze kilka minut temu próbował ratować życie.

Którego trzymałem za rękę!

– Więc upchnął Maksa do bagażnika i pojechał do swojego brandenburskiego domku letniskowego – objaśniał dalej Tramnitz. – Żeby na spokojnie pomyśleć co dalej.

Spojrzał znowu na Tilla.

– W każdym razie leczył go. Wsadził mu nogę w szyny i tak dalej. Zakładał przy tym zawsze maskę. Przypuszczam, że chciałeś go kiedyś tam puścić wolno, zgadza się? – westchnął. – Ale pewnego dnia ten debil włożył fartuch, kiedy się nim zajmował, dasz wiarę? Taki

zapruty amator. Maks wcale nie musiał widzieć jego facjaty, której by w razie czego i tak mógł nie rozpoznać. Wystarczyło mu tylko przeczytać: „Doktor Hartmut Frieder. Klinika Stein”.

Słowa mordercy nabrały naraz osobliwie głuchego brzmienia, co było spowodowane tym, że brzemie koszmaru przygniatające pierś Tilla przeniosło się teraz na jego uszy. Widocznie jego mózg nie chciał znać prawdy, którą prezentował mu Tramnitz.

– Oto ironia losu, Maks wtedy ledwo umiał czytać, był przecież jeszcze w pierwszej klasie. Ale na tyle wystarczyło.

– Dlaczego pan to robi? – jęknął Frieder. Zrezygnował już z trzymania się ręką za brzuch.

– Nie zrozum mnie źle, Till. Frieder nie jest złym człowiekiem, w każdym razie nie tak złym jak ja. On ze sobą walczy. Z jednej strony nie chce trafić do kryminału za uprowadzenie dziecka. Z drugiej jednak nie ma serca, żeby Maksa zabić. Do dzisiaj na to się nie zdobył. I tra-ta-taaa... oto do akcji wkraczam ja. – Tramnitz zrobił wypad, niczym aktor wykonujący efektowne wejście na scenę.

– Dla niego musiał to być dar niebios. Oto ląduję na jego stole operacyjnym, ja, któremu cały świat i tak przypisuje zamordowanie Maksa.

Ale dlaczego się do tego nie przyznawał, żeby delektować się cierpieniem rodziny?

Bo Tramnitz nie był sprawcą!

– Nasz drogi chirurg przez cały ten czas ukrywał małego Maksa w swoim domku letniskowym. W wędkarskiej chacie na odludziu nad Scharmützelsee, gdzie nikt mu nie przeszkadzał.

Tramnitz wskazał lekarza.

– Więc Frieder po operacji przychodzi do mojego pokoju

i proponuje układ: ja mam upozorować wszystko tak, jakbym to ja był rzeczywiście mordercą Maksa, i zaprowadzić policję do jego zwłok. A za to on pomoże mi w ucieczce.

– Ale co z pamiętnikiem? – spytał znowu Till, który wciąż jeszcze nie był pewien, co myśleć o tym wyznaniu.

Czy to była dobra wiadomość? Czy to znaczyło, że Maks naprawdę jeszcze jest przy życiu? Czy też był tu tylko obiektem szczególnie okrutnej gry? Czy ta bestia chciała się sycić jego złudnymi nadziejami?

– Pamiętnik jest częścią układu. Ja to wszystko napisałem dopiero w wariatkowie. Później mieli to znaleźć w moich rzeczach. Definitywny dowód, że to nie Frieder, tylko ja jestem mordercą.

– Jak to, mordercą? Przecież Maks żyje!

Till odwrócił się do inkubatora.

– Zgadza się, jeszcze żyje. Dlatego mnie przecież stamtąd wyciągnął. Żeby odwalił za niego brudną robotę.

Boże wielki.

Tramnitz opisał w pamiętniku swoje przyszłe czyny.

Dotąd jeszcze nie spotkał Maksa. Dopiero teraz chce go zabić. Dzisiaj. Tu i teraz.

I rzeczywiście, Tramnitz dalej ciągnął swój wywód.

– Dałem Friederowi dokładne instrukcje: gdzie znajdzie inkubator, jak go musi uzupełnić według moich planów, żeby działał. I powiedziałem mu, dokąd ma go zawieźć, żeby wyglądało tak, jakby od początku był u mnie.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy? – spytał Till, któremu przypomniały się latarnie uliczne przed domem i dziwne kręcenie w nosie, które poczuł, wchodząc do sutereny przystosowanej do celów mieszkalnych.

– Dobrze wiesz, gdzie jesteśmy – hipnotyzował go Tramnitz.

Tak. W szponach diabła, w środku piekła.

– Pia wynalazła mi ten adres, kiedy dotarło do mnie, kim jesteś naprawdę.

Tramnitz podniósł obie ręce w uspokajającym geście, mówiącym: „Spokojnie, bez nerwów”.

– Wiem, wiem. To było wbrew umowie – powiedział do Friedera, z którego ust wydobył się bąbel krwawej śliny.

Till tymczasem doznał niemal transcendentnego przeżycia. Wciąż był obecny ciałem, stał w tej piwnicy między piekielną maszyną, która być może więziła jego syna, a dwoma zbrodniarzami, ale jego umysł pracował na jałowym biegu. Głosy wokół niego stawały się coraz bardziej głuche i dudniące, wszystko brzmiało jak z wielkiego oddalenia. Zastygł wskutek szoku. Był niezdolny się poruszyć.

– Uznałem, że będzie zabawniej, kiedy się to odbędzie nie u mnie, tylko tutaj. Miałem cichą nadzieję, że on będzie nam towarzyszył.

– Po co mu pan to wszystko opowiada? – zapytał resztką sił Frieder.

Trzymając broń w wyciągniętej ręce, Tramnitz wrócił do siedzącego w kucki na podłodze chirurga.

– Z tej samej przyczyny, dla której zdecydowałem się wybrać tę piwnicę. Bo mnie to bawi. Ludzie bardziej cierpią, kiedy na własne oczy widzą najstraszniejszą ze wszystkich prawd.

Przyłożył pistolet do głowy Friedera. Lekarz sapnął. Odsunął rękę od brzucha. Nasycony krwią opatrunek odpadł i znowu zaczęła sączyć się krew.

Ku zaskoczeniu Tilla Frieder uśmiechnął się, ukazując umazane na czerwono zęby.

– No dalej, niech pan to zrobi. I tak miałem taki zamiar.

Tramnitz zamrugał zdezorientowany.

– Chciałeś dzisiaj umrzeć?

– Nie, ale skończyć z tym. Chciałem wszystko odwołać.

Chirurg spojrział na Tilla zmętniałymi już oczami z takim wyrazem, jakby mówił: „Przepraszam, popełniłem błąd”.

Tillowi przypomniały się pierwsze słowa, z którymi Frieder wszedł niedawno do pokoju Tramnitza. „Coś mi wypadło, trzeba zaraz...

– Odwołać wszystko? – powtórzył Tramnitz z niedowierzaniem. – Patrzcie państwo, pana delikatnisią w końcu dopadły skrupuły. Niestety za późno.

Frieder pokręcił głową.

– Niech pan mnie zabije! Ale zostawi chłopca w spokoju! Rozmyśliłem się.

– Obawiam się, że po utracie takiej ilości krwi nie masz najlepszej pozycji do negocjacji.

Chirurg zakasłał, wypluwając krew, a potem powtórzył:

– Niech pan zostawi Maksa! I tak czas panu ucieka. Na pewno już pana szukają.

– No to co? Może ja wcale nie chcę uciekać?

– Ale chce pan widzieć, jak Maks cierpi. I on. – Frieder wskazał Tilla.

– A nic z tego nie będzie, jeśli panu przeszkodzą.

– Mam czas.

Ostatkiem sił Frieder odsunął lufę od swojego czoła, ale Tramnitz zaraz znowu mu ją przystawił.

– Nie ma pan. Moje karty otwierające drzwi wysyłają sygnał. Można je namierzyć w razie zgubienia. Sänger wie, gdzie jestem. Zaraz tu będą.

Tramnitz roześmiał się.

– Bredzisz. Aż taki głupi to ty nie jesteś. Na pewno zatarłeś wszystkie ślady, które mogą doprowadzić do ciebie.

Frieder zaprotestował ostatkiem sił.

– Ile razy mam jeszcze powtarzać? Zmieniłem zdanie. Zdałem sobie sprawę, że nie dam rady. Chciałem się przyznać.

Tramnitz wzruszył ramionami.

– I co z tego? Twoje karty to zwykłe klucze magnetyczne, niczego nie wysyłają. Błefujesz. Ale dość dobrze, trzeba ci przyznać. Przedtem też nieźle udawałeś, że rozmawiasz przez telefon z pielęgniarkami. – Tramnitz małpował Friedera, przykładając pistolet jak telefon do ucha i powtarzając jego wcześniejsze słowa: – „Wiem, że to jest sprzeczne z regulaminem, ale on wziął zakładnika”.

Znowu przyłożył lufę do czoła Friedera.

– No dobra, wystarczy tych wygłupów.

– Nie, niech pan zaczeka, błagam pana, niech pan zostawi Maksa przy...

Niedokończone zdanie dosłownie eksplodowało w ustach Friedera. Tramnitz nacisnął spust.

Z ogłuszającym hukiem kula przebiła czoło chirurga, przeszła przez mózg i wyleciała przez potylicę, żeby utkwic w gipsowej ścianie.

– Ale on ma rację, musimy się pospieszyć – powiedział Tramnitz, na którym zupełnie nie robiły wrażenia odłamki kości, krew i mózg zabitego lekarza na białej ścianie. Za to widok ten odczarował Tilla.

Ucisk w jego uszach ustąpił i nareszcie przeszedł mu paraliż wywołany szokiem.

Co ty tam robisz? – spytał Tramnitza, nie spodziewając się odpowiedzi.

Psychopata obmacywał kieszenie zamordowanego chirurga, aż wreszcie w jednej z kieszeni znalazł to, czego szukał.

– No proszę, co my tu mamy.

Pokazał Tillowi klucz, który wydobył. Gruby czworokątny klucz na długim trzonku.

– To do zaworu.

Chciał ominąć Tilla, ale ten odważył się zastąpić mu drogę.

– Przestań. Nie musisz tego robić.

Tramnitz kiwnął głową.

– No pewnie, że nie muszę, robię to dla przyjemności. Gdybym musiał to robić, to byłaby praca.

Wysunął magazynek, upewnił się, że jest w nim jeszcze jeden nabój, pokazał go Tillowi i precyzyjnie przycisnął się obok niego, załadowawszy przedtem broń na nowo.

– Co chcesz teraz zrobić?

– A cóż by innego? Zatrąszczę się o Maksa.

Tramnitz zapukał lufą pistoletu w szybkę w górnej części

inkubatora.

– Hu-hu, słyszysz mnie, mały? Zaczyna się leczenie.

Cholera, co teraz?

Till rozejrzał się w gorączkowym w poszukiwaniu czegoś, co mógłby przeciwstawić uzbrojonemu psychopacie.

Chwycił się za głowę. Odwinął opatrunek.

– Przestań albo wyjdę.

Tramnitz nawet się do niego nie odwrócił. Zamiast tego umieścił czworokątny klucz w trzpieniu zaworu.

– A cóż to znowu za śmieszne pogrożki?

– Frieder miał rację, zgadza się? Chciałeś mnie tu zabrać, żebyś mógł widzieć, jak cierpię.

– I co?

– Jeśli teraz wyjdę, to nic z tego nie będziesz mieć. Nie zobaczysz mojego bólu. Więc wszystko będzie na próżno.

Teraz Tramnitz odwrócił się do Tilla. Na jego pełnych wargach igrał uśmiech.

– Och, chyba przeceniasz swoje znaczenie. Nie jesteś tutaj po to, żeby przyglądać się, jak chłopiec umiera.

Tylko po co?

– Ja będę miał swój ubaw także sam na sam z chłopaczkiem. Ty jesteś tylko bonusem, który sobie zostawiam na później.

Co ja przeoczyłem?

– Kiedy tu na dole skończę z Maksem, to przy odrobinie szczęścia przeżyjesz coś, co cię całkiem załatwi. O to mi właśnie chodzi. Chcę ci przy tym patrzeć w oczy i napawać się twoim cierpieniem.

Pociągnął nosem.

– Ale dla twojej informacji, daleko nie zajdziesz. Pia zbadła sprawę.

Nie wyjdiesz stąd, jeśli drzwi piwnicy są zatrzaśnięte. Drzwi na parter są zamknięte. A więc na razie nie ma stąd dla ciebie wyjścia. Możesz sobie poczekać w korytarzu, aż skończę z Maksem. Później pokażę ci jego szczątki, zanim przejdziemy do dalszego ciągu.

Przekreślił czworokątny klucz. Zaczął odcinać dopływ powietrza.

Bum bum bum

Prawie od razu ktoś zaczął walić w szybę i drewno obudowy.

– Szkoda, że mamy tak niewiele czasu, bo inaczej bym sobie z nim poigrał. Ale popatrz tylko, teraz widać lepiej. Szyba już nie jest tak zaparowana, możesz wyraźnie zobaczyć, jak on się dusi – powiedział i w tej chwili Till zarzucił na szybę mordercy pętlę, którą splótł ze swojego bandaża zdjętego z głowy.

Na próżno.

Rozpacзлиwa próba nie miała żadnych widoków powodzenia.

Wystarczył jeden jedyny cios łokciem i Tramnitz uruchomił fajerwerki w czaszce Tilla. Posypały się skry, a płynny ból wypełnił od środka puste przestrzenie między jego oczami.

– Cóż to znowu za maniery? – spytał Tramnitz, gdy tymczasem bębnienie wewnątrz skrzyni stawało się coraz głośniejsze i bardziej gorączkowe.

Bum... bum

– Och, to muzyka dla moich uszu – stwierdził Tramnitz, nisko nachylony nad inkubatorem. Till nie miał pojęcia, jak powstrzymać szaleńca i uratować Maksa. W tym momencie nie był już nawet w stanie utrzymać się na nogach.

Droga pani Sänger, trzyma pani właśnie w rękach pierwszy pamiętnik, który opisuje nie przeszłość, tylko przyszłość.

Wszystko, co pani przeczyta, dopiero czeka małego Maksa. Moje fantazje dopiero się urzeczywistnią. Prawdopodobnie staje się to teraz, w tym momencie.

Doktor Frieder myślał, że mnie zmusi do działania według swojego planu, a przecież jego blef, jakoby zatrut mnie czymś w czasie operacji, był oczywisty.

W rzeczywistości to on teraz tańczy, jak mu zagram (choć w wątpliwość, żeby w chwili,

kiedy będzie pani czytać moje słowa, mógł w ogóle jeszcze tańczyć).

Nakłoniłem go, żeby przywiózł Trixi (jeszcze się pani dowie, co to jest) w miejsce wybrane przeze mnie, żebym mógł rozpocząć zabieg na Maksie. W rewanżu dopomógł mi w ucieczce z przyczyn, które pani wyjaśnię, kiedy się znów zobaczymy.

Bo my się zobaczymy znowu. Wkrótce będę znów pod pani pieczę, o ile przetrwa pani postępowanie dyscyplinarne i przesłuchania przed komisją dochodzeniową, która po tej wpadce z moją ucieczką na pewno zostanie powołana.

Przyczyną tego bowiem, że tak otwarcie się tu pani zwierzam, jest tylko i wyłącznie fakt, że nie mam najmniejszego zamiaru pozostać na wolności.

Dobrze się czuję w uporządkowanych warunkach odbywania kary na psychiatrii, gdzie niczego mi nie brakowało: miałem wikt,

opierunek, koks - nawet dziwki, a wszystko z dostawą do domu. Jeszcze w dodatku uratowano mi życie, choć psychologiczne gierki Friedera trochę działały mi na nerwy. Ale to już teraz na szczęście zesztoroczny śnieg.

Ponadto, i to jest główny powód, dla którego chcę wrócić: będzie drugi proces.

Będę patrzeć matce małego Maksa w oczy, kiedy się dowie, że jej chłopiec jeszcze żył przez rok. Że nawet była realna szansa na jego uwolnienie. Że można było go znowu wziąć w ramiona, całować, głaskać i widzieć, jak rośnie. A potem będę patrzył jej w oczy po ogłoszeniu wyroku i będę widział w nich gniew i ból, i rozpacz; a obraz ten utrwale w pamięci i będę do niego wracał, ilekroć zechcę się nim nacieszyć.

No, i żeby to życzenie się spełniło, musi pani po prostu tylko zaczekać.

Zgłoszę się do pani, kiedy będzie po wszystkim.

W radosnym oczekiwaniu
oddany
Guido Tramnitz

– Trixi?

Korpulentny komisarz policji kryminalnej, którego nazwisko Sängler zdążyła już zapomnieć (coś ze zwierząt – *Lis, Kuna, Jeleń czy jakoś tak*), także przeczytał teraz ten list, który szefowa kliniki przekazała mu w swoim biurze.

– Czy wie pani, o co tu chodzi? – spytał z pewnym wysiłkiem w głosie. Jego ludzie już prowadzili poszukiwania, okolica została obstawiona na dużym obszarze, ale wręcz wyczuwało się jego nerwowość: wciąż jeszcze nigdzie ani śladu zbiega.

– Niestety nie. A pan, Simon?

Siedzieli w trójkę przy małym okrągłym stoliku konferencyjnym, na którym normalnie piętrzyły się akta pacjentów, teraz stąd zabrane.

Pielęgniarz, którego komisarz poprosił jako świadka, odchrząknął.

– Nie jestem pewien. Ale w gazecie była raz o tym mowa. Zdaje mi się, że Tramnitz tak nazywał inkubator, w którym...

– Jakiej wielkości jest coś takiego? – przerwała mu Sängler ku wielkiemu zdumieniu komisarza, który zapewne przywykł, że to on zadaje pytania.

– Dość dużej. Półtora metra długości i szerokość dostateczna na człowieka, dlaczego pani pyta?

– No właśnie, dlaczego to ważne? – zapytał też policjant.

Jego mina stała się jeszcze bardziej skwaśniała, kiedy lekarka po prostu pominęła to milczeniem i zwróciła się do Simona z kolejnym

pytaniem:

– Czy Frieder ostatnio wypożyczał karetkę? Albo inny samochód?
Swoim porsche takiego urządzenia raczej by nie przewiózł.

Kiedy komisarz patrzył jeszcze takim wzrokiem, jakby nagle usłyszał gwizdanie w uszach, Simon już się zerwał.

– Sprawdzę w wykazie taboru.

Pospieszył do drzwi.

– Dobrze, niech pan to zrobi! – zawołała za nim Sängler. – A gdyby pan coś znalazł, niech pan sprawdzi programowanie nawigacji.

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, na przekór wszelkim bólam, których nie mógł już złagodzić żaden przyływ adrenaliny ani panika.

Dopingowało go raczej głuche bębnienie piąstek Maksa. Rytm śmierci, która podawała takt.

Bum... bum...

Till szukał w pokoju gościnnym czegoś, co dałoby się użyć jako broń. Czegoś ostrego, jakiegoś pręta, może noża do wykładzin; ale niczego takiego tu nie było. Otworzył wbudowaną szafę na ubrania, ale znalazł w niej jedynie dwa kawałeczki mydła, które dawniej na pewno były wkładane między bieliznę, ale teraz nawet nie wydzielały zapachu.

Bum...

Uderzenia Maksa słabły. Przerwy robiły się coraz dłuższe.

Jak długo jeszcze będzie miał czym oddychać?

Z odwagą rozpaczy Till wpadł znowu do pokoju obok, tym razem nawet zdumiewająco dobrze trafił Tramnitza w szczękę, ale jego cios

nie odniósł większego skutku. Jeśli nie liczyć jeszcze gwałtowniejszej reakcji mordercy. Najpierw sierpowym sprawił, że klatka piersiowa Tilla zatrzeszczała, i wypchnął mu całe powietrze z płuc, a potem poprawił kopniakiem między nogi.

Till padł na podłogę jak worek. Chciał krzyczeć, ale już nie miał powietrza w płucach, a nowego nie mógł zaczerpnąć, choć miał usta otwarte z bólu.

Bum... bum...

Wtedy je zobaczył. Dwie puste plastikowe butelki. Leżały obok łóżka dla gości niedaleko od ciemnej plamy na jasnej wykładzinie.

Co ja przeoczyłem?

Dna butelek były brązowe od cieczy, którą ostatnio zawierały.

Nos Tilla wypełnił zapach benzyny. I zrobiło mu się gorąco. Poczł nieodpartą chęć podrapania się po głowie.

Co ja przeoczyłem?

Bum... bum...

Sygnaly wysyłane przez jego syna były coraz mniej intensywne. Życie zdawało się w nim zanikać w miarę, jak Tillowi wracało.

Co...

Szafę?

ja...

Butelki?

przeoczyłem...

Plamę?

A może sportową torbę?

Torbę!!!!

Zaraz pod łóżkiem dla gości! Do którego Till teraz podpełzł.

Powoli, o wiele zbyt powoli, na czworakach, bo o chodzeniu nie było

już mowy.

Czarna torba!

...która rosła mu w oczach, im bardziej się do niej zbliżał. Którą wreszcie chwycił, otworzył... i tym razem było to coś więcej niż tylko déjà vu. Tym razem nie było to przeczucie, tylko pewność!

Till wiedział, co znajdzie w sportowej torbie, jeszcze zanim otworzył zamek błyskawiczny. Wiedział, jak się z tym obchodzić.

Jak to trzymać.

I kiedy w końcu się okazało, że miał rację, było to prawie nadprzyrodzone doświadczenie.

– Tramnitz?! – wrzasnął, odwracając się. Ze swojego miejsca u stóp łóżka patrzył przez otwarte zasuwane drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

– Skąd do diabła... – usłyszał jeszcze słowa bestii, wypowiedziane ze zdumionymi, szeroko otwartymi oczami. Zbyt błękitnymi w tej zbyt foremnej, pięknej twarzy.

Która wciąż jeszcze była zbyt regularna i atrakcyjna, nawet po tym, jak Till wystrzelił w nią cały magazynek broni, która leżała schowana w sportowej torbie pod łóżkiem.

Maks?

Czworokątny klucz tkwił jeszcze na zaworze. Już po przekręceniu o ćwierć obrotu Till usłyszał syk. Po dalszych dwóch pełnych obrotach śruba się odkręciła.

Zabrał się do zamknięć wieka. Znalazł dalsze wgłębienia, dalsze śruby, odkręcił stopniowo wszystkie i wreszcie mógł podnieść wieko.

Gorączkowo ściągnął je ze skrzyni i cisnął na podłogę.

Był gotów porwać nieruchome ciało swojego chłopca, stymulować jego serce masażem uciskowym, przekazać mu własne tchnienie życia z ust do ust, po prostu zrobić wszystko.

Ale woskowa, śmiertelnie blada twarz Maksa, wykrzywiona nie do poznania, powstrzymała go przed tym przez maleńką chwilę, w której... *Boże przebacz mi...* pomyślał, że to i tak nie ma sensu. Że Maks już jest nieodwołalnie martwy, tak jak prawniczka na parkingu albo Frieder tu w suterenie.

Albo Tramnitz.

Tyle śmierci, cierpienia, bólu i strachu w jednym jedynym pomieszczeniu.

Które znam. W którym już kiedyś byłem. No bo skąd inaczej mógłbym

wiedzieć, co jest w torbie?

– Neeee! – krzyknął Till i przycisnął usta do ust swojego ukochanego syna, który musiał już chyba wyzionąć ducha, zważywszy na to, że zupełnie nie czuł jego ciepła i jego miłości.

Ile razy w myślach przeżywał tę chwilę, kiedy nareszcie będzie mieć pewność? Jaką ulgę i uspokojenie sobie obiecywał, ale teraz wyglądało na to, że najgorsze ze wszystkich doświadczeń ma dopiero przed sobą.

Móc uratować jeszcze dziecko, uznane już za umarłe, żeby w końcu jednak je stracić?

Kto zdoła znieść coś takiego?

Spojrzał na Tramnitza tylko po to, żeby się upewnić, że sadysta nie zmartwychwstał, *...bo to by ci się podobało, prawda?*

Widzieć mnie tutaj teraz.

Płaczącego, śliniącego się, *zbyt bezsilnego, żeby przywrócić bicie serca mojego syna. Niezdolnego do przekazania mu własnego oddechu.*

Nagle usłyszał kasłanie.

Po chwili przez ciało chłopca przebiegło drzenie, wyprężył się, zdawało się, że znowu się zapadnie w sobie, ale Till podłożył rękę pod jego plecy i podtrzymał go.

– Maks? O Boże, ty żyjesz, Maks?

Strumień łez, równie obfity jak deszcz w minionych dniach, spłynął z jego twarzy na twarz chłopca. Wśród pocałunków usłyszał jego jęk, i to był najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał w życiu. Wreszcie wypowiedział nawet całe słowo, potem kolejne, aż wreszcie ten przepiękny chłopiec o smutnych oczach i pełnych ustach wypowiedział całe zdanie:

– Co... co się... stało?

Till przycisnął go do siebie. Łkał. Trząsł się. I teraz cały ból poszedł

w zapomnienie. W tej chwili nie był w stanie odczuwać niczego innego, niż radość, szczęście i ufność.

– O Boże, ty żyjesz! Maks, mój mały, mały chłopcze.

Dopóki następne zdanie dziecka nie zniszczyło w nim wszystkiego.

– Kim pan jest?

Bezsilnie, ale zdecydowanie Maks próbował uwolnić się z jego objęć.

Till zamrugał oczami. Cofnął się o krok. Mając wrażenie, jakby coś w nim rozsypywało się na tysiąc kawałków.

Zrobiło mu się gorąco.

– Ja, ja jestem...

Rozejrzał się. Zobaczył butelki. Poczul benzynę.

Co ja przeoczyłem?

– Kim pan jest? – spytał chłopiec ponownie. I kiedy cicho i jeszcze z pewnej odległości przez piwniczne okna zaczęło dobiegać wycie policyjnych syren, Maks Berkhoff zadał mu pytanie, które ostatecznie sprawiło, że rozpadł się w proch jego obraz samego siebie:

– Czy jest tu gdzieś mój tato?

† ramnitz nie kłamał. Rzeczywiście nie było stąd wyjścia, kiedy drzwi się zatrzasnęły. Chyba żeby ktoś wiedział, gdzie jest klucz zapasowy, który właściciel domu krótko po wprowadzeniu się tutaj przed laty schował przy wejściu na schody pod luźną klepką.

Na wszelki wypadek.

I tak samo, jak wiedział, co jest w sportowej torbie, tak wiedział również, jak dostać się na parter.

Szurając nogami, powoli ominął po omacku w półmroku korytarza otwartą strefę kuchenną, bo tu na górze nie było czujników ruchu ani światła. Przez ogromne tarasowe okna wpadało tylko światło księżyca. Ale i tak wiedział, co ma pod nogami: ten brzydki parkiet w szachownicę, którego nigdy nie usunęli z braku pieniędzy. Podobnie jak basenu do jacuzzi, który szalony poprzedni właściciel umieścił pośrodku pokoju dziennego i który wypełnili poduszkami.

Kącik zabaw dla Lindy i dzieci.

Dla Friedy.

I dla Jonasa.

Któremu chciał zbudować domek na kasztanowcu trafionym przez piorun.

Łzy stanęły mu w oczach, miał wrażenie, że płonie od zewnątrz, a teraz przypomniawszy sobie także przyczynę tych fantomowych bólów, które tak często odczuwał w snach. Teraz, kiedy przez zdziżały ogród patrzył w kierunku przedszkola, które graniczyło z tą działką o jakieś sto metrów dalej. Zamknął oczy i na chwilę przeniósł się znowu do tego snu, w którym stał w swoim biurze na dwudziestym drugim piętrze przy placu Poczdamskim i wpatrywał się w parking, gdzie na słońcu stał jego samochód.

Potem przypomniawszy sobie, jak to w rzeczywistości było.

Jak zadzwoniła do niego Linda, kiedy ślęczał nad skomplikowanym przeliczeniem ryzyka śmierci u wcześniaków. Mając na karku głównego radcę prawnego firmy, który potrzebował tych wyliczeń na wczoraj.

Ale w którymś miejscu popełnił błąd i nie mógł go znaleźć. Przez całą noc nie zmrużył oka, rozmyślając nad tym problemem.

Od wielu dni nie dawały mu spokoju skomplikowane wzory, gdziekolwiek akurat był, na zakupach, w ogrodzie przy pracy, w samochodzie. Rozmyślał nad rozwiązaniem i nie miał nawet czasu na odebranie telefonu od żony; ale że tyle razy próbowała już tego dnia, w końcu chwycił komórkę z biurka. I odbył rozmowę, która oznaczała koniec wszelkiego szczęścia, jakie kiedykolwiek było w jego życiu:

– *Linda?*

– *Gdzie on jest?*

– *Kto?*

– *Jonas. Miałeś go odwiedzić do przedszkola. Tam go nie ma.*

Wtedy po raz pierwszy pomyślał o samobójstwie.

Wstał, podszedł do okna i spojrzawszy na parking, gdzie stał jego

samochód.

Z fotelikiem dziecięcym na tylnej kanapie, który specjalnie przypięła tam Linda.

– Wyjątkowo. Jutro już znowu ja go zawiozę, dobrze?

– Dobrze – powiedział i zaczął myśleć o problemie z przeliczeniem.

I zapomniał o wszystkim innym.

O Jonasie.

Na dziecięcym foteliku.

Na dole na parkingu.

W czarnym samochodzie.

Na tylnej kanapie.

Kiedy żar lał się z nieba w jeden z najupalniejszych dni tego lata.

– Halo?

Wzdrygnął się z przestraczem. Przez chwilę jeszcze był uwięziony w swoim sennym wspomnieniu, ale głos za nim należał do rzeczywistości. Do człowieka z krwi i kości, którego nigdy w życiu nie spotkał osobiście. Którego, podobnie jak jego ojca i matkę, znał tylko z prasy i telewizji. Maks wyszedł za nim z sutereny na górę do pokoju.

– Przepraszam – zaczął mały chłopiec o smutnych oczach i pełnych ustach, którego zdjęcia tyle razy widział w ogłoszeniach o poszukiwaniu zaginionych. Miał na sobie tylko T-shirt i majtki, a na prawej piersi miał bliznę. – Czy ja jestem... czy pan mnie uratował?

– Tak – powiedział wśród łez, zrozumiawszy, że własnego syna utracił na zawsze.

Jak i siebie samego.

To właśnie miał na myśli Tramnitz.

„Kiedy tu na dole skończę z Maksem, to przy odrobinie szczęścia przeżyjesz coś, co cię całkiem załatwi. O to mi właśnie chodzi. Chcę ci

przy tym patrzeć w oczy i napawać się twoim cierpieniem”.

Popatrzył w stronę przedszkola, w którym jeszcze paliło się światło, tak jak wtedy, kiedy z bronią w ręku stał w pokoju, żeby potem jednak zdecydować się na coś innego. Bo to byłoby zbyt tchórzliwe. Zbyt łagodne.

Więc w końcu schował pistolet do sportowej torby i zdecydował się na benzynę.

Bo to on był winien, że wysoka temperatura zabiła jego syna, i dlatego sam też chciał spłonąć.

– A... a kim pan jest? – spytał Maks, kiedy na zewnątrz rozległ się pisk opon.

I wycie syren.

Syreny zapewne przez cały czas się zbliżały, ale on je kompletnie zignorował. Do tej chwili, kiedy Maks spytał jeszcze raz, błagalnie, płaczącym głosem:

– Proszę, niech mi pan powie, kim pan jest?

A on wreszcie odpowiedział chłopcu.

– Nazywam się Patrick Winter. Jestem pacjentem kliniki Stein. Doprowadziłem do śmierci mojego syna i straciłem przez to rozum.

Dziesięć dni później

SÄNGER

Przyszli wystrojeni. Jak na kolację u szefa. Nie za formalnie, ale i nie za swobodnie, żeby okazać, że rozumieją wagę tej szczególnej okazji.

Till Berkhoff miał na sobie brązową sportową marynarkę i nowiutką jasnoniebieską koszulę, której kołnierzyk go ocierał, zmuszając do drapania się po karku. Widać było zresztą od razu, że krzepki strażak niezbyt dobrze się czuje w tym stroju i że wolałby go zamienić na dżinsy, sneakersy i T-shirt. Może wybierając ubranie, posłuchał rady żony Ricardy, która włożyła skromną zielono-brązową sukienkę z rękawami z koronki, do tego dyskretne kolczyki i buty na średnim obcasie, o wiele za lekkie jak na pierwszy śnieg, który spadł poprzedniego dnia.

Profesor Sänger nie wiedziała przy tym, jak układają się między nimi stosunki i czy powinna wierzyć prasie, która pisała o ponownym połączeniu „niezmiernie szczęśliwej pary”, kiedy jej syn Maks całkiem nieoczekiwanie się odnalazł.

Bądź co bądź, oboje mieli obrączki i siedzieli blisko siebie przy małym stoliku konferencyjnym w biurze profesor Sanger. Nie trzymali sie jednak za rece.

– Nie rozumiem – powiedzia Till ju po raz trzeci. Nie tkn ani herbatnik, ani wody, postawionych na stole dla goci przez profesor Sanger.

– Ten Patrick Winter myla, e jest mn?

Profesor Sanger najchtniej jednoczenie kiwnaby twierdaco i pokrcia przecaco gow.

– I tak, i nie. To skomplikowane.

– Na to wyglada. – Till Berkhoff niemiao umiechn sie do lekarki.

– Ale moe mogaby pani takiemu laikowi jak ja wyjani to w prostych sowach?

Sanger zdjea okulary do czytania i utkwia wzrok w porysowanych szklankach z plastiku, zmagajc sie ze sob i z tajemnic lekarsk. Potem wzruszya ramionami.

– A co tam.

I tak przypuszczaa, e komisja dochodzeniowa j wkrtce odwoa. To ju niewiele zmieni, czy co powie, czy nie. W dodatku wszystko, co zdradzi w śledztwie, wczeniej czy pniej i tak trafi do mediw, a kto miaby wiksze prawo pozna prawdziwe okolicznoci sprawy, jeli nie rodzice Maksa?

– Pacjent Patrick Winter jest u nas ju prawie od dwoch lat – zaczea. – Poprzednio by leczony w klinice dla nerwowo chorych Karla Bonhoeffera.

– Czy on ma schizofreni? – spyta Till.

– Nie. To nie ma nic wspolnego z t chorob. Ani z tym, co laicy okreliliby jako osobowo mnog.

– Tylko z czym?

– Patrick Winter jest uciekinierem. On chce uwolnić się od swojego prawdziwego ja, czasowo przybierając nowe tożsamości.

– Na przykład moją?

– Ostatnim razem była to pańska, tak. Myślał, że jest panem. Tillem Berkhoffem, strażakiem, ojcem Maksa.

– Ale dlaczego? Jak wpadł na ten pomysł?

Z powrotem włożyła okulary.

– Och, nie wiemy tego ze stuprocentową pewnością, ale przypuszczamy, że wywołała to relacja w mediach. Jakiś program w telewizji, może reportaż o panu, musiał go tak mocno poruszyć, że nastąpił switch.

– Switch?

– Tak nazywamy fazę przemiany. Zwykle przejawia się ona kompletnym załamaniem nerwowym, począwszy od mówienia do siebie, odgrożenia się od otoczenia, aż do samookaleczania. Musimy wtedy uspokoić pacjenta i umieścić w pokoju interwencyjnym. Kiedy się budzi, ma już często inną tożsamość.

– Powiedziała pani, że on ucieka? – spytała dociekliwie Ricarda.

W rozmowie wstępnej matka Maksa opowiedziała lekarce, że nigdy nie przestała szukać syna. Wynajmowała prywatnych detektywów, dawała ogłoszenia, poszła nawet do jasnowidza. Cały jej majątek pochłonęły poszukiwania. Kiedy po roku skończyły się jej pieniądze, nosiła się nawet z myślą, żeby sprzedać prasie „story” o swoich rozpaczliwych poszukiwaniach. Ale na szczęście historia o wizycie u wróżbity nigdy się nie ukazała.

– Tak, on ucieka przed samym sobą – wyjaśniła Säger obojgu. – Patrick Winter przez tragiczny błąd stracił dwuletniego syna. Zostawił

go przez zapomnienie w samochodzie na słońcu w upale, a sam zajął się swoją pracą w ubezpieczeniach.

– Straszne.

– Tak. Nigdy się z tym nie pogodził. Kilka miesięcy później chciał odebrać sobie życie. Oblał się benzyną w przedszkolu swojej córki i podpalił. Krzyczał przy tym, że chce spłonąć jak jego syn.

– Wielki Boże! – zawołała Ricarda.

– Udało się go uratować, na swoje szczęście doznał tylko oparzeń głowy, niestety najprawdopodobniej zawdzięcza im raka skóry, ale to jego najmniejszy problem.

Sänger wahała się, czy nalać sobie wody do szklanki, ale potem z tego zrezygnowała.

– Trafił na oddział psychiatryczny i także tutaj nie zdołał przezwyciężyć swojego bólu i nienawiści do siebie.

– Nienawiści? – spytał Till.

– Tak. On nienawidzi samego siebie tak bardzo, że chce wyprzeć własną tożsamość. Jak ślimak szuka nowego domu. I najmniejszy impuls, jak mówiłam, obraz, rozmowa, audycja radiowa, może spowodować switch.

Till jak uczeń podniósł rękę.

– Czyli mówi pani, że kiedy on z tego pokoju inter...

– Interwencyjnego, właśnie. Kiedy wyszedł z niego ostatnim razem, był panem, panie Berkhoff. Myślał, że ma na imię Till, że jest strażakiem, a jego syn Maks został uprowadzony. Na zewnątrz jednak zachował swoje prawdziwe nazwisko. To właśnie tak nam utrudnia diagnozę i leczenie. – Teraz to Sänger drapała się po karku. Pociła się, choć dopiero co wietrzyła pokój.

– Nigdy nie wiemy, jaką tożsamość przybierze następnym razem,

i dlatego witamy go zawsze jak nowego pacjenta. Nawet inni pacjenci już się do tego przyzwyczaili, przy czym niektórzy oczywiście wprowadzają zamieszanie, bo zagadują Wintera o zdarzenia i przeżycia, których on już nie pamięta, bo tkwi w nowej tożsamości, będącej dla niego kamuflażem.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Przedostatnim razem uważał się na przykład za detektywa, który ma wykryć oszustwa księgowe w naszym szpitalu, i rzeczywiście swoim „śledztwem” – Sänger zaznaczyła w powietrzu cudzysłów – poplątał szyki jednemu z naszych ordynatorów.

– Temu Kasowowi? – spytał Till.

Sänger kiwnęła głową. Widocznie śledził relacje o nieuczciwych machinacjach lekarza.

– Tak. Ale zanim zdołał mu poważnie zagrozić, miał nowy switch.

– I stał się mną? – Strażak znowu podrapał się w szyję.

– No właśnie. Ponieważ Patrick Winter nie może znieść prawdziwej przyczyny, dla której jest w tym zakładzie, to szuka takiej, którą łatwiej zaakceptuje jego znękany umysł. Wyobraża sobie, że został tu przywieziony pod fałszywym nazwiskiem Patricka Wintera, a tak naprawdę jest zupełnie zdrową osobą, która jest na oddziale psychiatrycznym z całkiem innymi przyczyn, i to dobrowolnie. W tajnej misji.

– I tą tajną misją było odnalezienie naszego dziecka?

Ricarda jako jedyna wypila tymczasem łyk wody i odstawiła szklanę.

– Tak. Poczta pantoflową dowiedział się, że Tramnitz też jest w klinice Stein. Przypuszczalnie to było bodźcem, żeby się rozejrzeć za tożsamością, która by usprawiedliwiła wyjaśnienie sprawy Maksa

Berkhoffa.

– Czy możemy go zobaczyć? – spytała Ricarda. Jej mąż też spojrzał na nią pytająco.

Profesor Sanger podniosła się z miejsca.

– Chodźmy.

Opuścili jej biuro i szli w milczeniu obok siebie, aż stanęli przed wielkimi szklanymi drzwiami skrzydłowymi, za którymi rozciągał się hol kliniki Stein.

Dobiegała stamtąd cicha muzyka fortepianowa i Sängler czuła, że nie tylko ją wzrusza ta smutna melodia. Goście zaczęli szeptać, jakby nie chcieli przeszkadzać wykonawcy w jego grze.

– To on?

Sängler widziała tylko plecy grającego na czarnym fortepianie, ale naturalnie to był on. Nikt inny w klinice nie umiał zagrać Szopena tak namiętnie. I to pomimo że jego dwa palce wciąż jeszcze były nie do użytku.

Nokturn Es-dur. Opus 9 nr 2.

Jej ulubiony utwór.

– On gra na fortepianie?

– Kiedy pamięta, to tak. Ma duży talent. Gdyby tak nie było, to nie mógłby podtrzymywać tych wszechświatów równoległych, które go otaczają.

– Co pani ma na myśli, mówiąc o wszechświatach równoległych? – spytał Till.

– Także jeśli o to chodzi, poruszamy się po omacku. Jak się zdaje, on ma kilka stałych punktów. To numer telefonu jego żony Lindy, do której wciąż chce dzwonić, czego ona nam jednak już zabroniła. Ostatnim razem Patrick Winter myślał, że rozmawia z panią, Ricardo, i tłumaczył swojej żonie, że ich syn może jeszcze żyć.

– A miał na myśli Maksa.

Przytaknęła ruchem głowy.

– No właśnie. Innym stałym punktem jest jego szwagier Oliver Skania, który już dawno temu odebrał sobie życie. Mimo to wciąż od nowa staje się elementem wizji Patricka Wintera. Tak jak *Ulisses*.

– A kto to taki? – spytał Till i Sängner nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Nie kto, tylko co. To książka Jamesa Joyce’a. Winter myśli, że w tej książce ukryty jest telefon; dzięki niemu utrzymuje kontakt z ludźmi, którzy go tu przemycili. Ale ona nie jest wydrażona w środku ani spreparowana. To zupełnie normalna książka w naszej bibliotece.

Czasami Winter w swoich halucynacjach uważał za telefony komórkowe przedmioty codziennego użytku, jak długopis czy łyżka.

Kiedy jedenaście dni temu weszłam do niego niespodziewanie na oddziale ratunkowym, telefonował właśnie z pilota do telewizora, który mu przedtem dał Tramnitz.

Ten sadysta musiał przejrzeć urojenia Wintera i widać postanowił się zabawić z biedakiem. Nie tylko wybrał go jako przydatnego zakładnika, żeby na jego oczach zamęczyć tego chłopca na śmierć. Miało to się jeszcze odbyć we własnym domu Wintera, który od czasu tragedii stoi pusty.

– Czy możemy z nim porozmawiać? – spytała Ricarda.

– Obawiam się, że to nie jest dobry pomysł.

– Ale gdyby nie on... – Ricarda urwała, co dało Sanger sposobnořć delektowania się skomplikowanym i przepięknym tremolo, które zaintonował Winter.

– Bez niego Maks by juŹ nie żył – przyłączył się do prośby żony Till.
– MoŹe i jest chory. Ale w swoich urojeniach uratował naszego chłopca.

Sanger westchnęła ze smutkiem i odczekała, aŹ utwór dobiegnie końca. Potem powiedziała:

– To prawda. Ale proszę spojrzeć.

Pokazała salę.

Za choinki wyszedł Simon i ostrożnie dotknął ramienia Patricka, który pytająco spojrział na swojego opiekuna.

– Patrick Winter dopiero niedawno został wypuszczony z pokoju interwencyjnego – wyjaśniła Sanger, kiedy jej pacjent zamykał pokrywę fortepianu i wstawał z taboretu.

Winter odwrócił się zatopiony w myřłach, popatrzył w ich stronę i podniósł rękę, jakby odkrył gořci za szklanymi drzwiami i chciał do nich pomachać, ale odgarnął sobie tylko włosy z twarzy.

– Wydaje się taki zagubiony – stwierdziła Ricarda. Do oczu napłynęły jej łzy i przypomniała jej się rozmowa z wróżbitą na przystanku autobusowym przed restauracją przekąskową. „A kiedy znaję Maksa?”, spytała Gedeona, „Co wtedy się stanie?”

„Wtedy widzę panią przed sobą zupełnie wyraźnie. Płacze pani. Za zamkniętymi drzwiami. W więzieniu”.

Sanger obok nich cięŹko westchnęła.

– Czy potrafią państwo sobie wyobrazić, jakie to musi być okropne, wciąż uciekać przed sobą samym? Tylko po to, Źeby wciąż na nowo się przekonywać, Źe nie ma sposobu uciec przed własną duszą? –

Przejechała ręką po włosach. – Jego udręczony umysł szuka rozpaczliwie wyjścia i zapewne już dawno znalazł sobie nową możliwość.

W sali Simon wskazał w stronę przejścia obok punktu wydawania lekarstw i zawołał Wintera po imieniu. Pacjent spojrzął jeszcze raz ku drzwiom, potem jego wzrok powędrował ku czubkowi potężnej choinki, a wreszcie on sam poszedł za pielęgniarzem, lekko pochylony, poruszając się ospale. I kiedy krok za krokiem oddalał się od nich, szefowa kliniki położyła rękę na ramieniu Ricardy, drugą dotknęła przedramienia Tilla i powiedziała:

– Obawiam się, że tego Patricka Wintera, któremu chcieli państwo podziękować, już dawno tutaj nie ma.

Syk układu hydraulicznego zasygnalizował jej nowego gościa. Seda odstawiła przewodnik turystyczny po Rzymie na właściwe miejsce (*kto u licha w zakładzie zamkniętym potrzebuje przewodnika turystycznego?*) i ucieszyła się, że spełniło się jej życzenie, widząc, kto wspina się po schodach autobusu.

To był jej ostatni dzień i Simon dotrzymał słowa, przysyłając do bibliobusu jej najmilszego pacjenta.

– Jak miło – powitała Patricka ze śmiechem, kiedy powoli przemieszczał się w jej kierunku środkowym przejściem.

Wyglądał na znużonego, miał spuchnięte oczy, a z wolna tylko odrastające szczeciniaste włoski na zmaltretowanej czaszce nie poprawiały jego prezencji.

Seda zrobiła krok w jego stronę z mocnym postanowieniem, żeby go objąć, ale zatrzymał się tak nagle, że na razie z tego zrezygnowała.

Ależ ja jestem zdenerwowana, pomyślała.

Jakby to była pierwsza randka.

A nie ostatnie pożegnanie.

Na tę myśl jej oczy wypełniły się łzami, a że nie chciała wybuchnąć płaczem przed Patrickiem, pozostało jej tylko jedno: mówić! Gadać jak nakręcona katarynka, to była jedyna i najlepsza metoda, jaką знаła, żeby nie stracić fasonu.

– W porządku, ja wiem, że pewnie nie chcesz tego słyszeć, może tego i nie zrozumiesz, ale muszę to powiedzieć. Musisz przez to przejść, wiesz? Więc dziękuję ci. Szczerze. Dziękuję, że zwierzyłeś się Simonowi. Było dochodzenie, to na pewno wiesz. No jasne. Ale prawdę mówiąc, Kasov został urlopowany także z twojego powodu, a w jego komputerze znaleźli materiał obciążający czy coś takiego. A teraz będzie prawdopodobnie oskarżony, a ja jestem wolna.

Roześmiała się jak podniecona nastolatka, gdy tymczasem Patrick wyglądał tak, jakby przeszedł udar. Jego twarz była całkowicie stężala.

No nic, trzeba mówić dalej. Nie przestawaj. Inaczej odwróci się i odejdzie, zanim wszystko z siebie wyrzucisz.

– Przykro mi, że on ci zrobił tyle złego. Musisz wiedzieć, że wszystko, co było w tym protokole przesłuchania, o tobie i o tym, że chciałeś umyślnie zabić Jonasa, czyli twojego syna, to kłamstwo. To był wypadek. Kasov wymyślił sobie to z tą sauną. Chciał tylko napuścić na ciebie Armina, żeby ten psychol cię uciszył, bo Armin nienawidzi ludzi, którzy umyślnie dręczą dzieci. Próbowałam cię ostrzec, wtedy w kafeterii, pamiętasz?

Roześmiała się znowu, tym razem jeszcze sztuczniej.

– Ale to teraz bez znaczenia. Jedyne, co się liczy, to że dzięki tobie Kasov należy już do przeszłości, a mnie wypuszczają. I za to ci dziękuję.

Podeszła do niego i objęła ramionami jego zbyt teraz wychudzone ciało.

A Patrick zrobił to, co robił przez cały czas, kiedy ona gadała jak nakręcona. Stał dalej bez ruchu i zdołał nawet jeszcze bardziej się usztywnić w jej objęciach.

Wreszcie, kiedy nie okazywał żadnego poruszenia, Seda go puściła i cofnęła się o krok. Dopiero teraz Patrick Winter wypowiedział swoje pierwsze zdanie.

– Chyba mnie pani z kimś pomyliła.

A Seda, która teraz już nie mogła dłużej powstrzymać łez, przełknęła z trudem ślinę, zdmuchnęła sobie włosy z oczu i powiedziała:

– Tak. Wiem.

*D*ziwne.

Ta przyjemnie pachnąca młoda dama o bursztynowej skórze i azjatyckich rysach zachowywała się bardzo osobliwie.

Nie chodzi o to, że знаła jego fałszywe nazwisko, to przecież nie było tajemnicą w tej klinice. Ale co to za historia z tym Kasovem i Jonaszem i jakimś wypadkiem?

Powoli przeszedł na tył autobusu. Do trzeciego regału, drugi rząd.

Wielkie nieba.

Musiał pilnie zatelefonować do Skanii, żeby sprawdzić legendę, którą Skania mu sprokurował. Jego szwagier mógłby się doprawdy bardziej przyłożyć do roboty. Fakt, że niewiele miał czasu na przygotowania do tej misji. Ale ta historia o fałszywych pacjentach nie mogła czekać. Już w radiu mówili, że w niemieckich klinikach kwitnie nielegalny handel lekarstwami. Gdyby czekał jeszcze dłużej, to ktoś inny sprzątnąłby mu temat sprzed nosa. A chyba nie żądał za wiele od policjanta kalibru Skanii, chcąc, żeby załatwił odpowiednią fałszywą tożsamość dla takiego dziennikarza śledczego jak on.

Patrick Winter. Wiedział o nim niewiele więcej, niż to, że ten typek miał pracować jako matematyk od ubezpieczeń. I że grał na fortepianie, jak on sam na szczęście, ale to było z pewnością jedyne podobieństwo do tego matematycznego geniusza.

Spojrzał do przodu w kierunku Sedy, która już nie zwracała na niego uwagi, więc można było zaczynać.

Ulisses. *Gdzie się podziałeś?*

Przesuwał wzrok po grzbietach książek i nareszcie znalazł, czego szukał, dokładnie tam, gdzie powiedział Skania.

Regał trzeci, drugi rząd, za Bibliami.

– Mam nadzieję, że zrobiłeś, co do ciebie należało – szepnął do siebie i otworzył grube tomisko, którego oprócz niego w tym psychiatryku na pewno jeszcze nikt nie wziął do ręki.

Bingo!

Jak obiecał Skania, w wydrążonej części środkowej znajdował się telefon komórkowy, przez który mógł utrzymywać kontakt ze swoimi ludźmi.

Odstawił książkę z powrotem na miejsce za Bibliami. Dziś przyszedł tylko sprawdzić, czy tam jest. Zatelefonuje dopiero wtedy, gdy będzie miał w ręku coś konkretnego.

Przeszedł znowu do przodu.

– Znalazłeś wszystko, czego chciałeś? – spytała Seda, która usiadła za fotelem kierowcy z czasopismem na kolanach.

– Tak, dziękuję.

Zatrzymał się i nagle naszło go dziwne wrażenie, jakby jednak już kiedyś widział gdzieś tę młodą kobietę o ciemnych włosach i jeszcze ciemniejszych oczach. To był tylko cień wspomnienia. Żadne tam déjà vu, raczej poczucie, jakby łączyła ich jakaś szczególna więź, choć tak

naprawdę byli sobie obcy.

Może to jednak było tylko pobożne życzenie, bo w normalnym życiu pewnie nie odważyłby się zaczepić tej pięknej kobiety.

Tu jednak nie miał nic do stracenia, więc uśmiechnął się do niej i powiedział:

– Niedługo panią wypuszczą?

Seda nieśmiało kiwnęła głową.

– Jeśli pani chce, to niech mi pani zostawi swój numer telefonu.

Może mi go pani zapisać w wybranej przez siebie książce.

Zachichotała.

– A ty wtedy przeszukasz wszystkie, żeby go znaleźć?

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Może. Ale chyba nie będę miał na to czasu.

– Ach nie? – Jej dolna warga zadrżała.

– Nie – uśmiechnął się i znowu zdziwił go nagły cień smutku na jej twarzy. Już przedtem prawie się popłakała, zanim go nagle objęła, jakby byli parą kochanków, którzy muszą rozstać się na zawsze.

Jej dolna warga znowu zadrżała i najchętniej to on wziąłby ją teraz w ramiona. Powiedziałaby jej prawdę. Że wcale nie jest pacjentem. I że także wkrótce stąd wyjdzie, gdy tylko wypełni swoje zadanie. Bo nie jest żadnym Patrickiem Winterem, matematykiem od ubezpieczeń, tylko dziennikarzem śledczym – ale taką wiedzą przecież nie mógł obarczać tej ładnej osóбки. O nie, nie wolno mu było narażać na szwank powodzenia całej misji.

Poprzestał więc po prostu na podaniu jej ręki.

Wysiadł z bibliobusu, kiedy otorzyła mu drzwi, i nie obejrzał się już za tą dziwną pięknością, która wydawała mu się tak dziwnie znajoma.

Jak książka, którą się już kiedyś czytało.

Dawno, dawno temu.

W innym życiu.

A TERAZ, ZAMIĄST
ZWYCZAJOWEGO
PODZIĘKOWANIA, KRÓTKI
THRILLER. POD WIELCE
ORYGINALNYM TYTUŁEM:
PODZIĘKOWANIE

PODZIĘKOWANIE

Pomieszczenie było białe i wytapicerowane jak kanapa chesterfield, co mimo paniki, w jaką wpadłem, dodatkowo mnie zdziwiło, bo przecież pokojów uspokajania (zwanych popularnie gumowymi celami) w takim kształcie prawie już w Niemczech nie ma. A jeśli już, to mają ściany nie w białym kolorze, tylko błękitnym albo różowym – w każdym razie nie tak intensywnie białym, żeby trzeba się było obawiać śnieżnej ślepoty od samego tylko gapienia się w sufit. Wiele więcej ja, Sebastian Fitzek, nie byłem w stanie w tym momencie robić, przypięty do czegoś, co kojarzyło się w dotyku z twardym, zimnym stołem operacyjnym. Głowę miałem unieruchomioną równie mocnymi więzami jak nogi i ręce.

Może więc wcale już nie byłem w Niemczech? Może porywacz, śledzący mnie przez kamerę na suficie, wywiózł mnie za granicę?

Na razie wychodziłem z założenia, że zostałem uprowadzony, choć przespałem moment, w którym się to dokonało. Ostatnią rzeczą, jaką sobie przypominałem, było zanieśenie mojego rękopisu *Pacjenta* na pocztę, żeby wydawnictwo Droemer Knauer mogło przystąpić do publikacji. Wyjaśnienie, że potem miałbym się sam uśpić i lunatykując, udać się prosto z placówki pocztowej przy

Hohenzollerndamm w drogę do tapicerowanej celi bezpieczeństwa, żeby się tam samemu związać, wydawało mi się nieco wydumane. Nawet w świetle moich własnych fitzkowych kryteriów rodem z thrillera.

Stwierdziłem więc, że jestem poddawany raczej niezwyklej jak na autora terapii. Nie, żebym przesadnie wysoko oceniał mój status zawodowy. Pierwsze pytanie, jakie mi zadają ludzie, wykonujący porządne zawody, kiedy słyszą, czym się zajmuję, brzmi: „Ach, i z tego można wyżyć?” Ale nie tak brzmiało pytanie, które zadał mi porywacz wkrótce po moim przebudzeniu.

Brzmiało całkiem po prostu:

– Kogo?

Zadał mi je dotąd jedenaście razy, przynajmniej odkąd zacząłem liczyć. Rozmawiał ze mną przez niewidzialne nagłośnienie tak nadzwyczajnej jakości, że basowe tony jego głosu wprawiały kości mojej czaszki w wibrację.

– Nikogo – odpowiedziałem, czując suchość w gardle i mając pewność, że w moich dotychczasowych podziękowaniach nikogo nie pominąłem.

Zwykle przecież zaczynam peany na końcu moich książek od ludzi, którzy coś znaczą. Czytelniczek i Czytelników, rzecz jasna. Od Państwa! Jeśli porywacz uważał, że powinienem Was wszystkich wyliczyć po nazwisku, to byłbym w o wiele gorszym położeniu, niż się obawiałem.

– Ależ nie, Sebastianie. Jest takie jedno nazwisko – powiedział. – Jeszcze nigdy u ciebie nie padło. W ani jednym podziękowaniu w twoich 17 już teraz książkach. Po prostu je przemilczałeś. I to pomimo faktu, że bez jego pomocy nie napisałbyś ani jednego

bestsellera.

Zmarszczyłem czoło, co było niemal jedynym ruchem, do jakiego byłem zdolny w więzach wrzynających się ostrymi brzegami w moją skórę, i zastanawiałem się.

Kogo mógł mieć na myśli?

Od odpowiedzi na to pytanie, co do tego mój porywacz nie pozostawił wątpliwości, mogło wiele zależeć. Między innymi moje życie. Nie groził mi wprawdzie wprost konsekwencjami, ale też nie musiał tego robić. Już po przebudzeniu spostrzegłem, że obolała głowa i wysuszone gardło (i jedno, i drugie było przypuszczalnie skutkiem ubocznym środka usypiającego) to nie jedyne powody mojego złego samopoczucia fizycznego. Oprócz możliwości swobodnego poruszania się, do życia brakowało mi jeszcze czegoś o decydującym znaczeniu: powietrza.

W mojej celi panował niedostatek tlenu, jaki poza tym odczuwałem tylko w studiu fitness na bieżni. A w miarę trwania przesłuchania oddychanie przychodziło mi z coraz większym trudem. Jak się zdawało, tapicerowane pomieszczenie było zarazem hermetycznie zamknięte; było tylko kwestią czasu, kiedy się w nim uduszę, jeśli nie przypomnę sobie nazwiska, które chciał usłyszeć mój porywacz.

Hm.

Gdyby nie to, że chodziło o mnie samego, to byłbym nawet wdzięczny nieznanemu za pomysł na fabułę.

– O kim zapomniałeś, Sebastianie? – spytał głos, który był mi dobrze znany, ale skojarzonego z nim nazwiska za nic nie mogłem sobie przypomnieć. Ludzie, którzy mnie znają bliżej, nie są wcale zdziwieni, kiedy im się przyznaję do mojej przerażająco słabej pamięci do nazwisk i osób. Do tego bardzo często jestem roztrzepany. Ostatnio

stałem na placu zabaw, wykrzykując głośno imię mojej byłej (Gerlinde), a chciałem tylko, żeby moja córka Charlotte nareszcie przestała się huścić. Tak jak trudno było mi to wytłumaczyć mojej aktualnej żonie, która tam ze mną była, tak trudno mi teraz powiedzieć porywaczowi, jaką to pomocną duszę dotąd pominąłem w moich podziękowaniach. (W każdym razie nie chodziło o Gerlinde, bo jej zadedykowałem nawet *Łamacza Dusz* w podzięcie za to, że mnie zainspirowała do licznych psychothrillerów).

W duchu zrobiłem więc przegląd zespołu wydawnictwa, zaczynając od Doris Janhsen, o której dotąd rzeczywiście nigdy nie wspomniałem, ale tylko dlatego, że moja zdolność przewidywania przyszłości nie jest zbyt dobrze wykształcona. Skąd więc mogłem wiedzieć, że zostanie szefową wydawnictwa, przejmując pałeczkę od Hansa-Petera Übleisa, żeby poprowadzić firmę ku dalszym wzlotom?

– Nie chodzi o Doris – odpowiedział głos na moje zatroskane pytanie. Nie mogło więc także chodzić o resztę zespołu firmy Droemer Knaur, czyli Josefa Röckla, Bernharda Fetscha, Katharinę Ilgen, Monikę Neudeck, Bettinę Halstrick, Beate Riedel, Hanne Pfaffenwimmer, Antje Buhl, Katharinę Scholz, Sibylle Dietzel, Ellen Heidenreich i Danielę Meyer. Dziękowałem im wszystkim. Niektórym nawet po kilka razy. I słusznie.

Chyba że to był...

Steffen Haselbach?, kombinowałem. Tym razem nawet tytuł był od niego, kiedy moja propozycja „*Tajny Pacjent*” wydała mi się jakoś zbyt nieporęczna. Ale nie, przypominałem sobie, że Steffena wymieniłem co najmniej w książce *Lot 7A*.

– Może Helmut jest jeszcze zły na mnie? – spytałem pozbawiony twarzy głos ze ściany.

– Henkensiefken? – odpowiedział pytaniem.

– Tak.

Faktycznie, przez całe lata zapominałem o nim i jego Agencji Zero, choć to on odpowiada za wszystkie te cudowne okładki, także do *Pacjenta*.

– Nie.

– Moje redaktorki raczej nie wchodzi w rachubę – próbowałem dowcipkować. Carolin Graehl i Regine Weisbrod odgrywały główną rolę we wszystkich moich podziękowaniach, mimo że obie te najlepsze redaktorki świata chętnie zobaczyłbym kiedyś też w takiej roli jak ta; w każdym razie zawsze wtedy, gdy rozdrapują moje literackie rany i w oddawanym tekście, który mnie się wydaje w 150 procentach doskonały, wynajdują tak ze 150 przypadków braku logiki. Co najwyżej mogłaby mieć pretensje Andrea Müller, która mnie odkryła w 2004 roku, potem jednak pięła się po drabinie sukcesu w innym wydawnictwie; ale ją też wymieniłem kilka razy.

– Wody – powiedziałem i nie było to nazwisko. Męczyło mnie pragnienie i potrzebowałem pilnie pełnej szklanki. Najlepiej takiej o wielkości Nadrenii Północnej-Westfalii, ale moja prośba została odrzucona tak samo, jak moje przypuszczenie, że za tym porwaniem mogłaby stać Regina Ziegler. Nie, żebym uważał odnoszącą największe sukcesy producentkę filmową w Niemczech za zdolną do takich tortur – przyznajmy, nadających się do ekranizacji. Ale Regina była rzeczywiście kimś, kto dotychczas jeszcze nigdy nie został wymieniony, i to pomimo że mam wobec niej wielki dług wdzięczności, skoro przez prawie całe dziesięciolecie wierzyła we mnie i moje książki, i nawet przeniosła na wielki ekran *Odciętych* (moje wspólne dzieło z Michaeliem Tsokosem).

Zacząłem głośno myśleć:

– Christian Meyer, menedżer moich tras ze spotkaniami autorskimi, przywiązałby mnie raczej do drzewa gdzieś na przydrożnym parkingu w czasie naszych długich podróży samochodem przez całe Niemcy, niż tu, w tej celi. A mojej menedżerce, najlepszej przyjaciółce i nie tylko, Manueli Raschke, która mogłaby się uskarżać, że w firmie nigdy nie myję filiżanek po kawie, bądź co bądź zadedykowałem już dwie książki (i słusznie, bo jest najlepsza!). Wspiera ją cudowny zespół wariatów, którzy są zdolni ze mną wytrzymać, jak jej matka Barbara, Achim, Sally, Karl-Heinz (przy czym mający bzika na punkcie sportu Kalle i tak zawłókłby mnie nie tutaj, tylko do izby tortur w swojej siłowni, gdzie bieżnia eksploduje, kiedy tylko przy wzniesieniu 12 moje tempo spada poniżej 16), Stolli, a ostatnio Angelina Schmidt.

– Coś marnie – odezwał się głos, po czym zaczął naśladować tykanie zegara. Faktycznie, ucisk na moją klatkę piersiową stawał się coraz silniejszy.

– Sabrina Rabow jest nie tylko najlepszą agentką PR, ale do tego jest tak dobroduszna i wrażliwa, że sama myśl o tym, że mógłbym tu być zakuty w łańcuchy, przyprawiłaby ją o koszmary senne. Nie jest tak? Nie?

– To nie Sabrina – uciął porywacz. – Ani twoja teściowa Petra, ani projektant twojej witryny internetowej Markus Meier, ani Thomas Zorbach, nie, o nich wszystkich pamiętałeś. Tylko nie o mnie.

O mnie?

No tak, przyznajmy, że myśl o osobistej motywacji sprawcy tego czynu nasuwała się sama. Ale obudźcie się skrepowani w gumowej celi, z głową jak po dziesięciu dniach na festiwalu muzyki metalowej w Wacken, to też byście mieli pewne trudności z kojarzeniem faktów.

Śmiem twierdzić.

No dobrze. A więc najwyraźniej to mężczyzna. Tyle mogłem poznać po głosie. Mimo to nie mógł to być Simon Jäger ani David Nathan, dwa bożyszczą od audiobooków. Głos ten miał bowiem o wiele zbyt amatorskie brzmienie – był nawet przyjemny, ale bez profesjonalnego wyszkolenia.

Jak na Romana Hockego – nawet gdyby miał udawać – głos był za niski. (Nie chciałbym, żeby powstało tu wrażenie, że mój literacki agent ma głos piskliwy, ale on jednak nie wprawia kości mojej czaszki w wibrację, jak opisano na wstępie). Poza tym Roman już dawno podjąłby negocjacje co do warunków mojego uwolnienia, bo targowanie się ma we krwi. Nie, Roman to geniusz rokowań, który mógłby mnie uwolnić z mojego ciężkiego położenia, nie zapominając wszakże o zachowaniu dla siebie swoich 15 procent od sumy okupu. Również Markus Michalek był już przeze mnie, nie bez powodu zresztą, często wspominany z wdzięcznością.

Ze względu na kobiece głosy nie mogły to być też współagentki Romana z AVA: Claudia von Hornstein, Antonia Schultes, Cornelia Petersen-Laux czy Lisa Blenninger.

Mój berliński ulubiony Bawarczyk Franz Xaver Riebel, próbny czytelnik i autor niezliczonych pomocnych uwag, jest wprawdzie płci jednoznacznie męskiej, ale właściwie też nie ma powodu do narzekań, że go nie doceniam, pomijając fakt, że raz przekręciłem jego nazwisko. Tak samo moja rodzina, przede wszystkim wielka miłość mojego życia... ta, no... a, no tak, Sandra (*zaczyna brakować tlenu!*) i Sabine, i Clemens. (Dziękuję za doradztwo medyczne oraz szkic przebiegu operacji. Co prawda, bardziej pomocna byłaby mi teraz rada, jak przeciąć moje więzy, żeby uniknąć uduszenia, niż plan

przebiegu *carotis communis*).

Powoli zacząłem wpadać w gniew.

Czy nie starałem się zawsze, żeby o nikim nie zapomnieć? Czy nie dziękowałem zawsze wszystkim księgarzom i bibliotekarzom? Inni to potrafią wpisać całusy dla lubej na ostatnią stronę albo wyliczyć nazwiska, które nikomu nic nie mówią, a mimo to nie leżą przywiązani do stołu operacyjnego w gumowej celi, tylko wylegują się na plaży na Lazurowym Wybrzeżu i niczego sobie nie żałują.

– Pasuję – powiedziałem, a głos roześmiał się ze złośliwą satysfakcją.

– W porządku, zostało ci raczej niewiele sekund do chwili, gdy twoje oczy wyjdą z orbit na tyle, że będziesz mógł zobaczyć krew spływającą po własnych policzkach.

Niezłe zdanie, pomyślałem, próbując je zapamiętać, ale potem zdałem sobie sprawę, że są raczej nikłe szanse, żebym miał okazję jeszcze kiedyś go użyć.

– Wykorzystam więc ten krótki czas, jaki nam jeszcze pozostaje, żeby ci to zdradzić.

Poczułem się jeszcze gorzej.

– Kto? – powiedziałem, zastanawiając się jednocześnie, czy naprawdę chcę to wiedzieć.

O kim zapomniałem?

Odpowiedź była równie nieoczekiwana, jak oczywista.

– O twojej podświadomości.

Chyba ci chodzi o nieświadomość, chciałem z początku się sprzeciwić, ale potem na szczęście przyszło mi na myśl, że na pewno nie jest to najlepszy moment, żeby niewidzialnemu porywaczowi gotowemu na wszystko zwracać uwagę na brak językowej precyzji.

Wyjaśniło się zatem, dlaczego ten głos był tak wszechobecny.

Dlaczego wzmagał ucisk w mojej czaszce. Dlaczego zdawało mi się, że już często go słyszałem.

– Dlaczego zdecydowałeś się w *Terapii* przetworzyć przeżycia z twoim najlepszym przyjacielem i mentorem? – spytał.

Bo to były moje własne!

– Kto stoi za tym, że w twoich powieściach wciąż podprogowo pojawia się śmierć twojej matki? Udary, zespół zamknięcia? He? Coś świta?

Kiwnąłem głową i zrobiło mi się czarno przed oczami.

– Kto jest odpowiedzialny za to, że w *Kolekcjonerze oczu* poruszony jest temat braku wyznaczania priorytetów przez ojca, który zbyt często zostawia dzieci same? Za nadwrażliwość w *Odprysku*, wyparcie w *Przesyłce* i wszystkie te lęki ojca rodziny. No?

Głos był coraz głośniejszy, krzyczał, więc zapragnąłem znaleźć jakiś wyłącznik, którym mógłbym to wszystko zakończyć, choćby dawał się przekręcić tylko w jednym kierunku i po jego użyciu nie miało być już więcej powrotu do jasności, ciepła i życia.

– Czy ty mi chociaż raz podziękowałeś? JEDEN JEDYNY RAZ?

Głos w mojej głowie, *MÓJ GŁOS*, załamywał się.

– TWOJEMU WSPÓŁAUTOROWI???! – wrzeszczała na mnie moja nieświadoma część jaźni.

– Nie – usłyszałem własne przyznanie się w myślach. – Przepraszam.

Ono czy on wydawał się głuchy na moje przeprosiny albo ich nie akceptował, bo powiedział:

– Od teraz to ja przejmuję wszystko. Sam. Bez ciebie.

Co?

– Przejmujesz? – wychrypiałem.

– Tak. Teraz historie będą pochodziły wyłącznie ode mnie. Ty masz zamknąć dziób.

Przy tych słowach zniknęło pomieszczenie, biel i światło, a na ostatnie pytanie zużyłem nędzne resztki powietrza w moich płucach.

– Ejże, a co z happy endem?! – zawołałem.

Przecież ta krótka historia nie może się tak kończyć!

– Szczęśliwe zakończenia są przeceniane – rozległo się jego echo we wszystkich komorach mojej świadomości, które jedna po drugiej się zamykały, aż w końcu została już tylko jedna jedyna jeszcze otwarta. Ta, przez którą kiedyś bardzo dawno temu przybyłem. A potem...

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28
29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42
43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56
57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70
71	72	73	74	75	76	77							

Podziękowanie